

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/577

1995



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ „KULTURY”
„JAKA POLSKA NA XXI WIEK?”:**

H. GRONKIEWICZ-WALTZ, J. KUROŃ, A. KWAŚNIEWSKI,
E. ŁĘTOWSKA, J. OLSZEWSKI, J. ONYSZKIEWICZ,
A. STRZEMBOSZ, L. WAŁĘSA, T. ZIELIŃSKI

A. KRUCZEK: **NOTATKI ROSYJSKIE**

B. PACZOWSKI:

„PRZYPOMNIEĆ JAK NAJWIĘCEJ”

SPIS RZECZY

JAKA POLSKA NA XXI WIEK? NA ANKIETĘ „KULTURY” ODPOWIEDZIELI:

—	<i>Hanna Gronkiewicz-Waltz</i>	4
—	<i>Jacek Kuroń</i>	17
—	<i>Aleksander Kwaśniewski</i>	29
—	<i>Ewa Łętowska</i>	41
—	<i>Jan Olszewski</i>	51
—	<i>Janusz Onyszkiewicz</i>	58
—	<i>Adam Strzembosz</i>	67
—	<i>Lech Wałęsa</i>	75
—	<i>Tadeusz Zieliński</i>	96
Redakcja „Kultury”:	<i>Pierwsze wnioski z Ankiety</i>	105

ARCHIWUM POLITYCZNE

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	112
Jędrzej Krakowski:	<i>Polska wobec Zachodu – partner czy klient?</i>	118

KRONIKA KULTURALNA

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	122
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>90-lecie urodzin Tymona Terleckiego</i>	132
QUIDNUNC:	<i>Kongres Kultury Polskiej na Ob- czyźnie</i>	134
—	<i>Komunikat Funduszu Pomocy Nie- zależnej Literaturze i Nauce Polskiej</i>	138

CI, CO ODESZLI

Aleksander I. Bragiński:	<i>Jacek. Wspomnienie o Jacku Jędr- chu</i>	139
--------------------------	---	-----

KSIĄŻKI

Bohdan Paczowski:	<i>„Przypomnieć jak najwięcej”</i> . . .	142
Leszek Szaruga:	<i>Między Wschodem i Zachodem</i> . .	152
—	•	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	154
—	•	
J. Grot-Kwaśniewski, P. Ha- nower, W.M. Marcinkowski, A. Ziółkowska-Boehm:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik–Octobre 1995

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Anonimowo, Paryż – Zamiast kwiatów dla Wandy – Dol. 100,00	F. 500,00
C.P. Czuchwicki, Panorama (Australia) – po raz 23-ci ...	F. 270,00
Andrzej Ehrenkreutz (Australia)	F. 100,00
Janina Z. Heide, Paryż	F. 1.000,00
Janina Olster-Kotlicka Łódź (Polska) – ku uczczeniu pamięci meo Meża Aleksandra Kotlickiego w przypadającej 23 września br. drugą rocznicę Jego śmierci	F. 400,00
François Prause, Chiangmai (Tajlandia) – po raz 39-ty ..	F. 300,00
Longin E. Sztachelski, St. Petersburg, FL. (USA) – po raz 38-my – Dol. 20,00	F. 100,00

WPLĄTY NA FUNDUSZ KATEDRY POLSKIEJ W JEROZOLIMIE

Wojciech Popławski, Carindale, Qld. (Australia)	F. 485,74
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) – £.stg. 20,00	F. 160,00

NA POMOC POLAKOM W ROSJI

Longin E. Sztachelski, St. Petersburg, FL. (USA) – Dol. 20,00	F. 100,00
--	-----------

DZIEKUJEMY

Jaka Polska na XXI wiek?

KANDYDACI NA URZĄD PREZYDENTA ODPOWIADAJĄ NA ANKIETĘ „KULTURY”

W dniu 5 listopada obywatele Rzeczypospolitej pójdą do urn w pierwszej turze wyborów Prezydenta RP. Skończy się pięcioletnia kadencja Lecha Wałęsy, pierwszego prezydenta III Rzeczypospolitej. On sam i wiele innych osób, o różnym stopniu powagi, kandyduje na ten wysoki urząd.

W numerze wrześniowym *Kultura* opublikowała kwestionariusz Ankiety rozpisanej przez naszą redakcję w związku z tymi wyborami. W bieżącym numerze drukujemy odpowiedzi siedmiu kandydatów i dwóch osób, które mogły kandydować, ale z rozmaitych powodów – albo z tego samego – zrezygnowały (Ewa Łętowska), albo musiały zrezygnować (Janusz Onyszkiewicz, który odpadł, niewielką różnicą głosów, na rzecz Jacka Kuronia).

Oto ich nazwiska w porządku alfabetycznym: Hanna Gronkiewicz-Waltz, Ewa Łętowska, Jacek Kuroń, Aleksander Kwaśniewski, Jan Olszewski, Janusz Onyszkiewicz, Adam Strzembos, Lech Wałęsa, Tadeusz Zieliński.

Kultura spotkała się tylko z dwiema odmowami: Andrzej Olechowski, który uznał, że nie może czy nie powinien wziąć udziału w naszej Ankiecie, i Józefa Zycha, który oświadczył, że nie zamierza kandydować. W związku z tym nie udało się nam uzyskać odpowiedzi kandydata PSL, gdyż inwestytura Waldemara Pawlaka przyszła za późno by mógł odpowiedzieć na Ankieta.

Rozpisując Ankiety *Kultura* wychodziła z założenia, że:

a) przedwyborcza debata polityczna w Polsce nie toczy się na poziomie odpowiadającym randze i prestiżowi nowoczesnego i demokratycznego państwa polskiego. Można sobie wyobrazić, do jakiego poziomu spadnie, jeżeli do kampanii, jak zapowiada prasa, włączą się np. Stanisław Tymiński, Janusz Bryczkowski czy Andrzej Lepper;

b) dotychczasowa kampania wyborcza pomija, w dużym stopniu, zagadnienia węzłowe dla przyszłości. W najlepszym wypadku, poglądy większości kandydatów na te sprawy (jeżeli je mają) są mało znane opinii publicznej;

c) *Kultura* jako pismo polityczne, wolne od wszelkich presji i niezależne od jakichkolwiek tendencji partyjnych czy koteryjnych, stanowi, naszym zdaniem, otwartą i właściwą trybunę dla wyrażenia i konfrontacji tych poglądów.

ODPOWIEDZI:

HANNA GRONKIEWICZ-WALTZ

KRZYSZTOF WOLICKI: – *Jak pojawił się pomysł Pani kandydatury?*

HANNA GRONKIEWICZ WALTZ: – Trudne pytanie, bo najpierw konkretnego pomysłodawcy nie było. Były różne osoby, które mówiły, że sytuacja jest, jaka jest, że obecny prezydent nie ma szans... Wiele z tych osób było ze środowiska samorządowców. Potem trochę czekałam, kogo wybierze Unia Wolności.

K.W.: – *To znaczy, że gdyby wybrała Hannę Suchocką to by Pani nie wystąpiła?*

H.G.W.: – Wolałabym nie odpowiadać.

K.W.: – *A jak to było z Czarneckim i Falandyszem?*

H.G.W.: – Z Czarneckim w ogóle się nie kontaktowałam, nie widziałam go od trzech lat, byłam zaskoczona jego wystąpieniem. Już potem spotkaliśmy się w telewizji przy nagrywaniu „Pytań o Polskę” i wymieniliśmy wizytówki z takim komentarzem, że nikt i tak nie uwierzy iż robimy to dopiero teraz. To była taka droga naturalna.

K.W.: – *Wie Pani, powiedziec że zostaje się kandydatem na prezydenta drogą naturalną... A co na to instytucja, która uchodzi za inspiratora Pani kandydatury, to znaczy Kościół katolicki?*

H.G.W.: – Żaden z biskupów nigdy mi nie mówił, że chciałby abym została prezydentem.

K.W.: – *A poniżej biskupa też nie?*

H.G.W.: – Żadni konkretni księża też nie.

K.W.: – *Podobno jest Pani związana z Opus Dei. Czy to prawda?*

H.G.W.: – Nigdy nie należałam do *Opus Dei*, jestem od 13 lat związana z *Odnową w Duchu Świętym*... Dwa razy zaproszono mnie na prelekcję, raz wspólnota żeńska, raz męska.

K.W.: – *I to jedyna Pani znajomość z Opus Dei, te dwa zaproszenia?*

H.G.W.: – Tak, te dwa zaproszenia w Polsce, już jako prezesa NBP.

K.W.: – *A jak to się stało, że weszła Pani do życia politycznego i od razu jako prezes NBP? Jak to się stało, że prezydent wysunął Pani kandydaturę?*

H.G.W.: – Przez Leszka Falandysza, mego kolegę z wydziału, w 1980 roku razem zakładaliśmy tam Solidarność. Jako jedyny chyba z samodzielnych pracowników naukowych był w pierwszej grupie inicjatywnej... On zresztą nawet nie wiedział dokładnie, czym ja się zajmuję, byliśmy w różnych instytucjach, wspólna koleżanka powiedziała mu: – wiesz, Hania

pisze habilitację z Banku Centralnego... Z naszego wydziału dużo osób sprawuje różne funkcje. Maria Gintowt kieruje polską ENA, Chojna-Duch jest wiceministrem finansów, Michał Kulesza, dawniej z URM, też jest moim kolegą.

K.W.: – *Zatem politycznie każdy z innej parafii?*

H.G.W.: – Tak, ale przygotowanie wspólne.

K.W.: – *Z panią Chojną-Duch, teraz zapewne się Pani sprzecza?*

H.G.W.: – Sprzeczam się merytorycznie, ale to moja koleżanka, z tego samego Instytutu.

K.W.: – *Jaki projekt konstytucji, z obecnie znanych, pani popiera?*

H.G.W.: – Przystępując do Konwentu św. Katarzyny zobowiązałam się, że punktem wyjścia będzie projekt Solidarności. Ze względu na trójpodział władz jest dla mnie do zaakceptowania. Nie odpowiada mi projekt sejmowy, który zmierza raczej do prezydentury jako reprezentacji, natomiast pierwotny projekt KPN przewidywał zbyt silną pozycję prezydenta, nie było w nim wzajemnego hamowania się władz. Szczerze mówiąc, jeśli chodzi o podział władzy, mała konstytucja jest w miarę rozsądna. Natomiast obrona narodowa, poza szczególnymi wypadkami, powinna być w gestii rządu.

K.W.: – *To znaczy jest Pani przeciwna systemowi trzech wydzielonych ministerstw prezydenckich?*

H.G.W.: – Trochę jestem przeciwna.

K.W.: – *Trochę czy rzeczywiście?*

H.G.W.: – To znaczy, to jest odpowiedzialność rządu – tylko na czas wojny współodpowiedzialność z prezydentem – i o to nie powinno być walki. Na pewno powinien być cywilny minister obrony, któremu podlega szef sztabu.

K.W.: – *A co Pani sądzi o zachowaniach politycznych ofi-*

cerów Sztabu Generalnego, o co jest teraz taka awantura?

H.G.W.: – Uważam, że w młodej demokracji takie podnoszenie niezadowolenia wojska jest szczególnie niezdrowe. Na to po epoce komunizmu musimy być szczególnie wyczuleni. Wojsko nie jest uprawnione do wydawania ocen politycznych. Byłam zresztą zdziwiona, że to nie minister obrony przemawia, tylko szef sztabu.

K.W.: – *Chodzą różne scenariusze po Polsce, jak to Solidarność przyjedzie na jesieni awanturować się i jak pan prezydent wezwie wojsko. Czy Pani się z tym nie zetknęła?*

H.G.W.: – Owszem, zetknęłam się. To krąży wśród elit politycznych, z którymi mam kontakty, i tam się z tym zetknęłam. Ale nie chce mi się wierzyć, aby miała nastąpić jakaś próba zamachu na demokrację. Ale podobnie jak z owymi pomysłami odroczenia wyborów – które ostro skrytykowałam – dobrze, że to wychodzi na jaw, że mamy wolną prasę, bo takie rzeczy ujawniane są od razu mniej groźne.

K.W.: – *Jak Pani tłumaczy mnożenie się takich historii, mimo że ogólna sytuacja gospodarcza wydaje się lepsza? Kto jest źródłem?*

H.G.W.: – Nie mogę odpowiedzieć, bo nie wiem do końca jak to wygląda.

K.W.: – *Ale coś Pani przypuszcza, ma Pani jakąś koncepcję sytuacji w kraju?*

H.G.W.: – Nie mówiąc o konkretnych osobach, sądzę, że są w to wmieszane jakieś grupy elit, które chcą przedłużyć swą władzę, nie dopuścić innych ludzi, innych twarzy. A trzeba by zmienić aktorów.

K.W.: – *Na kogo? Gdyby Pani zechciała wymienić kogoś z tych nowych aktorów?*

H.G.W.: – Myślę, że są to osoby, które stanowią pewnego rodzaju następną generację, taką niekoniecznie kombatancką. Wydaje mi się, że od sześciu lat, w różnych partiach, tak

sobie myślę, ludzie z drugiego czy trzeciego rządu nie są dopuszczani. Większość idoli zużyła się. Wyraźnie potrzeba ludzi nie naznaczonych tak silną opozycyjnością, bo w niektórych przypadkach ważniejsza jest skłonność do konstruktywności. I prawie wszędzie w świecie mamy do czynienia z takim nowym pokoleniem politycznym. Potrzeba ludzi nie obciążonych tak do końca działalnością opozycyjną. To smutne, bo ci ludzie mają zasługi, w każdym podręczniku historii będą te nazwiska, ale teraz powinni mieć więcej zaufania do osób z mniejszym doświadczeniem publicznym... Tak wychodzi, że ja mówię trochę jakby we własnym interesie...

K.W.: – *Każdy ma prawo mówić we własnym interesie.*

H.G.W.: – Ale tak to czuję, i nie tylko ja. Zajmowałam się nieco działalnością i reformą samorządową. Nie byłam w pierwszym garniturze jak Michał Kulesza, ale byłam np. współautorką ustawy o samorządzie Warszawy. W ten sposób spotkałam takich ludzi jakby z nowej generacji polityków, radnych, zresztą z różnych partii. Pełnią bardzo ważne role w terenie i mogą przejść wyżej, do parlamentu.

K.W.: – *Rozumiem, że mówiąc o kombatantach, chce Pani powiedzieć, że chodzi o nowe pokolenie ludzi, którzy wyrosli nie szykując się do walki, szczególnie podziemnej, ale do zarządzania czymś tam, do roli menedżerów.*

H.G.W.: – To właśnie miałam na myśli... Tych czterdziestolatków w samorządach.

K.W.: – *Ale czy to jest naprawdę nowe pokolenie, czy to nie są po prostu różne typy ludzi – jedni nadstawiają karku, a inni organizują handel śliwkami... Pani kontrkandydat Kwaśniewski ma właśnie 40 lat, a cóż to za nowe pokolenie?*

H.G.W.: – Otóż tak, on cieszy się poparciem wśród tych czterdziestolatków. Uważają go za swego, nie kojarzą z przeszłością, z tamtym systemem, a on umie się w tym znaleźć, ma odpowiedni sposób bycia. I dlatego mam takie nieskromne przekonanie, że ja również, jestem z 1952 roku,

mam większe szanse niż osoby z poprzedniej generacji politycznej, to jest starsze, powiedzmy, o 10 lat.

K.W.: – *Czy Pani sądzi, że Lech Wałęsa w końcu wystartuje?*

H.G.W.: – Myślę, że on sam tego jeszcze nie wie. On tak nerwowo reaguje. Na mnie się obraził.

K.W.: – *To mało powiedziane, on Panią uważa za zdrajczynię.*

H.G.W.: – Ja jestem wolny człowiek, nie związany układami. Póki jeszcze myślałam, że on ma szansę... Będę postępować niezależnie.

K.W.: – *Kto powinien pozostawać na posadzie w urzędzie, a kto przychodzić i odchodzić wraz z rządem?*

H.G.W.: – To trochę zależy, jak było u poprzednika, jak głębokie były zmiany... Jeśli chodzi o stan idealny...

K.W.: – *Nie tylko, Pani prezes, ja mam na myśli stan prawny, statut.*

H.G.W.: – Ten, kto przychodzi kierować instytucją, ma prawo zmienić swych zastępców, sekretarza czy podsekretarza stanu. Ale oczywiście nie musi.

K.W.: – *Czy powinien być dyrektor generalny, taka głowa tego niezmiennego aparatu?*

H.G.W.: – Niekoniecznie.

K.W.: – *A funkcja dyrektora urzędu w urzędzie wojewódzkim?*

H.G.W.: – Trudno mi odpowiedzieć. Zajmowałam się samorządem, mniej strukturami urzędów.

K.W.: – *Czy gdyby wygrała Pani wybory – dążyłaby Pani do szybkiego rozwiązania parlamentu?*

H.G.W.: – Tak, w sposób legalny, oczywiście, gdyby to było możliwe na fali zwycięstwa, np. wskutek rozpadu aktualnej koalicji.

K.W.: – *To znaczy wyjścia z niej PSL. Ma więc Pani nadzieję, że PSL by Panią poparł?*

H.G.W.: – Nie ukrywam. Już kiedyś mnie poparł, kiedy kandydowałam na prezesa NBP.

K.W.: – *Czy należy przeprowadzić wyraźny rozdział Kościoła od państwa?*

H.G.W.: – Ja bym to nazwała autonomią a nie rozdziałem. Merytorycznie to się istotnie nie różni. Natomiast w konstytucji stalinowskiej rozdział był konsumowany w sposób ograniczający pozycję Kościoła jako podmiotu prawnego, więc byłabym za tym, co proponuje Kościół: autonomią i współdziałaniem.

K.W.: – *Co z ratyfikacją konkordatu?*

H.G.W.: – Konkordat należy ratyfikować już obecnie, nie jest do tego konieczne uchwalenie konstytucji.

K.W.: – *Podatek kościelny, który byłby podstawą budżetu kościołów i związków wyznaniowych?*

H.G.W.: – Ja nie mam nic przeciwko temu, ale chodzi o zgodę zainteresowanych stron.

K.W.: – *Ministerstwo do spraw stosunków z wyznaniem religijnymi, lub odpowiednie rozszerzenie zakresu Ministerstwa Edukacji, jak przed wojną?*

H.G.W.: – Nie widzę takiej potrzeby.

K.W.: – *Lustracja i dekomunizacja?*

H.G.W.: – Powinna być ustawa o lustracji dotycząca przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Ci, którzy zatrudniają ludzi na wysokich stanowiskach, powinni ich zgodnie z ustawą sprawdzać.

K.W.: – *Co sprawdzać?*

H.G.W.: – Czy nie mają do czynienia z tajnymi współpracownikami, ponieważ zawsze jest problem lojalności bądź szantażu.

K.W.: – *Co zatem sprawdzać będziemy w przyszłości: czy nie jest to tajny współpracownik naszej policji, UOP-u?*

H.G.W.: – A tak. Jeśli np. chodzi o kogoś na wyższym stanowisku w sądzie lub banku, to nie powinien być tajnym współpracownikiem. Jeśli zachodzi potrzeba obrony państwa, to niech tym się zajmuje zwyczajny pracownik UOP. Co do dekomunizacji, ja mam taki pomysł... Jest niewiele osób, które dokonały osobistego rozrachunku moralnego, wszystkie, które znam, z reguły były działaczami opozycji. Wydaje mi się, że ci, którzy byli aż do końca, do 1989 związani z systemem, mogliby, gdyby chcieli, podjąć jakąś ocenę politycznej odpowiedzialności tego systemu. Żeby nie było takich zjawisk, jak oświadczenie pani Sierakowskiej, że ona żyła w kraju, w którym była wolność.

K.W.: – *To są opinie pani Sierakowskiej... Ale ja, zdaje się, nie bardzo rozumiem Pani pomysł...*

H.G.W.: – Taka debata, żeby jednak ocenić, że system totalitarny był czymś negatywnym, to nie musi być wiele osób. Wtedy może nastąpić pojednanie. To jest w interesie tych osób.

K.W.: – *Czy Pani się nie obawia, że instytucjonalizowanie debaty, rozrachunku, spowiedzi, wszystko jedno jak Pani nazwie, prowadzi do dość kontrproduktywnych skutków, by nie powiedzieć ostrzej. Bo Pani powiada, żeby oni potępili ustroj totalitarny, jako, oczywiście, egzemplifikowany przez PRL, bo oni żyli właśnie w PRL. Otóż oni nie chcą potępić ustroju totalitarnego i zapewne powiedzą to Pani głośno. To może być znaczna grupa obywateli. No i co? Natychmiast staniemy w obliczu kryzysu politycznego w państwie...*

H.G.W.: – Ja sądzę, że to powinna być taka ocena etyczna. Powinni do niej przystąpić ci, którzy chcą, nikogo nie wy-

wolować po imieniu. Ja znam, nie osobiście, ale opowiadano mi, ludzi, którzy by chcieli wziąć w tym udział.

K.W.: – *Ależ to nie wymaga żadnych rozwiązań ustawowych.*

H.G.W.: – Ja nie mówię o ustawie.

K.W.: – *To znaczy, że chodziłoby o jakąś akcję społeczną.*

H.G.W.: – Tak, społeczną, w sferze etyki, ale nie ustawową.

K.W.: – *A kto miałby taką akcję prowadzić?*

H.G.W.: – Trzeba by podjąć dyskusję, co nazywam debatą, po prostu należałoby o tym zacząć mówić, o tym się nie mówi.

K.W.: – *Czy Pani się nie obawia, że grunt za nami jest już tak zabagniony, że żadna debata nie byłaby już dobrej wiary? No np. jaka to debata byłaby pomiędzy RdR a SLD, a nawet, bliżej, pomiędzy ZChN a Unią Wolności?*

H.G.W.: – Nie debata *stricte* polityczna. Chodziłoby o ludzi, którzy uczestniczyli w tamtym systemie, a którzy dzisiaj też oczywiście mogą uczestniczyć w polityce, ale debata nie powinna być bilateralna czy multilateralna w sensie partyjności.

K.W.: – *Kiedy Pani mówi o uczestnikach tamtego systemu musi się Pani zdecydować: uczestniczenie w tamtym systemie dotyczy na dobrą sprawę całej dorosłej ludności kraju, natomiast ci, którzy byli w tamtym systemie u władzy, jest to stosunkowo wąska grupa ludzi, którzy Pani odpowiedzą: my mamy swoje prywatne rozrachunki i nawet własną partię i proszę się nie mieszać do naszego życia. Jeśli ma Pani do nas jakieś zarzuty kryminalnej natury, to proszę wyłożyć; nie? – to przepraszamy, do widzenia.*

H.G.W.: – Wie Pan, jako prawnik ja dekomunizacji w sensie odpowiedzialności ustawowej nie czuję. Natomiast mam taki niedosyt, taką potrzebę etyczną, bo to zostało trochę zabrane, przyzna Pan?

K.W.: – *Ależ oczywiście. Ale w takim razie musiałaby Pani*

powiedzieć, czy w swoim czasie popierała Pani rozwiązania okrągłego stołu? Bo zawsze jest coś za coś.

H.G.W.: – Ja przy nim nie byłam. Powiedziałabym, że z upływem czasu mam taką ocenę mieszaną, niejednoznaczną. Nie muszę mieć na ten temat odpowiedzi na wszystko.

K.W.: – *Czy Pani uważa, że aktualny stan rzeczy w polityce wobec mniejszości jest zadowalający?*

H.G.W.: – Odpowiem szczerze, nie wszystkimi problemami mogłam się głębiej zająć. W moim odczuciu jest zadowalający.

K.W.: – *Prywatyzacja i reprivatyzacja?*

H.G.W.: – Jestem za reprivatyzacją w naturze dla właścicieli, dzieci ewentualnie też, ale dalej już się nie da... Jeżeli doszło do złamania ówczesnego prawa, to trzeba to zrekompenzować, ale w granicach rozsądku.

K.W.: – *Zapytam jeszcze inaczej: czy Pani należy do ludzi, którzy uważają, że własność prywatna jest święta?*

H.G.W.: – Świętość to takie duże słowo... Własność prywatna jest wartością, której ochrona jest zapisana w konstytucji, i słusznie, ale żeby zaraz świętość... W każdym razie kwestię rekompensat za utraconą własność trzeba wreszcie rozstrzygnąć, bo stan zawieszenia bardzo szkodzi również inwestycjom w Polsce.

K.W.: – *Rządowy projekt reprivatyzacji, obecnie w komisjach sejmowych, nie przewiduje prawie w ogóle zwrotu w naturze. Jeśli ostatecznie projekt zostanie uchwalony, czy starałaby się Pani coś jeszcze w tej sprawie zrobić?*

H.G.W.: – To zależy jak ustawa byłaby konsumowana, ale co do zwrotu w naturze coś bym starała się poprawić.

K.W.: – *A prywatyzacja?*

H.G.W.: – Ja jestem zdania, że gospodarka prywatna jest najbardziej efektywna, również w stosunku do gospodarki mieszcanej, bliskiej, zdaje się, Unii Pracy.

K.W.: – *Czy wobec tego popiera Pani projekt Solidarności?*

H.G.W.: – On nie jest jeszcze kompletny, ale co do uwłaszczenia to tak, najlepiej na kształt Słowenii i b. Czechosłowacji, bo tam nie wykreowano przy tym pieniądza – w przeciwieństwie do propozycji pana prezydenta z kwietnia 1992 (słynne 100 a potem 300 milionów – K.W.). Prywatyzacja kuponowa też ma swoje wady, ale chyba specjalnych szkód nie przynosi. To widać w Słowenii, w Czechach i na Słowacji. Myślę, że prywatyzacja jest sprawą pierwszoplanową i w zasadzie niesporną. Są jakieś ciągoty Unii Pracy, by zachować sektor państwowy i są pomysły, żeby jednoosobowe spółki skarbu państwa pozostawić i niech sobie żyją. Tego się zresztą obawiam.

K.W.: – *Unia Pracy, o ile rozumiem, jest zdania, że rozwój technologii i rozrost niektórych struktur gospodarczych może stworzyć nowe uzasadnienia dla przedsiębiorstw publicznych.*

H.G.W.: – Ja w to nie wierzę.

K.W.: – *Przystąpienie do Unii Europejskiej?*

H.G.W.: – Czy przystąpienie do Unii będzie dla nas korzystne gospodarczo zależy od warunków. Ja bym chciała, żeby te warunki były takie jak dla Hiszpanii i Grecji, a nie takie jak dla Austrii.

K.W.: – *To jest mało realne, tamte sytuacje były niejako jednorazowe.*

H.G.W.: – W związku z tym będzie to niełatwa decyzja, bo my nie mamy takiej siły i potencjału jak Austria czy Szwecja. Jakikolwiek jednak byłyby trudności trzeba mieć świadomość, że droga do Unii Europejskiej to jest dobra droga. We wszystkich krajach, które wstąpiły do Unii, różnice społeczne zmalały, i na to trzeba wskazywać (Hiszpania, Grecja, Portugalia). Wstąpienie do Unii będzie więc dla nas korzystne, oczywiście w momencie, kiedy stanie się możliwe. Nasz system ekonomiczny jeszcze się nie zrekonstruował, to jest w

trakcie. Najtrudniej będzie w rolnictwie. Iść trzeba w kierunku Unii systematycznie, ale mieć świadomość, że przyspieszeń nie da się dekretować.

K.W.: – *To aspekt gospodarczy. Ale nie obawia się Pani przewrotu socjalnego – bo to jest perspektywa bez mała likwidacji ludności rolniczej – a zatem i przewrotu cywilizacyjnego. Kościół np. wyraźnie się tego boi. Czy zatem naśladowanie struktury ludnościowo-zawodowej Zachodu to musi być ideał?*

H.G.W.: – Myślę, że tego nie da się uniknąć. Nie o to chodzi, czy to jest ideał, ale o coraz większą efektywność, coraz większe zmechanizowanie. To postępuje w sposób naturalny, coraz mniej ludzi jest w stanie wyżywić coraz więcej. W Stanach jest tak samo. To jest pewna rzeczywistość, uciekanie od tego na siłę nie wydaje się racjonalne.

K.W.: – *Jest Pani gorącą katoliczką, a w tych sprawach kształtu cywilizacji przypomina mi Pani wulgarny marksizm, na to nie ma rady, siły wytwórcze się rozwijają.*

H.G.W.: – To jest pewna naturalna droga, nie można tego hamować... Ale przyspieszać też się nie da.

K.W.: – *A światowy system monetarny, czy nie ma Pani poczucia, o czym donoszą różni ludzie z całego świata, że jest on już poza wszelkim zarządzaniem, rządzi się sam, że nie tylko żadne państwo nic nie może zrobić ale również MFW jest bezsilny? To jest machina która działa póki działa, ale działa sama, te masowe przepływy kapitałów, nad którymi państwo jako sieć banków centralnych już nie ma żadnej władzy...*

H.G.W.: – Ta władza jest mniejsza niż była kiedyś, ale nie można powiedzieć, że jej nie ma. Chodzi przede wszystkim o nowe produkty bankowe, o system derytywów. Ze względu na globalizację i liberalizację przepływów kapitałowych to ma wszystko nowy wymiar. Ale nie można powiedzieć, że nie ma zupełnie kontroli. Unia Europejska np. przewiduje taką kontrolę poprzez Europejski Bank Centralny i sieć centralnych

banków narodowych, które zresztą nie tracą aż tak wiele ze swej suwerenności. Nowe zjawiska zawsze wywołują niepokój. Ale zarazem istnieje wzmożony przepływ informacji w systemie, cała sieć komitetów, które się nawzajem informują. Teraz możemy wiele rzeczy znacznie ściślej obserwować, tak że nie sędzę, by nam groziła jakaś katastrofa w rodzaju kryzysu lat 30-tych. Ludzie przywykli myśleć, choćby na naszym podwórku, że wszystko można ściśle kontrolować i że państwo powinno mieć na wszystko wpływ, na finanse, na gospodarkę, i interweniować – tak chociażby było w Polsce przed wojną. Ale współcześnie tak być nie musi – i to nie jest przeciw człowiekowi.

K.W.: – *Czy Pani jest dobrego zdania o polskich elitach gospodarczych?*

H.G.W.: – Kogo Pan rozumie przez elity?

K.W.: – *Przedsiębiorców, prywatnych bankierów, właścicieli, finansistów, menedżerów...*

H.G.W.: – Po sześciu latach – nie jest tak źle. Ludzie funkcjonowali w zupełnie odmiennym systemie, również tak zwana prywatna inicjatywa, uczyli się dość szybko i dużo się nauczyli.

K.W.: – *A czy wyszliśmy już z tej fazy, że pierwszy milion trzeba ukraść?*

H.G.W.: – Tego nie wiem, ja tego nie sprawdzam, ale mam nadzieję, że tak. Chociaż bałagan jest jeszcze niewąski. Pilnie potrzeba bardziej nowoczesnego sposobu zarządzania finansami. Studia dopiero od niedawna zaczęły w tym pomagać. Ja np. byłam już doktorem prawa a nigdy nie zdawałam z kodeksu handlowego. Tak samo ekonomiści, finansiści, bardzo wielu rzeczy musieliśmy się uczyć sami. Teraz to się już zmieniło, ale ten proces trwa...

16 sierpnia 1995

JACEK KURON

KRZYSZTOF WOLICKI: – *Jak wyobrażasz sobie miejsce prezydenta w systemie władzy?*

JACEK KURON.: – Dziś w Polsce prezydent powinien być rzecznikiem społeczeństwa obywatelskiego, tzn. kimś, kto potrafi być autorytetem i budowniczym kompromisu społecznego, a więc działa na rzecz różnych grup społecznych ale, oczywiście, chroniąc najsłabszych, bo im jest najtrudniej odnaleźć się w państwie. Prezydent powinien być arbitrem i koordynatorem funkcjonowania instytucji demokratycznych, tradycyjnych i nowo powstających...

K.W.: – *Ale miejsce w systemie władzy?*

J.K.: – W obliczu wyborów nie stać nas na nową konstrukcję, ale jako prezydent używałbym moich uprawnień o wiele rzadziej i ostrożniej, bardziej opierałbym się na autorytecie niż na uprawnieniach.

K.W.: – *Resorty prezydenckie?*

J.K.: – Rządzić powinien rząd. Wpływ prezydenta na obsadę rządu i tak będzie duży, bo nie wyobrażam sobie rządu, który nie chce mieć dobrych stosunków z prezydentem, który może zawsze zaapelować do premiera publicznie... Nigdy bym nie wetował budżetu. W ogólności – uprawnienia prezydenta można by więc nieco ograniczyć, ale tylko w miarę wzrostu autorytetu prezydenta i pozycji – jako moderatora, arbitra itd. W żadnym razie prezydent nie może wszczynać rozróbek. Żadnych wojen na górze. Prezydent musi być rzecznikiem porozumienia społecznego a nie wojny.

K.W.: – *Co jednak nie zmienia faktu, że rzecznik też musi zajmować stanowisko?*

J.K.: – Co to znaczy? Prezydent winien działać raczej perswazyjną, dialogiem, dyskusją...

K.W.: – *Dyskusja też musi się kiedyś kończyć.*

J.K.: – Kiedy np. odbędzie się spotkanie prezydenta z klubem czy klubami parlamentarnymi, wówczas – jestem przekonany – potrafię ich przekonać do szukania sensownego kompromisu.

K.W.: – *Masz zatem bardzo optymistyczny pogląd na możliwość pozyskiwania autorytetu przez prezydenta.*

J.K.: – Nie, mam bardzo optymistyczny pogląd na możliwości mediacyjne Jacka Kuronia jako prezydenta. Całe życie mediowałem. Całe życie mnie przekonało, że kiedy się podchodzi do mediowania sensownie i uczciwie, to mediacja okazuje się uczestnikom konfliktu potrzebna jak powietrze, jako że przecież u podłoża konfliktów leży współdziałanie, bez którego skonfliktowane grupy nie mogłyby istnieć. Trzeba żeby ludzie sobie uświadomili, że mają wspólny interes. To jest moja filozofia rządzenia.

K.W.: – *To nie jest filozofia rządzenia, lecz mediowania.*

J.K.: – Nie, panie redaktorze. Chodzi o funkcjonowanie demokratycznego społeczeństwa i podejmowanie przez nie sensownych decyzji. Ja jestem rzecznikiem władzy obywateli. Mediator to nie jest ktoś, kto stoi z boku. Mediator szuka rozwiązań spełniających oczekiwania, musi znaleźć taki pomysł, żeby oni zaczęli rozmawiać, szukać sami, choć najpierw mieli tylko sprzeczne idee. Mediator musi być akuszerem myśli, idei, tworzenia.

K.W.: – *Jacku, ty jesteś idealista.*

J.K.: – Nie, ja właśnie jestem praktyk... Zacząłem od tego, że podłożem dla konfliktu jest rzeczywista wspólnota interesów. Konflikt jest realny, ale i wspólnota jest rzeczywista. Jeśli się dostrzeżę obie te realności, to możliwy jest kompromis – nie negatywny, to jest taki, że każdy oddaje tyle, iż kompromis wprawdzie jest, ale nikt za nim nie stoi – ale kompromis pozytywny to znaczy taki, że wspólnie konstruuje się sytuację taką, by wszyscy mogli zrealizować jak najwięcej ze swych postulatów. Autentycznym problemem jest rozłożenie tej realizacji w czasie, ustalenie kolejności.

K.W.: – *Jacku, nie sądzisz, że Twoja koncepcja prezydentury jest jakoś podobna do prezydentury Lecha Wałęsy, w tym mianowicie sensie, że za prezydentem nie stoi żadna siła polityczna?*

J.K.: – Rzeczywiście, można tak powiedzieć. Ale chcę zauważyć, że w Polsce, w tym całym chaosie, prezydent nie powinien być w żadnym razie człowiekiem żadnej partii, powinien być ponad partiami, ponad podziałami. W Polsce w związku z przełomem, z zawaleniem się starego ładu nastąpiła eksplozja aktywności społecznej. Bieda jednak w tym, że politycy są odspołecznieni, a społecznicy odpolitycznieni. Przy budowie nowego ładu społecznego – ładu przede wszystkim dla słabych, bo silny sam sobie da radę, ale podkreślam, że dla słabych nie znaczy przeciw silnym – otóż w tym zadaniu prezydent może zyskać bardzo mocny jednolity front. Ale nie będzie to, oczywiście, żadna partia prezydencka. Jestem przeciw takiej partii i przeciw takiej zamianie systemu na prezydencki.

K.W.: – *A czy Twoja partia też tak myśli?*

J.K.: – Moją kandydaturę wysunęły komitety obywatelskie. Unię Wolności – bo to jej chyba dotyczy pytanie – zapytałem czy chce się do tej inicjatywy przyłączyć. Ale nie jestem w żadnej mierze kandydatem partyjnym.

K.W.: – *Kilka kwestii szczegółowych. Czy jesteś za ograniczeniem administracji centralnej i za statutowym odgraniczeniem stanowisk politycznych od reszty?*

J.K.: – Na drugie – tak, polityczny ma być minister i może wiceminister, dalej apolityczność. Zdecydowanie tak. Co do ograniczenia administracji centralnej – również tak, ale, uważa, wraz z decentralizacją na rzecz samorządów tj. gmin, powiatów, województw regionalnych, bo teraz administracja centralna jest przeciążona i wskutek tego niesprawna. Ministrowie i wiceministrowie podpisują sterty papierów często nie wiedząc co podpisują. Ze mną też tak było, bo mogłem czytać tylko co któreś pismo, inaczej nigdy bym się nie wyrobił.

K.W.: – *Czy sądzisz, że ów podział „oni-my”, oni którzy*

rządzą i my, rządzeni, może być w ogóle przewyciężony? Socjalizm na tym zęby połamał, kapitalizm nawet nie próbował tego ugryźć, tyle tylko że w nim „oni” nie są aż tacy ważni jak im się wydaje?

J.K.: – Właśnie. Gdyby ten podział nie był stopniowalny, moglibyśmy dyskutować bez końca. Ale jest, można go osłabiać. W miejsce totalnego braku zaufania może zapanować zaufanie „w zasadzie”, choć wiem, że władzy trzeba zawsze patrzeć na ręce. Teraz cały świat jest w głębokim kryzysie struktur, ale jeszcze kilka lat temu zachodziła, jak sądzę, zasadnicza różnica pomiędzy stosunkiem do państwa, rządu, polityków Brytyjczyka a Polaka bądź Rosjanina. Chciałbym ten podział „oni/my” jak najbardziej ograniczyć przez jak największą aktywność polityczną obywateli. Wiem, że ludziom w ogóle trudno o aktywność polityczną. Ale jest jednak tak, że tu czy tam, przy różnych okazjach – zakładanie telefonów, oczyszczalni ścieków, spółek wodnych, fundacji pomocowych – następują swoiste eksplozje aktywności. I wtedy jest tak, że wokół jednego czy kilku ludzi, którzy są w ogóle aktywni, gromadzą się inni, którzy są im gotowi pomóc, są w gotowości, do których można się odwołać. I o to mi właśnie chodzi.

K.W.: – Czy widzisz jakiś sposób zapewnienia niezależności NIK i mediów publicznych?

J.K.: – Pracuję teraz nad szczegółowymi rozwiązaniami. Ale to, by prezes NIK czy telewizji publicznej był człowiekiem niezależnym, musi się opierać na porozumieniu między siłami politycznymi. Sam wybór należy raczej pozostawić Sejmowi, ale zasadniczą sprawą jest to porozumienie. Druga sprawa, to rezerwuar kadr, z którego by dobierano nominatów na wzór korpusu cywilnych funkcjonariuszy państwa: absolwenci odpowiednich uczelni, bezpartyjni, którzy składają przysięgę jeszcze przed nominacją. Oczywiście, nie stworzymy korpusu prezesów NIK czy prezesów telewizji, ale warunki stawiane powinny być analogiczne. Rada do spraw radia i telewizji pozostaje oczywiście ciałem politycznym, ale ona nie rządzi lecz nadzoruje.

K.W.: – Oni się teraz głównie nadzorują nawzajem, tak że na telewizję już nie mają czasu.

J.K.: – To kwestia źle określonych kompetencji.

K.W.: – Jak w ogóle należy obsadzać stanowiska urzędnicze?

J.K.: – Tryb konkursowy, wymaganie kwalifikacji i apolityczność.

K.W.: – Co z wojskiem, czy chcemy cywilnej kontroli nad wojskiem i czy chcemy wojska zawodowego?

J.K.: – Na pewno kontrola cywilna i koniecznie trzeba do tego wychowywać oficerów, którzy mają skłonność sądzić, że skoro cywilna, to niefachowa. Natomiast armia zawodowa, to sprawa kosztów, może być wprowadzona dopiero przy odpowiednim poziomie rozwoju. Ale tak, chcemy armii zawodowej, ponieważ wojsko zawodowe najłatwiej jest uchronić od deprawującego oddziaływania na służących w nim ludzi.

K.W.: – Kościół-Państwo: jaka konstytucyjna formuła stosunków, co z konkordatem, czy mamy dążyć do podatku kościelnego jako podstawy budżetów Kościołów i związków wyznaniowych?

J.K.: – Jeśli abstrahować od transcendencji, Kościół jest wspólnotą wiernych, a zatem obywateli. Ma więc dokładnie te same prawa co każdy obywatel. Nieporozumieniem jest np. ograniczanie uprawnień politycznych Kościoła. Każda wspólnota obywateli może się wypowiadać w każdej sprawie. Natomiast żadna wspólnota obywateli nie może zastępować demokratycznych struktur i demokratycznej władzy. To właśnie powinno być zapisane w konstytucji. Natomiast żaden przepis nie może jakiegokolwiek wspólnotcie, a więc również Kościołowi, zawarować jej znaczenia w społeczeństwie: tyle będzie miała, ile sobie wypracuje. Inaczej odeszlibyśmy od demokracji do społeczeństwa stanowego. Jak ta wspólnota wiernych jest zorganizowana i w jaki sposób ustala swą reprezentację, to jej sprawa. Rozmawiając z reprezentacją Kościoła zawsze trzeba robić to założenie: rozmawiamy z reprezentacją wspólnoty. Jeśli zaś pan redaktor mi powie, że tam nastąpiła alienacja i że reprezentacji nie ma, odpowiem, że w takim ra-

zie znaczenie tego Kościoła w społeczeństwie stanie się znikome. Znaczenie Kościoła w społeczeństwie polega na tym, ilu ludzi chce w nim działać, a jeśli robią to w duchu ewangelii, to chwała im za to. Teraz przechodzimy do formuły prawnej zwanej konkordatem.

K.W.: – *Powoli, najpierw do formuły prawnej, która określa państwo, a nie Kościół, bo cały spór konstytucyjny dotyczy przecież tego, jakie ma być państwo, jak ma być określone ono właśnie, nie zaś Kościół, jako światopoglądowo neutralne czy nie.*

J.K.: – Proszę bardzo. Państwo musi się opierać na prawie, a prawo nie może mieć charakteru ideologicznego. Czy może być aksjologicznie puste? Odpowiadam: może być, prawo pochodzi od obywateli, a obywatele kształtują je w takim duchu, w jakim żyją. Konstytucja, poza tym że określa działanie władz czyli kwestie techniczne, powinna zawierać takie prawa, których parlament zmieniać nie może: prawa człowieka i obywatela.

K.W.: – *A zatem nie powinna mówić oddzielnie o stosunkach państwa z Kościołem?*

J.K.: – Nie, uprawnienia Kościołów, jak wszelkich wspólnot obywateli, są zawarte w owych prawach człowieka i obywatela. Że zaś Kościół jest szczególnie wrażliwy na słowo „rozdział” można się bez niego obyć. Jeśli chodzi o konkordat, to raził mnie początkowo ten pomysł, że państwo porozumiewa się z grupą swych obywateli za pośrednictwem umowy z innym państwem. Ale pomyślałem sobie, że historia ludzkości dowodzi, iż to jest dla człowieka dobre, bo bywają państwa ciemnościelskie i jeśli wtedy są siły zewnętrzne, które człowieka chronią, to dobrze a nie źle. Konkordat jest więc dopuszczalny choć nie konieczny, pod warunkiem że jest ściśle zgodny z konstytucją, z owymi prawami człowieka i obywatela.

K.W.: – *A ten konkordat, który leży i czeka, jest zgodny czy nie?*

J.K.: – Został przyjęty przez Radę Ministrów z moim udziałem

łem choć przy moim *votum separatum*. Ale takim ostrożnym. Nie ogłaszałem go, ze względu na solidarność Rady Ministrów oraz dlatego że jednak rozmaite zgłaszane przeze mnie zastrzeżenia zostały uwzględnione. Problem jest w czym innym, mianowicie w społeczeństwie, gdzie jest tak wiele lęków i fobii, wokół konkordatu nagromadziły się kolejne i potrzeba wielkiej pracy, by rzecz wyjaśnić. Jest tam np. sprawa pochówków, zróbmy więc protokół dodatkowy. Są obawy co do ślubów i rozwodów, te, moim zdaniem, niesłuszne, ale też wymagają protokołu. Nie ma się więc co spieszyć z konkordatem, spieszyć się trzeba z rozpraszaniem owych lęków. Jako człowiek z opozycji cieszę się więc, że obecna koalicja prowadzi rozmowy z episkopatem, w jednej przynajmniej z partii rządzących jest tych lęków bardzo wiele. W moim przekonaniu konkordat praw obywatela nie narusza, ale jeśli są lęki, to tak jak mówiłem... Odrębną sprawą jest nauka religii w szkołach i przedszkolach. To dla mnie trudna sprawa. Kiedy to zapisywano, a ja byłem w tej komisji, powiedziałem poza protokołem: księża biskupi, to zaszkodzi Kościołowi, ale to nie moja sprawa, lecz wasza, nie zamierzam was pouczać. Myślę, że lepiej byłoby gdyby lekcje religii były poza szkołą i pozostały sprawą wolnego wyboru... Ale jestem przyjacielem dzieci, więc żeby im zaoszczędzić biegania można korzystać z lokali szkolnych, w godzinach nadobowiazkowych, bez szkody dla innych lekcji... Ale nie wątpię, księża biskupi, że zacznie wam ubywać uczniów. I twierdzą teraz, że wbrew triumfalistycznym statystykom tak właśnie jest. Ja to widzę na własne oczy, mieszkam przecież w bardzo długim bloku i przyjaźnię się tam ze wszystkimi dziećmi i wiem jak zareagowały, kiedy kazano im przynieść kartkę, że były na rekolekcjach. I tak też będzie z konkordatem. Ja nie konkordatu się boję, ale wojny wokół konkordatu. Przy lekcjach religii księża biskupi też grozili: nie dacie, to zrobimy referendum. Pomyślałem wtedy, trudno, niech będzie na moją głowę (byłem w komisji mieszanej, która przywróciła lekcje religii w szkołach), mamy za dużo awantur w kraju. Teraz z konkordatem... Trzeba sensownie uspokoić ludzi, którzy się czują zagrożeni. Potrzebne są więc protokoły dodatkowe. A że wokół konkordatu narosło też tyle różnych ambicji, uszanujmy je, wprowadźmy konkordat pod

warunkiem, że uda się tego dokonać w pełnym pokoju i we wzajemnym szacunku. To jest dla mnie niesłuchanie ważne.

K.W.: – *Nie jestem przekonany. Gdyby to była inna rozmowa, zadałbym dalsze pytania. Kościół wydaje mi się instytucją, do której definicja wspólnoty obywateli wydaje się najmniej pasować...*

J.K.: – Gdybyśmy na ten temat dyskutowali, to bym ci pokazał, że był taki długi czas, kiedy wyjątkowo pasowała. Po dzień dzisiejszy są jeszcze parafie, które są naprawdę wspólnotami obywatelskimi. Są takie, które nie są. Ale to wewnętrzna sprawa Kościoła. Jako że ja jestem człowiekiem niesłuchanie związanym z ewangelią, więc jeśli ktoś ma głosić ewangelię i świadczyć o niej, jest dla mnie oczywiście bardzo ważne jak on to robi. Ale to jest wewnętrzna sprawa Kościoła.

K.W.: – *Ale społeczeństwo i zbudowana na nim struktura państwowa nie mogą polegać wyłącznie na tym, że rozmaite wspólnoty obywatelskie o wszystkim mówią, że jest to ich wewnętrzna sprawa, zwłaszcza gdy zarazem niechętnie uznają prawo do takiej „wewnętrzności” u sąsiada. Bo gdzie w takim razie sprawa całości, sprawa tego państwa?*

J.K.: – To jest pytanie, czym jest społeczeństwo obywatelskie. Ja jestem za ograniczeniem roli państwa w tym sensie, by sfera przymusu była jak najwęższa. Dlatego nie ma miejsca dla Kościoła w państwie, bo to jest sprzeczne z jego misją i dlatego bardzo bym dbał, jak to lubią mówić biskupi, o autonomię obu stron. Wszystkich stron. Bardzo bym prosił, żeby fundacje, żeby stowarzyszenia miały autonomię wewnętrzną i żaden urzędnik państwowy im się nie mądrzył i żeby one też nie próbowały zastępować urzędów. Bo co innego jak one robią różne rzeczy w kontakcie z państwem, w porozumieniu z nim. Nie jestem zwolennikiem państwa – nocnego stróża. Państwo może się kurczyć o tyle, o ile społeczeństwo obywatelskie potrafi pełnić funkcje, które są nieodzowne. Ale to jest proces. I stosunki państwo-Kościół to też jest proces.

K.W.: – *A ten proces, który się odbywa od sześciu lat, odbywa się w dobrym kierunku czy w złym?*

J.K.: – Niewątpliwie budzi on niesłuchane napięcia, emocje i lęki w społeczeństwie. Mógłbym z tego wnosić, że odbywa się w złym kierunku. Ale nie chcę tego powiedzieć, bo nie można tak wprost z objawów przechodzić do przyczyny. Wystarczy, że sobie powiemy: obowiązkiem nas, wszystkich obywateli, jest zmierzać do tego, aby wszelkiego rodzaju lęki i napięcia usuwać, zwłaszcza obowiązkiem władz państwowych oraz takich instytucji jak Kościół. Zło dobrem zwyciężaj, nie stosuj przemocy – mocniej nie można tego powiedzieć. Dlatego zresztą ewangelia jest mi tak bliska, to wyraża mój światopogląd. Tam jest też powiedziane: nie ci, co wołają Boże, Boże, lecz ci, co żyją wedle woli Jego. Z tej perspektywy pytanie, czy wpisać coś w konstytucję, czy nie wpisać... to jak z wartościami chrześcijańskimi, zaraz zjawia się pytanie, kto to ma interpretować? Urzędnicy? Uchowaj Boże. Biskupi? To byłoby fundamentalne naruszenie demokracji, a zapewne i misji Kościoła – choć to trudno mi twierdzić, jestem jednak spoza Kościoła.

K.W.: – *Jesteś zwolennikiem podatku kościelnego?*

J.K.: – Tak i to z wielu powodów. Nie powinien to być mechanizm cisnący w kierunku odchodzenia od Kościoła, lecz podatek powszechny. Każdy składa się na taki Kościół, na jaki chce, a jeśli nie chce na żaden to na ściśle określone instytucje charytatywne, które sobie wybierze. Jestem zupełnie pewien, że spośród tych, którzy nie chcą łożyć na Kościół, najwięcej da na chore dzieci.

K.W.: – *Pozwól jedną uwagę. To niezwykle charakterystyczne dla Twego widzenia świata. Szczerze wierzę, że nie chcesz żadnej dyskryminacji Kościoła. No bo są tacy katolicy, co to: w Boga wierzę, ale po cholere mam płacić. Stąd Twoja propozycja, bardzo słuszna. Ale w istocie jest ona podwójnie bolesna dla Kościoła. Bo stracić parafian, którzy nawet nie chcą grosza dać na swój Kościół, to przykre, ale na pewno nie uwłacza Kościołowi. Ale jeśli w konkurencji znajdzie się prymas Glemp i chore dziecko – to zapewne wygrają chore dzieci, i u niekatolików i u katolików.*

J.K.: – Powiedz to, powiedz – a ja Ci odpowiem.

K.W.: – *Właśnie powiedziałem.*

J.K.: – *Więc odpowiadam. Miałbyś rację w jednym jedynym przypadku, gdyby Kościół nie wypełniał swej ewangelicznej misji. Natomiast na pewno nic nie straci, jeśli będzie ją wypełniał i to w całej rozciągłości – i wobec chorych dzieci, i wobec ciężarnych matek, i wobec wielu innych potrzebujących.*

K.W.: – *Jeśli o potrzebujących, to porozmawiajmy o ubezpieczeniach i ochronie zdrowia.*

J.K.: – *To bomba. Nie mamy dobrych systemów emerytur, rent i ochrony zdrowia i nie można ruszyć z miejsca, bo co wybory to wszyscy grają o głosy emerytów. Pod koniec rządów Suchockiej wszystkie związki już się zgodziły, ale rząd upadł i zaczęło się... Podobnie z ochroną zdrowia, ale to jeszcze łączy się z regionalizacją, rolą samorządów itd. Jak dotąd, nie wyliczono nawet ile to będzie razem, wszystkie składki ubezpieczeniowe, nie wiadomo, w jakich ramach się poruszamy.*

K.W.: – *Czy jednak nie ma racji Solidarność, że trzeba zdecydować, ile z PNB iść ma na służbę zdrowia i że tymczasem z roku na rok idzie coraz mniej?*

J.K.: – *Dobrze, idzie niespełna 4% PNB, a powinno ok. 6%. Ale jak wiesz odbywa się dzika prywatyzacja służby zdrowia, która przynosi fatalne skutki, bo to nie jest dodatkowa służba zdrowia prywatna, ale pasożyt na służbie społecznej. Więc moglibyśmy już może wyjść na te 6%, gdyby wykorzystanie środków było właściwe, ale są one przechwytywane. I wskutek tego dorobiliśmy się już potężnego lobby w służbie zdrowia, zainteresowanego utrzymaniem status quo. A teraz do blokad dochodzi jeszcze kolejna bomba: relacje lekarza wojewódzkiego z samorządami i z projektowanymi kasami chorych.*

K.W.: – *Słyszę teraz, że dzięki m.in. Jackowi Kuronowi Polska dorobiła się najwyższej relacji emerytur do płac i że trzeba by się z tego „wydostać”.*

J.K.: – *W Polsce trzeba rozwiązać taką kwadraturę koła: obniżyć składki, bo są za wysokie, obniżyć wydatki z budżetu na emerytury i renty, bo są zbyt wielkie, i nie tylko nie można obniżyć standardu życia emerytów, ale trzeba go podnieść. (Nie renty – ale standard życia). Na wstępie trzeba to wszystko oddzielić od polityki. Apeluję do kolegów pretendentów, żeby najpierw sprecyzować wspólnie warunki, jakie muszą spełniać zreformowane systemy opieki społecznej (powszechna dostępność itd). Następnie zostawić sprawę fachowcom i odpieprzyć się od nich. Kiedy projekty będą gotowe – zrobić referendum.*

K.W.: – *Min. Bartoszewski powiedział, że w polskiej polityce zagranicznej nie ma oddzielnej polityki wschodniej i zachodniej i na ogół wszyscy nasi rozmówcy kandydaci z tym się zgadzają. Rozumiem, że Ty także?*

J.K.: – *Tak, ale chcę powiedzieć coś więcej. W moim przekonaniu jesteśmy w takim momencie zwrotnym w historii, że to, co było naszym przekleństwem, może się stać naszą wielką szansą. Mówię to od dawna, ale powołam się na autorytet. Ślicznie powiedział prof. gen. Karski: dość już bycia przedmurzem, teraz mamy być pomostem. Mamy wszelkie szanse, żeby stać się łącznikiem między Wschodem a Zachodem, rzecznikiem Zachodu na Wschodzie i rzecznikiem interesów Wschodu na Zachodzie, właśnie pomostem. Tylko że mój przyjaciel Janusz Onyszkiewicz zwrócił mi uwagę, że pomost nigdzie nie należy a my nie możemy nigdzie nie należeć. Teraz więc obchodzę się ostrożnie z „pomostem”, choć można przyjąć, że należy on i tu, i tam, z obu stron ma przyczółki. Mówi się, że Zachód nie potrzebuje nas ale Rosji. Poza tym, że możemy być aktywnie obecni w handlu Zachodu ze Wschodem i w procesach inwestycyjnych, możemy też stać się ekspertami od Wschodu – nie tylko Rosji, również Ukrainy i Białorusi, zwłaszcza Ukrainy, z którą powinniśmy i możemy mieć bardzo bliskie i owocne stosunki. Szczególnie jeśli rozwiniemy odpowiednie przygotowanie kadr. I przede wszystkim: mamy szansę przyczynić się do obrony i rozwoju demokracji w Rosji, co jest również w żywotnym interesie Zachodu.*

K.W.: – *Czy chciałbyś coś powiedzieć o integracji Polski w strukturach Zachodu – Unii Europejskiej i NATO?*

J.K.: – Można to rozważać w dwóch planach. W planie strategicznym, w dalekiej perspektywie można długo rozważać, jakiej przebudowy będą potrzebowały bądź jakiej nie unikną obie te instytucje i w tym kontekście myśleć o naszym udziale. Ale jest plan krótszy, polityczny. W tym planie dążenie i udział w obu instytucjach ułatwia nam znalezienie się w świecie – daje wsparcie i parasol ochronny – i także naszą politykę wobec Wschodu, wobec Rosji. Jest zapleczem dla demokracji w Rosji i dodatkową gwarancją, że NATO nie będzie antyrosyjskie, bo my jesteśmy żywotnie zainteresowani pokojowymi stosunkami na Wschodzie. Jeśli potrafimy o tym przekonać naszych wschodnich sąsiadów, to już jesteśmy dobrzy.

K.W.: – *Czy Bartoszewski jest dobrym ministrem spraw zagranicznych?*

J.K.: – Bardzo dobrym.

K.W.: – *Jako do niedawna przewodniczący sejmowej komisji do spraw mniejszości – jak widzisz stan rzeczy w tej dziedzinie?*

J.K.: – Stale zmierzamy w dobrym kierunku i tak to oceniają obie strony, choć wszędzie powstają różne punktowe konflikty. Ale trzeba pamiętać o tle historycznym; zresztą zawsze umiemy dobrze wychodzić z tych konfliktów, i to dzięki dobrej woli i współpracy wszystkich instytucji i wszystkich kolejnych rządów. Pozostaje kwestia koordynacji. Ostatnio doszliśmy do koncepcji powołania wicepremiera. Jest zgoda, ale w koalicji nie mogą się jeszcze dogadać, czy wicepremier ma być z PSL czy z SLD.

K.W.: – *Ostatnie pytanie dotyczy dekomunizacji.*

J.K.: – Naród polski był wzięty w jasyr i w tych warunkach zdał egzamin. Były zbrodnie – trzeba ukarać wg kodeksu i przed sądem. Natomiast za uwikłanie w PRL trzeba by sądzić wszystkich... Niektórzy musieli wtedy należeć do PZPR.

K.W.: – *Ale nie musieli być sekretarzami KW i KC.*

J.K.: – To już jest pytanie o sposób funkcjonowania państwa. Można udowodnić, że wielu z nich funkcjonowało w ramach tego systemu, który mi się nie podobał, całkiem rozsądnie. Ale na całkowite niewikłanie mogli sobie pozwolić tylko ci, co siedzieli po więzieniach. Jak ja mówiłem „mój minister”, to był minister MSW. Mówiłem też: robimy coś, co możemy robić dzięki temu, że tamci rodzą dzieci, karmią dzieci, uczą dzieci, budują domy... pamiętajmy, że każda próba dzielenia Polski na tych, co walczyli, i tych, co się podporządkowali, jest najzupełniej idiotyczna, a najgorzej się skończy dla tych dzisiejszych antykomunistów, bo ich na ogół nie było wtedy widać wśród walczących, z pewnymi wyjątkami, oczywiście...

1 sierpnia 1995

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

KRZYSZTOF WOLICKI: – *Ma Pan opinię zdecydowanego pragmatyka. Czy jest Pan z tych polityków, którzy już w ogóle przestali sobie wyobrażać stan idealny?*

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI: – Jestem pragmatykiem, ale mam marzenia.

K.W.: – *Tylko prywatne?*

A.K.: – Nie, również publiczne, tylko jak przechodzę od marzeń do realiów, to przepaść jest tak ogromna...

K.W.: – *A trochę głębiej... Czy są jeszcze jakieś podstawy ideologiczne, na których Pan stoi i przy których Pan obstaje, czy też ten grunt ideologiczny całkiem się roztopił?*

A.K.: – To ważne pytanie. Każdy polityk winien organizować swe działania wokół wartości, które wydają mu się ważne. Dla

mnie są to wartości nowoczesnej socjaldemokracji, nurtu politycznego znanego i dobrze opisanego... A czy to jest jakoś podtopione, rozmazane? Tak, myślę, że mamy w końcu wieku kryzys wszystkich ideologii, z chrześcijaństwem włącznie, wszystkich zwartych systemów ideologicznych, którym się kiedyś zdawało, że potrafią odpowiadać na wszystkie pytania. Następuje też konwergencja, także ideologiczna w rozumieniu wymiany wartości pomiędzy różnymi systemami. Wreszcie mamy wpływ kolejnej fali rewolucji naukowo-technicznej na zachowania ludzi, inny sposób kontaktowania się – ja sam to odczuwam, np. w stosunkach z moją czternastoletnią córką, inny język, inna argumentacja... Kiedy więc będzie mnie Pan za chwilę namawiał, żebym jakoś charakteryzował moją ideologię...

K.W.: – *Nie będę, Pan mnie i tak będzie prowadził po lotnych piaskach. Powołał się Pan na rewolucję naukowo-techniczną. Jest Pan za modernizacją, unowocześnieniem... Aby już nie mówić o krajach mniej rozwiniętych, w Polsce, jak Pan niewątpliwie zdaje sobie sprawę, bardzo znaczna część społeczeństwa wcale nie weszła w ów naukowo-techniczny świat. Ci ludzie mogą patrzeć w telewizor, ale to nie znaczy, że do tego świata należą, a jeśli, to jako pariasi.*

A.K.: – Że jako pariasi, to bym się zgodził, ale Pan nie dostrzega jak, mimo to, głęboko już tkwią w tym nowym świecie. Że jeszcze jako pariasi? Tak... Nawet czasem podśmiewają się z nas poniektórzy. We Wprost tak właśnie zacytowano Pawlaka, że podłączając się do Internetu można korzystać z nowinek w zarządzaniu własnym gospodarstwem rolnym... Dzisiaj to może jeszcze śmiesz, ale jestem przekonany, że politycy, którzy będą kontynuowali uprawianie polityki historyczno-archaicznej daleko nie dobrną. Oczekiwania ludzi idą w zupełnie inną stronę. Będą oczekiwać od polityka, żeby umiał organizować życie publiczne, korzystając ze wszystkich nowych środków i sposobów. Nikt zaś nie wie, jakie będzie zapotrzebowanie na polityków-moralistów, polityków-drogowskazy.

K.W.: – *Ale jeśli polityk ma być tylko organizatorem, to może ludzie powiedzą, po cholere nam w ogóle politycy.*

A.K.: – Tak, to jest ryzyko.

K.W.: – *Każdy szef koncernu panu powie, że on jest najlepszym organizatorem.*

A.K.: – No, ale nie życia publicznego.

K.W.: – *A dlaczego nie?*

A.K.: – Oni na pewno zaczną się pojawiać w polityce, tacy Berlusconi. Ale jest inne pytanie, czy jesteśmy skazani na syndrom Bośni – wszyscy żałują i opłakują, a tamci się wyrzynają całkiem równo – czy też znajdziemy sposób połączenia tego świata wartości ze światem skuteczności, pragmatyzmu. Jeśli to się rozerwie na rzecz pragmatyzmu, to nastąpi zwyrodnienie, jeśli zostanie moralizatorstwo bez skutków, to wszystko będzie puste.

K.W.: – *Panie Aleksandrze, przepraszam, ale Pan dla mnie mówi trochę za szybko. To jest uwaga pomyślana trochę ironicznie.*

A.K.: – Rozumiem.

K.W.: – *Postuguje się Pan słowem wartości. Dla kogo? Przyznaje się Pan do myślenia socjaldemokratycznego. Ale w myśleniu socjaldemokratycznym nie można stawiać sobie pytania o rozwarstwienie społeczne, o różny udział w cywilizacji, o różny udział w owocach cywilizacji, i na przykład o różny udział w kosztach reformy modernizacyjnej. Tutaj trzeba wartości przełożyć na program polityczny. W tej chwili sprawa kosztów reformy jest przeczucana jak piłka z obozu do obozu. Wyście na tej sprawie wygrali w 1993. Ale w następnych wyborach parlamentarnych możecie na niej przegrać na rzecz następnego obozu, który ją podejmie. Bo sprawa nie tylko nie jest rozwiązana, ale macie narastanie problemów. Wszystkie projekty reform, które przedłożyli ministrowie rządu Oleksego, zakładają – choć się tego głośno nie mówi – ogromne koszty dla ludzi pracy, dla ludności.*

A.K.: – No, to mi Pan zaserwował trzy sprawy bardzo roz-

maite. Najpierw o wartościach. Kiedy mówię o wartościach, to mówię o czymś, co nie ma czysto klasowego wymiaru, grupowego czy warstwowego, ale o czymś, co konstytuuje państwo jako takie, gospodarkę jako taką, nas wszystkich, społeczeństwo, nie bacząc, czy poza tym ktoś jest bogaty czy biedny. To jest demokracja, to są wolności obywatelskie, to są prawa i ochrona tych praw, środki dochodzenia własnych praw, to jest władza i ramy władzy, to jest suwerenność, jeśli sięgnąć do wartości uwarunkowanych międzynarodowo... I tu jest możliwość uzyskania bardzo szerokiego *consensusu*. Natomiast, kiedy Pan mówi, do kogo się odwołujemy, to uważam oczywiście, że uczciwy socjaldemokrata musi powiedzieć, że zależy mu na rozwoju państwa i gospodarki, i z drugiej strony na partycypacji ludzi, którzy żądają sprawiedliwości społecznej, na równości szans, rozumianej jako niezbędne zadanie państwa, które musi działać tak, aby dostęp do kultury, do oświaty, do ochrony zdrowia, do kariery był równy i aby nie było dyskryminacji, w tym wręcz dyskryminacji całych grup. No, i jest szczegółowa kwestia trzecia, o której Pan mówi, społecznych kosztów transformacji. Myśmy oczywiście w 1993 skorzystali na tym, żeśmy mówili o kosztach transformacji nawet najbardziej zatwardziałym liberałom. Ja sam mówiłem np. p. Syryjczykowi: panowie, jakieście już tacy rynkowcy, to pamiętajcie, że pokój społeczny też ma swoją cenę... Problem kosztów pozostaje aktualny, ale nie zgadzam się, że to, co proponuje ekipa Oleksego, z nim się nie liczy...

K.W.: – *Nie mówiłem o nieliczeniu się, ale o wynikach.*

A.K.: – *Zatem, o których projektach Pan mówi?*

K.W.: – *Zarówno o tych ministra zdrowia jak i o projektach reformy ubezpieczeń.*

A.K.: – *To są dwa węzły gordyjskie.*

K.W.: – *Zapewne, ale rząd Oleksego chce w tych sprawach za dużo zamieszać i za dużo zaoszczędzić. Takich reform nie można robić nie dopłacając na początek.*

A.K.: – *I to jest najtrudniejsze. Bo w tej chwili dopłacić do*

reformy nie jesteśmy w stanie. Ale ważne jest, żeby nie powstało wrażenie – a to jest pobudzane różnymi wypowiedziami – że chce się zaoszczędzić.

Reformy są konieczne. Paradoksem jest, że to my musimy je robić, bo chętnie byśmy minęli ten temat tak samo, jak rządy solidarnościowe, ale jak trzeba to trzeba, nawet licząc się ze złymi skutkami politycznymi, bo ktoś nam może zapamiętać te reformy. Ale na pewno to nie może być sposób na kiwnięcie emerytów i rencistów. Natomiast Pana teza, taka bardziej ze sfery marzeń, że można znaleźć dodatkowe środki...

K.W.: – *Podobno dochód narodowy znowu rośnie. Ale ja nie liczyłem i nie twierdzę, że można. Twierdzę tylko, że są rzeczy nierozwiązalne i chciałbym, żeby nie mówiono, że oto właśnie zostały rozwiązane.*

A.K.: – *Na to zgoda.*

K.W.: – *Pięknie, to byłoby o Pańskiej wizji świata... Jest Pan niekwestionowanym przywódcą swojej formacji politycznej i człowiekiem, jak mi wiadomo, bardzo popularnym we własnych szeregach i również wśród waszych wyborców. Ma Pan 40 lat i oto podejmuje Pan walkę o prezydenturę. Biorąc pod uwagę charakter tej instytucji, jeśli Pan wygra, to po zakończeniu kadencji schodzi Pan ze sceny politycznej na przedterminową emeryturę. A co Pan robi, jeśli Pan przegra? Dlaczego Pan się na to zdecydował?*

A.K.: – *W roku 1990 sam byłem zwolennikiem kandydatury wykraczającej poza podziały układu partyjnego. Zwróciłem się do Cimoszewicza, żeby nie zasklepić się we własnym gronie. Minęło 5 lat. Bardzo długo czekałem, czy nie wyłoni się nowa jakość w polskim życiu politycznym: czy ponad szufladami, w które się powkładaliśmy, politycy i wyborcy, możliwe jest jakieś nowe powiązanie. Po 1993 okazało się to niemożliwe, nawet wewnątrz rządzącej koalicji, a cóż dopiero jakiś „kompromis historyczny” itd. Nierealne było szukanie jakiegoś kandydata ponad podziałami. Z drugiej strony odpowiedzialnością lidera jest nie zawieść oczekiwań owych 25% ludzi z sondaży. Te 25% to mój kapitał. Wycofanie się z bie-*

gu o prezydenturę nie byłoby rozumiane. Po trzecie, być prezydentem w Polsce przez najbliższe 5 lat, to może być koszmar, ale mimo wszystko wyobrażam sobie, że w Polsce można być dobrym prezydentem. Prezydentem twórczym, pobudzającym aktywność polityczną innych. Mniej zasiedziałym w elitach politycznych i warszawskich, ale mającym pomysły dla innych i pomagającym innym, którzy mają dobry pomysł własny. A w każdym razie, nie wykorzystywać prezydentury do zaspokajania własnych fobii.

Jeśli przegram? Przejście do drugiej rundy to już dobry wynik, a jest też realne, że wynik w drugiej rundzie będzie całkiem niezły.

K.W.: – *Jeśli Pan przegra z Lechem Wałęsą, to nie jest to wynik niezły. Dla Pana formacji to byłby wynik może nie katastrofalny, ale bardzo zły.*

A.K.: – I tak i nie... Z kimkolwiek się przegrywa w drugiej turze to z wynikiem czterdziestu paru procent.

K.W.: – *Tymiński przegrał z wynikiem dwudziestu paru procent.*

A.K.: – Ale to tak nie będzie... Możliwy jest *casus* Jospina i wtedy oznacza to szansę budowania lewej strony w sposób poważny.

K.W.: – *Innymi słowy, jeśli Pan przegra, to przegra Pan dobrze i potem w wyborach parlamentarnych, ewentualnie przyspieszonych, dopiero się odkujecie?*

A.K.: – Istotnie, kalkulujemy, że to będą trzy rundy: pierwsza tura, druga tura, wybory parlamentarne. I trzeba być obecnym w każdej rundzie. Nieobecność w jednej, np. szukanie, jak proponował Cimoszewicz, „trzeciego kandydata”, byłaby fałszywym krokiem, najgorszą dla nas możliwością przed wyborami parlamentarnymi. Bo my i tak ponosimy odpowiedzialność za rządzenie i jego negatywne skutki, zużycie władzy i tak następuje, a nie wprowadzając do gry żadnego nowego elementu gubimy elektorat, który gotów byłby nam wiele wybaczyć i zrozumieć...

K.W.: – *No, nie wiem...*

A.K.: – Proszę bardzo. Na przykład głosujemy na Kuronia. Z 25%, które mamy teraz, na Kuronia pójdzie zagłosować 10%, reszta zostanie w domu. A w drugiej turze, powiedzmy że Kuroń w niej jest, dostaje od nas znowu te same 10%, przegrywa i tak, i co?

K.W.: – *Pan konstatuje mimo woli, że ten opór przeciw kompromisowi historycznemu jest w Polsce niestłuchanie silny nie tylko po stronie Kościoła, Solidarności, obozu chrześcijańsko-narodowego, ale również po waszej stronie – jeśli nawet w drugiej turze wasz elektorat nie decyduje się bardziej masowo poprzeć Kuronia przeciw, zapewne, Wałęsie?*

A.K.: – W pewnym sensie tak istotnie jest. Oceniam, że co najmniej 1/3 naszego potencjalnego elektoratu nie pójdzie na żadne przeniesienie głosów, żeby nie wiem co im mówić, natomiast 2/3 są elastyczne, z nimi można by rozmawiać, ale musiałby być jakiś sygnał. Nie można mówić, że tutaj szukamy wspólnego kandydata, a tam, kiedy chodzi o poparcie w czymś SLD, to zaraz – „pocałunek śmierci”.

K.W.: – *A inny wariant: w swoim czasie występowaliście o wspólnego kandydata koalicji.*

A.K.: – To miało sens, ale nie znalazło odzewu. Dzisiaj, jak słucham Jagielińskiego, to słyszę zwolennika koalicji, jak słucham Pawłaka, to słyszę przeciwnika, a jak słucham Zycha, to nic nie słyszę...

K.W.: – *Co PSL ma z koalicji?*

A.K.: – PSL ma 15% głosów, ale o wiele więcej pozycji niż z tych 15% wynika, i to jest spoiwo koalicji. Fanaberie można wytrzymać.

K.W.: – *To znaczy, że nie wierzy Pan w ruch PSL ku prawicy?*

A.K.: – W doraźne, taktyczne alianse, w rodzaju lansowanych

przez Pawlaka, nie bardzo. Natomiast w perspektywie strategicznej sprawa istnieje, zarówno ze względu na stopniowe redukowanie się sektora rolnego jak i na związane z tym dążenie do wyjścia z opłotków i przekształcenie w rodzaj polskiej CSU, w jakimś nowym systemie partii. W sumie myślę, że PSL tymczasem pozostanie w koalicji, niezależnie od wyniku wyborów prezydenckich, chyba że byłoby to zwycięstwo miażdżące, plebiscytowe. Ale takie nie będzie.

K.W.: – *Panie Aleksandrze, dlaczego Sekułę wybroniłicie przed prokuratorem? Po co wam to było?*

A.K.: – Cóż mam Panu powiedzieć? Ma Pan rację. Powiem szczerze. Nie przyjęliśmy żadnej formuły klubowej, Sekuła bardzo gorliwie zabiegał...

K.W.: – *Więc cały klub głosuje przeciw uchynieniu immunitetu, choć nawet nie było uchwały klubu... O jakiej mentalności to świadczy?*

A.K.: – No, nie cały, byli tacy, którzy głosowali inaczej.

K.W.: – *Niewielu. Zarzucacie innym, że prowadzą wojnę kombatantów, a sami zachowujecie się właśnie jak kombatanci, bronić swoich za wszelką cenę.*

A.K.: – Cóż powiedzieć, nie będę bronił tej decyzji. Teraz będziemy mieli nauczkę. A poza tym trzeba wreszcie zmienić formułę tego cholernego immunitetu, powinien dotyczyć wyłącznie zachowań związanych z działalnością polityczną... Mówił Pan o mentalności kombatanckiej, i tak uprzejmie, bo inni mówią o siuchtach.

Wie Pan, system polityczny w Polsce kształtuje się znacznie szybciej niż się zauważa. To się dzieje w trzech etapach. Pierwszy był historyczny – oni-my, solidarnościowcy-antysolidarnościowcy. Drugi etap jest teraz i potrwa jeszcze kilka lat. Jeszcze historia ciężka, ale już zaczyna się konstruowanie własnej tożsamości metodą prób i błędów, i raczej przez konkretne zawołania (np. stosunek do prywatyzacji, konstytucji, Kościoła, ubezpieczeń) niż spójne programy. Linie podziałów biegną nieraz w poprzek partii. Trzeci etap zaznaczy się już

chyba w 1997, przy wyborach parlamentarnych, wraz ze świadomością reprezentacji. Nowa tożsamość partii będzie się dopasowywać do nowej struktury socjalnej jako jej reprezentacja.

Jest pytanie, czy w Polsce może powstać wielka partia chadecka? Ja mam taką odpowiedź, że chadecja możliwa jest tylko tam, gdzie jest więcej teologów niż księży, tam Kościół bardziej czuje się depozytariuszem wartości niż strukturą organizacyjną, zazdrosną o inne. W Polsce jest odwrotnie...

K.W.: – *Miejmy nadzieję, że w trzecim etapie sprawy w stylu Sekuły będą niemożliwe. Teraz trochę o konstytucji. Najpierw może o strukturze władz.*

A.K.: – To co w tej chwili rysuje się jako realne, to uporządkowanie rozwiązań z Małej Konstytucji, system jednak mieszany. System prezydencki wobec wątków jeszcze tradycji demokratycznej mógłby grozić zdominowaniem układu przez prezydenta i jego wąskie otoczenie, a system parlamentarno-gabinetowy, czy też kanclerski, wobec niedojrzałości systemu partyjnego mógłby owocować niestabilnością władzy, niezdolnością do trwałych koalicji.

K.W.: – *To dość negatywna argumentacja: konstytucja nie jest dla Pana czymś co generuje struktury państwa, ale czymś co je zabezpiecza przed wywrotką.*

A.K.: – To zależy. Gdy mowa o zasadach demokratycznych, wolnościach obywatelskich, konstytucja powinna być jak najbardziej odważna, nowoczesna. Ale kiedy mowa o wzajemnych stosunkach władz to potrzebna jest sprawność i skuteczność. Poza Ameryką i może Francją, 200 lat temu, gdzie w konstytucjach troszczono się, by tak rzec, o filozofię władzy, ustawy zasadnicze wszędzie pisze się w tym zakresie dbając o funkcjonowanie maszyny.

K.W.: – *Ministerstwa prezydenckie?*

A.K.: – Nie, rząd jest całością, wszystkich ministrów powołuje się według tych samych zasad. Rząd jest odpowiedzialny kolegialnie, a nie tylko poszczególni ministrowie.

K.W.: – *Rozumiem, że cywilny minister obrony?*

A.K.: – Tak. Szef sztabu powoływany przez prezydenta na wniosek ministra i podporządkowany ministrowi. Sztab powinien mieścić się w strukturze ministerstwa.

K.W.: – *Gdzie powinna przebiegać granica pomiędzy stanowiskami politycznymi a stałym aparatem urzędniczym?*

A.K.: – Optuję za korpusem dyrektorów generalnych w resortach i dyrektorów urzędów wojewódzkich jako permanentnych, kontraktowych szefów aparatu danego resortu/urzędu. Żaden z tych funkcjonariuszy nie mógłby ubiegać się o mandaty (stanowiska z wyboru).

K.W.: – *Jak powinna być powoływana Rada Telewizji i Radiofonii oraz prezes Najwyższej Izby Kontroli, to znaczy władze spoza tradycyjnego trójpodziału?*

A.K.: – Przez parlament, choć w przypadku Rady udział prezydenta jest dopuszczalny. Natomiast nie wierzę, by można było uniknąć polityczności tych organów, nawet przy najbardziej wymyślnym trybie powoływania.

K.W.: – *A czy nie można jakoś powściągnąć większości parlamentarnych, żeby nie mogły sobie rozrabiać w tych instytucjach ile dusza zapragnie?*

A.K.: – Można wyłączyć posłów i senatorów z tych stanowisk: wybrani składają mandat. I, oczywiście, kadencyjność obwarowana nieodwołalnością. Ale nie jestem pięknoduchem, który wierzy, że bardzo precyzyjnymi zapisami można zagwarantować stuprocentową apolityczność tych organów.

K.W.: – *Stosunki państwo-Kościół. Obserwowałem Pana w Komisji Konstytucyjnej. Cała Pana kompromisowość na nic się w końcu nie zdała...*

A.K.: – Istotnie.

K.W.: – *Warto było tę żabę jeść?*

A.K.: – Warto. Najgorsze, co moglibyśmy sobie teraz zafun-

dować, to wojna religijna – wszystko jedno z jakiego powodu by wybuchła i przez kogo została sprowokowana. Mogę ze smutkiem powiedzieć, że moje intencje nie zostały dobrze odczytane i że nie znalazłem odpowiednich partnerów ani po stronie Kościoła, ani mojej własnej bazy politycznej. To dowodzi, jak ta kwestia jest skomplikowana i jak daleko jesteśmy od rozsądnego kompromisu. Stosunki państwo-Kościół powinny być, moim zdaniem, organizowane wokół kilku fundamentalnych zasad, które nie są kontrowersyjne pod warunkiem, że mówi się spokojnie, nie kulturuje podejrzeń i nie powraca stale do zaszłości. Najpierw musi to być zasada neutralności światopoglądowej państwa. Hierarchowie katoliccy podejrzewają w tym najgorsze. Następnie zasada wolności sumienia i wyznania, która każdemu pozwala uzewnętrzniać bądź nie, w sposób dla niego właściwy, jego wiarę i uczestnictwo w życiu kościelnym. Na pewno Kościoły powinny dysponować swobodami dla wykonywania swej misji religijnej i społecznej. Na pewno powinno być współdziałanie państwa i Kościoła tam, gdzie jest to potrzebne, gdzie wynika z konieczności społecznych i może służyć jednostce i zbiorowości (np. w sferze ochrony zdrowia itp.).

Dlaczego nie doszło do kompromisu? Myślę, że po obu stronach występuje za dużo zacietrzewienia i ekstremizmu. Wypowiedzi hierarchów Kościoła w ostatnim okresie na pewno nas oddaliły od rozsądnego rozwiązania, a po drugiej stronie pobudza to do ekstremalnych wypowiedzi. W ten sposób rozsądna większość znalazła się pod naciskiem z obu stron i normalni ludzie się z tym źle czują.

K.W.: – *Co z kolejnym wnioskiem (PSL) o ratyfikację konkordatu?*

A.K.: – Będę przeciw, ponieważ mimo podejmowanych przez nas prób, aby wy dostać się z pułapki konkordatowej, w której znaleźliśmy się nie z naszej winy, nie zaszło nic nowego. Sprawa konkordatu została nierozumnie upolityczniona przez rząd Suchockiej, który sądził, że załatwił sobie w Kościele przepustkę wyborczą. Nie odbyła się żadna dyskusja publiczna.

Ja, my jako SLD nie widzimy żadnej politycznej możliwości aby bez jakiegokolwiek gestu, bez gotowości do jakiej-

kolwiek deklaracji ze strony Kościoła, głosować za ratyfikacją. Będziemy głosować przeciw i choć prognozowanie jest ryzykowne, biorąc pod uwagę cykl produkcyjny *Kultury*, myślę, że w Sejmie jest większość przeciwników konkordatu. W kampanii 1993 konkordat był obecny i wiemy jakie jest stanowisko naszych wyborców. Natomiast jakie jest zdanie ogółu Polaków nikt nie wie, bo nikt ich nigdy o to nie pytał...

K.W.: – *Polska polityka zagraniczna. Wbrew pozorom wydaje się, że wcale nie ma takiego consensusu.*

A.K.: – Co pan ma na myśli?

K.W.: – *Spieszyć się do Unii i NATO, czy nie spieszyć? Prowadzić politykę wschodnią, czy zostawić rzeczy swemu biegowi?*

A.K.: – Zgadzam się z Bartoszewskim, że polska polityka zagraniczna nie może być fragmentaryzowana na zachodnią i wschodnią. Są politycy – bywa, że sam Wałęsa temu ulega, a na pewno są tacy ludzie w jego otoczeniu – którzy sądzą, że im gorsze są stosunki z Rosją, tym lepiej dla naszych stosunków z Zachodem. To nieprawda, nasze dobre stosunki z Rosją są argumentem na naszą rzecz na Zachodzie.

Znajdujemy się w czasie kluczowym dla budowy nowego ładu i bezpieczeństwa europejskiego i współpracy europejskiej. Jest koncepcja stopniowego rozszerzania Unii na Wschód i druga, nie tak publiczna, ale na piwie w Strasburgu całkiem głośna: jak byliśmy w szóstkę, to wszystko grało; w dwunastu zrobiły się kłopoty, a jak jeszcze wy dojdziecie, będzie w ogóle tragedia. Jest to więc koncepcja utrwalonego *status quo* z permanentnymi aspiracjami po stronie wschodniej. A poza tym są przecież konkretne interesy. Myślę, że w latach 1995-2000 zdecyduje się, która koncepcja zwycięży w Unii. My musimy być dobrze przygotowani. Skończyły się piękne deklaracje, zaczyna się czas twardych negocjacji. Mam taki czarny sen: Santer dzwoni z Brukseli do Oleksego. Pannie premierze, zaczynijmy za dwa tygodnie rokowania o wejście Polski do Unii. Oleksy blednie i odkłada słuchawkę, bo nic nie jest przygotowane. W 1996 musi być przygotowane.

Liczę na nowe ministerstwo do spraw integracji, przewidziane w reformie centrum, z nową obsadą młodych ludzi z fachowym przygotowaniem.

NATO to jest problem bardziej złożony. Przyznaję, że ja sam uwierzyłem w możliwość przekształcenia KBWE w skuteczny system bezpieczeństwa w nowej sytuacji. Ale KBWE jest do tego niezdolne i wszystko skupi się wokół struktur NATO. Samo NATO musi się, oczywiście, reformować. Łatwiej mu będzie o reformę przyjmując nowych członków niż tkwiąc we własnych zeszytniałych procedurach i nawykach. Następnie: rozszerzenie NATO na Wschód to widomy znak, że podział Europy przestał istnieć. Opór Rosji, Uważam, że nie jest to opór pryncypialny lecz taktyczny: rozszerzenie NATO na Wschód będzie zaakceptowane w zamian za ekonomiczne wsparcie dla Rosji. Gdyby nie wybory prezydenckie w Rosji w 1996, zapewne sprawa byłaby już zaawansowana...

K.W.: – *Czy chciałby Pan na zakończenie coś prognozować o naszych wyborach prezydenckich?*

A.K.: – Ktokolwiek wygra te wybory, byleby demokratycznym trybem, nie będzie nieszczęścia. Nawet Lech Wałęsa w drugiej kadencji, to już nie byłoby to samo.

A co do „samosprawdzających się prognoz” w rodzaju: ludzie wyjdą na ulicę i pójdą na URM, odpowiadam: społeczeństwo jest o wiele bardziej normalne niż politycy. Nie oczekuję cudów.

31 lipca 1995

EWA ŁĘTOWSKA

Na wstępie dwa zastrzeżenia. Ankiety *Kultury* skierowano do kandydatów na urząd Prezydenta; ja do nich nie należę. Przyczyną skierowania zaproszenia właśnie do mnie jest, jak sądzę, miniona działalność na stanowisku Rzecznika Praw Obywatelskich.

Pytania ankiety są ważne, chodzi o sprawy, które powinny interesować każdego obywatela i dlatego staram się na nie odpowiedzieć. Nie zmieniłam jednak zdania co do zakresu i form mego udziału w życiu publicznym. W żadnym wypadku nie jest to więc zakamuflowany sygnał typu: „jestem do wzięcia”, świadczący o mej gotowości do udziału w jakichkolwiek wyborach w charakterze kandydata na cokolwiek.

Druga uwaga. Nie we wszystkich kwestiach poruszanych w ankiecie mam wyrobione zdanie z równym stopniem stanowczości. Nie miałam dotychczas potrzeby zajmowania się wieloma problemami; w tym zakresie moja opinia nie ma profesjonalnego charakteru. Sygnalizuję to w poszczególnych odpowiedziach, które w takim wypadku mają charakter ogólnego wskazania najbliższej mi tendencji.

Gdy idzie o projekty konstytucji: nie optuję w całości za żadnym ze zgłoszonych. W najbliższej mi kwestii, tj. regulacji praw i wolności jednostki za najlepszy uważam projekt Karty, inkorporowany do prezydenckiego projektu Konstytucji.

Karta charakteryzuje się wyraźną orientacją „prawno-człowieczą”, wyraźnie inspirowaną treścią Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności, a ponadto jest to projekt, który przykładą największą wagę do kreowania instrumentów i procedur uniemożliwiających (lub choćby utrudniających) wydrążenie z treści konstytucyjnych praw i wolności – poprzez działania ustawodawcy zwykłego. Inne projekty (może z wyjątkiem senackiego) koncentrują się raczej na kreacji, definiowaniu samych praw i wolności, z wyraźnym niedocenianiem instrumentów ich ochrony. Szerzej na ten temat piszę w Aneksie do drugiego wydania mojej książki „Po co ludziom Konstytucja”.

Co się tyczy innych problemów ustrojowych w Konstytucji – sądzę że to, co wypracowała dotychczas parlamentarna Komisja Konstytucyjna jako rozwiązania kompromisowe – może być uznane za znośne. W tych sprawach każde rozwiązanie skrajne, czy choćby za takie uważane – będzie gorsze. A to co jest – jest jednym (z kilku zresztą) rozwiązań kompromisowych. Ale też trzeba pamiętać: i tak będą

konflikty, bo w młodej i – przynajmniej to – dość infantylnej demokracji klasa polityczna dopiero uczy się reguł gry: granicą kompromisu powinna być zatem operacyjna spójność Ustawy Zasadniczej, zwłaszcza w kwestiach dotyczących podziału władz. Wiem, że to łatwiej tak hasłowo napisać, niż przeprowadzić w szczegółach. Ich omówienie (mam tu wyrobiony pogląd co do wielu) – przekracza jednak ramy ankiety. Co ważne jednak: i tak resztę – o tym jestem przekonana – może załatwić funkcjonowanie Trybunału Konstytucyjnego. Nawet gdyby Trybunałowi w samej Konstytucji nie przydzielili rozstrzygania sporów kompetencyjnych i nawet, jeśli czasem wnioskodawcy zmuszają Trybunał (tak bywało i będzie) do działania wbrew jego własnej woli.

W takich krajach jak Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy istniejący i funkcjonujący model prezydencki jest już ukształtowany – przez tradycję i kulturę polityczną. Żadnego z tych modeli nie da się skopiować bez tego historycznego zaplecza. Kultury zaś się nabiera w miarę wpływu czasu, a nie otrzymuje gotowej w prezencie. W warunkach młodej demokracji model silnego, „rządzącego” prezydenta jest niebezpieczny. Gdy prezydent rządzić nie umie, a chce to robić – powoduje „wytracanie” energii aparatu państwowego na prestiżowe, błahe spory. Gdy rządzić umie, ale ma ciągoty autokratyczne – grozi to niebezpiecznym zdominowaniem przez niego innych władz (niedoświadczonych w sztuce *checks and balance*). Bezpieczniejszy zatem jest model prezydenta jako autorytetu i uosobienia państwa. Tu istnieją także niebezpieczeństwa nieskuteczności i śmieszności. Ale przynajmniej to nie wyjąławia działania całego aparatu.

Jeśli ktoś zarzucałby, że niepotrzebnie piszę tylko „czarne” scenariusze, to odpowiem, że konstytucyjny model aparatu państwowego powinien być kształtowany nie wizją „z pewnością wszystko nam się uda”, lecz raczej ukształtowany wedle koncepcji Johna Pottera Stocktona, który w konstytucji widział łańcuchy, które należy mieć przygotowane na wypadek przypływu szaleństwa, a które chronią przed samobójstwem w takiej właśnie chwili. Choroba bowiem przyjąć może, choć

nie musi. Konstytucję należy pisać „na niepogodę”. Dlatego w naszych warunkach kulturowych bezpieczniejszy jest model prezydentury, gdzie głowa państwa nie dysponuje zbyt wielkimi kompetencjami w zakresie bezpośredniego rządzenia. Z tego, co daje prezydentowi obecna Konstytucja, człowiek dużego formatu może i tak jeszcze dużo wycisnąć; a człowiek formatu małego nie powinien mieć okazji do naszkodzenia zbyt wiele. Dlatego lepiej nie powiększać kompetencji prezydenta. Obecna gra o resorty prezydenckie nie przekonuje o potrzebie utrzymywania istniejącego rozwiązania. A całkowite oddanie MSZ, spraw wojskowych i wewnętrznych prezydentowi (niezależnie od tego o jaką osobę konkretną mogłoby chodzić) w obecnych polskich warunkach jest niewskazane.

●

Tak, tak i jeszcze raz tak: aparat administracyjny mamy bardzo zły profesjonalnie, inertny, oportunistyczny. „Bizantyjska świadomość”, niezrozumienie na czym polega służebna rola administracji, brak wycucia tego, co znaczy „przezroczystość” administracji i jakie ma ona znaczenie, lekceważenie prawa – to niestety codzienność polskiego aparatu państwowego – spolityzowanego, przeżartego systemem łupów, i to kształtowanych *ratione imperii*, niestabilnego, żyjącego polityczną koniunkturą.

Tu potrzebna jest gigantyczna praca edukacyjna i prowadzona z żelazną konsekwencją (tylko kto ma ją mieć?) organizacyjna praca nad przygotowaniem i utrzymaniem kadry fachowej i apolitycznej. Nie mam wątpliwości, że tak powinno być, inna sprawa jak to osiągnąć. Bez stabilności politycznej same ustawy o służbie państwowej niewiele dadzą. Może więc zacząć skromniej – niechże sobie będzie system politycznych *spoils* – byleby zaczynający się stosunkowo wysoko i połączony z wymogami fachowości (wymogi wykształcenia, stażu, aplikacji itd.). Samo odwołanie się do konkursów nie zapewni tu sukcesu; pozostaje bowiem problem zgłaszania kandydatów i manipulacji regulaminami. Pewne nadzieje można pokładać w upowszechnieniu dobrych praktyk NSA kontrolującego zwalnianie funkcjonariuszy państwowych (rygorystyczne

domagania się wskazania konkretnych przyczyn w motywach decyzji; w tym względzie praktyka NSA jest bardziej zaawansowana, niż praktyka sądów powszechnych rozpatrujących spory ze stosunku pracy, co dotyczyć może części nie mianowanego personelu). W kwestii kadr administracji więcej są warte konsekwentne działania w różnych zakresach, niż jakieś pojedyncze, spektakularne pociągnięcia legislacyjne.

Dla mnie zatrważającą rzeczą jest to, że nawet wysocy funkcjonariusze państwowi nie rozumieją, że nie powinni działać w konflikcie ról i w konsekwencji nie potrafią odróżnić tego, co przystoi, a co nie przystoi funkcjonariuszowi państwa. Gorzej jeszcze: często wydaje się w ogóle nie dostrzegają istnienia tego konfliktu! Są przekonani, że ich osobista uczciwość może zapobiec ekscesom. Nie pojmują, że nie o to tu chodzi: idzie o stwarzanie samej możliwości wykorzystania sytuacji, co już jest gorszące i osłabia autorytet zajmowanego przez nich urzędu. Chodzi tu zwłaszcza (lecz nie tylko) o uczestnictwo w biznesie – także rodziny, o szukanie pretekstu dla działalności politycznej – przy stanowiskach *ex definitione* niepolitycznych, o tendencję do oficjalnej komercjalizacji działalności publicznej. Ale walka o zmiany w tym zakresie, to sprawa lat. Nie ma co się łudzić nadzieją „wielkiego skoku”.

●

W kwestiach wojskowości mój pogląd wynika z zasady ogólnej (szczegółowo tymi kwestiami nigdy się nie zajmowałam): kierownictwo polityczne armią na pewno powinno być w rękach cywilnych, i to nie w postaci figuranta. Każda dykasteria typu wojska czy policji ma tendencje do unikania kontroli zewnętrznej i autonomizacji w takim wypadku własnych celów. Temu zapobiega rozczłonkowanie władzy politycznej nad wojskiem i fachowego dowództwa.

Przyszłość należy chyba do armii kadrowej: niewielkiej, lecz sprawnej. Na to wskazuje tendencja rozwoju tej kwestii w innych demokratycznych krajach.

●

Kierownictwo NIK i Rady do Spraw Radiofonii i Tele-

wizji powinno być niezależne od ośrodków władzy wykonawczej i nieupartyjnione w możliwie najwyższym stopniu. Ideału tu i tak nie da się osiągnąć. Bardziej istotne niż tryb powoływania jest ustabilizowanie pozycji członków już powołanych, bo to utrudnia personalne manipulacje osobami, które nie okazują dostatecznej wdzięczności patronom. Problemem jest zresztą nie tyle tryb powoływania członków tych ciał (obecny uznać można za znośny), ile raczej kwestia doboru kandydatów nie czujących się reprezentantami interesów ośrodka, który ich desygnował.

●
Pośpiech w działaniach na rzecz przystąpienia do Unii Europejskiej jest wskazany. I tak w praktyce będzie on równoważony oporem politycznym i biurokratycznym Unii. Przystąpienie do Unii Europejskiej w moich oczach jest czynnikiem postępu (czasem trochę wymuszonego) w dziedzinie budowy demokratycznych podstaw funkcjonowania nowoczesnego państwa, jego urzędzeń, instytucji, prawa wreszcie, właściwych dla społeczeństw otwartych. I wszelkie działania przyspieszające w tych kwestiach są pożądane. W zakresie gospodarki przystąpienie do Unii wymusza konkurencyjność – w szerokim tego słowa znaczeniu. Pytanie, co będzie, jeżeli temu wyzwaniu gospodarka nie podoła? I martwi mnie, że jakoś nigdzie doczytać się nie mogę omówień tej kwestii. Natomiast koszty społeczne tego przystosowania i zmian będą (muszą być) znaczne: sądzę że i o tym zbyt mało się u nas mówi i pisze, choćby opisując drogę ku „europeizacji”, wzloty i kłopoty innych państw, zwłaszcza tych uboższych: Portugalii, Hiszpanii, Grecji. Znajomość ich doświadczeń może dostarczyć inspiracji do własnych poczynań. Natomiast za nieuzasadnione uważam obawy, że przystąpienie do Unii zniszczy tożsamość narodową, zwłaszcza kulturalną. Te obawy są przesadzone.

Dyskusja o przystąpieniu powinna się toczyć cały czas – i właściwie to się nawet dzieje: tyle, że trochę powierzchownie i bałamutnie, ale tych cech się nie można pozbyć na użytek jakiejś nowej, „oktrojowanej” dyskusji w tej sprawie. Mówić i pisać należy jak najwięcej i raczej podążając stopniowo „w

głąb”, a nie ciągle (to cecha wszelkich naszych dyskusji) „wszerz”.

Referendum w sprawie przystąpienia do Unii: dziś nie widzę takiej potrzeby. Byłoby to głosowanie nad problemami, które nie są dostatecznie znane głosującym. Za kilka lat może? Albo w momencie większego i wyraźniejszego zbliżenia czy wyrażenia jego chęci (przez Unię).

●
Polityka wschodnia – tych spraw też nigdy nie studiowałam głębiej. Widoczna jest jednak pewna nonszalancja traktowania wschodnich sąsiadów, i to w skali politycznej, jak i wymiaru ludzkiego. Jest to godne ubolewania, ponieważ niepotrzebne i nie rozwiązujące niczego. (Może najwyżej być potraktowane jako sposób odreagowywania własnych kompleksów). Trudno (i to w tak zwięzłej wypowiedzi) proponować środki zaradcze w postaci jakiegoś programu, czy nie daj Bóg – *panaceum*. Chyba należałoby zacząć od nawiązywania i kultywowania więzi najrozmaitszego rodzaju: kulturalnych, współpracy przygranicznej (na ile się da) i innych inicjatyw tego typu. Niezwykle ważne jest prowadzenie spokojnych, konkretnych (nawet długotrwałych i pozornie nie posuwających sprawy) rozmów, kontaktów w kwestiach drażliwych (przykład: sprawy katyńskie). Wreszcie działania o charakterze kurtuazyjnym – tych nigdy za wiele, a czyni wrażenie, że na to w ogóle nie zwracamy uwagi. Działania o charakterze porządkowym (walka z przestępczością, przemytem, nielegalnym zatrudnieniem cudzoziemców) nie powinny eksponować wątku „narodowościowego”; obecnie, niestety, jest inaczej.

●
W zakresie stosunków z Kościołem Katolickim – jestem zwolenniczką rozdziału (politycznego, zapisanego w Konstytucji), jako rozdziału instytucji, co nie wyklucza bynajmniej przyjaznej współpracy w wielu kwestiach. Rozwój wydarzeń w ostatnich trzech latach wyraźnie zradycalizował tu zresztą moje poglądy, gdy idzie o postulat politycznego rozdziału obu instytucji. Tu pewien wręt: ujęcie obecnego projektu

Konstytucji, wypracowanego przez Komisję Konstytucyjną, podawane jako wyraz kompromisu, a wyrażające się w formule art. 16 tego projektu głosi, że „władze państwowe w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, gwarantując swobodę ich wyrażania w życiu publicznym”. Otóż ten przepis w ogóle nie zajmuje się kwestią stosunku Państwa do Kościoła: głosi tylko inaczej ujętą zasadę wolności sumienia. Jest to perspektywa wolności człowieka, a nie stosunku między instytucjami: Państwem i Kościołem. W konsekwencji tego ujęcia, sprawa tego stosunku stała się materią pozakonstytucyjną. W dalszym swym punkcie ten sam przepis bowiem oddaje regulację stosunków Państwo-Kościół (mówiąc już wyłącznie o Kościele Katolickim) tylko konkordatowi. Ciekawe, nikt nie zwrócił dotychczas uwagi na to, że poszukiwanie kompromisu doprowadziło w konsekwencji do zmiany przedmiotu regulacji.

Konkordat – obecnie należy ratyfikować. W końcu nie Kościół należy winić za niejasności godzące w interes drugiej układającej się strony. A do renegotjacji potrzeba woli dwóch stron. Nie należy jednak dążyć do ratyfikacji przed uchwaleniem Konstytucji. W każdym jednak razie należałoby doprowadzić do opracowania (i to szczegółowego) zmian w prawie wewnętrznym, które są konieczne tak ze względu na to, że konkordat tej zmiany wymaga, jak i tych, które mogą złagodzić niektóre jego skutki (przede wszystkim w zakresie zawierania małżeństw, aby przeciwdziałać faktycznej bigamii i jej następstwom, kwestia chowania innowierców lub bezwyznaniowców na cmentarzach). Pożądana byłaby także nowelizacja ustawy z 1989, przede wszystkim w zakresie wprowadzenia sądowej (a nie czysto administracyjnej) procedury rozstrzygnięcia w sprawach rewindykacji majątkowych Kościoła. Te ostatnie powinny też dotyczyć tylko pozbawienia Kościoła majątku po 1945 roku.

Co się tyczy spraw finansowych – regulacja kwestii przez wprowadzenie podatku kościelnego (wzór niemiecki) jest moim zdaniem bardzo wskazana.

Sądzę, że byłoby wskazane utworzenie Ministerstwa do Spraw Stosunków z Kościołami: uczytelniłoby to działania administracji i wprowadziło w tym zakresie więcej przejrzys-

tości i czytelności w działaniu takiego organu, niż ma to miejsce obecnie, albo w wypadku powołania jakiegoś departamentu czy komórki w innym resorcie.

Dekomunizację należy oczywiście przeprowadzać, rozumiejąc przez nią odchodzenie od prawa, praktyki jego stosowania i obyczaju społecznego właściwego *hominibus sovieticis*.

Dekomunizacji w sensie lustracji prawnie prawidłowo przeprowadzić się nie da. Przykłady Czech i Niemiec są tego dowodem. To nie prawda, że nie budzą one zastrzeżeń z tego punktu widzenia. Przy okazji natomiast – już abstrahując od niszczenia ludzi – spaskudzi się nieodwołalnie narzędzia prawne. A to już byłoby niebezpieczne na dłuższą metę. Z tej samej przyczyny nic się nie da zrobić z „teczkami”. Byłabym za ich zachowaniem, bez ujawniania – chyba że na żądanie sądu (tylko karnego) w wyrażnie sprecyzowanych, wyjątkowych wypadkach. Przed postulatem zniszczenia teczek (co zgłaszał red. Giedroyc) wstrzymuje mnie szacunek dla historii.

Wobec mniejszości należy prowadzić politykę ostrożną (ale nie małostkową) i życzliwą. Nie kręcić. Nie udawać. Nie zamykać oczu. Nie posługiwać się pretekstami. Jasno określić granice (zwłaszcza w sferze postulatów politycznych i praw zbiorowych) i konsekwentnie tych granic się trzymać. Skupić się głównie na prawie do zachowania tożsamości kulturalnej.

Nie sądzę, aby „ktoś” utrzymywał anachroniczną strukturę wsi – to już raczej można mówić o protekcyjnej polityce gospodarczej dyktowanej taktyczno-wyborczą koniunkturą, która jako skutek ma stagnację tej struktury. Ale czy gdziekolwiek na świecie jest (było) inaczej? Reformę rolnictwa wymusi przystąpienie do Unii Europejskiej. I czekają nas takie same kłopoty jak tam z rolnictwem. Dobrze było-

by przestudiować strategię i taktykę rozwiązywania poszczególnych kazuów w poszczególnych krajach – ja tego nie robiłam, stąd wstrzeźliwość wypowiedzi.

W dziedzinie nauki żonglerka reformami instytucji nie da. Obecnie naukowcy są na etacie na macierzystej placówce, a pracują gdzie indziej. Dla mnie samej (choć unikam tzw. chałtur) praca czysto naukowa staje się z konieczności za którą nie odpowiadam – bardzo pożądanym, ale jednak luksem. Rada: płacić i wymagać. Ale to wymaga bardzo długofalowych, spokojnych działań. I utraty złudzeń, że połączenie czegoś z czymś, albo inne ustawienie tych samych klocków jest poszukiwaną receptą, podobnie jak przekonanie, że w nauce możliwe jest uzyskanie znaczących efektów bez subwencjonowania także otoczki miernoty.

Pytanie jest ogólne, sprawa skomplikowana, a zatem tylko wskazanie ogólnej tendencji: jestem za prywatyzacją i za ograniczoną reprivatyzacją. Tylko w naturze (z zachowaniem klasycznych zasad rozliczenia z tytułu późniejszych nakładów), bez naruszenia praw nabytych osób trzecich (spirala rewindykacyjna), ograniczoną do wypadków, gdy wyzucie z własności odbyło się z naruszeniem ówczesnego prawa; gdy przedmiot własności legalnie upaństwowionej jest obecnie nie wykorzystany (to nieprecyzyjna formuła, ale chodzi o samą ideę).

Odpowiedź na pytanie w kwestii zapewnienia minimum życiowego najuboższym warstwom społecznym – i to jeszcze w ramach ankiety – przekracza moje możliwości. Najuczciwiej byłoby odpowiedzieć: starać się o złagodzenie „szoku transformacji” – ale to niewiele znaczy, bo nic nie mówi o tym, o jakie działania chodzi. Sądzę (trochę intuicyjnie), że rzeczywistą mizериę słabych pogarsza u nas po pierwsze:

niedostatek starań o to, aby uczynić „transparentną” realnie prowadzoną wobec nich politykę wspierania (wyjątkiem w tym zakresie były poczynania J. Kuronia, ale jeden Don Kichot to za mało, chodzi o różne środki). Z pewnością parasol ochronny państwa jest tu w pewnej mierze konieczny – pytanie jakie mają być jego rozmiary. Dyskusja nad tym musi być jednak prowadzona konkretnie, w odniesieniu do konkretnych poczynań legislacyjnych i organizacyjnych. Po drugie: niedowład organizacyjny administracji powoduje, że w zakresie pomocy (dla emerytów, bezrobotnych, rodzin wielodzietnych itd.) nie zawsze „strumień” pomocy dociera we właściwe miejsce, co nie tylko pozbawia pomocy potrzebujących, ale i demoralizuje świadomością istnienia nadużyć. Konsekwentne działania na rzecz poprawy tej sprawy byłyby pożądane. Brak jest tu chyba sensownie zorganizowanej współpracy (choćby sensownej wymiany informacji) agend państwa, samorządów, organizacji charytatywnych, Kościołów.

JAN OLSZEWSKI

JAROSŁAW KURSKI: – *Jest Pan współautorem obywatelskiego projektu konstytucji. Jakie poparcie uzyskał ten projekt?*

JAN OLSZEWSKI: – Podpisało się pod nim ponad milion osiemset tysięcy obywateli, choćby dlatego powinien on być podstawą przyszłej konstytucji III RP.

J.K.: – *Pozycja prezydenta w tym projekcie nie jest chyba najsilniejsza.*

J.O.: – Nie powiedziałbym. Po pierwsze pochodzi on z powszechnych wyborów. Prezydent nie jest wprawdzie zwierzchnikiem władzy wykonawczej i nie ingeruje w pracę rządu. Ale ma pozycję specjalną – jest arbitrem. Kiedy parlament nie

może wyłonić rządu, to wówczas w rękach prezydenta leży inicjatywa powołania Rady Ministrów, a jeśli i to nie przyniesie rezultatu, może rozwiązać parlament. Są to więc uprawnienia bardzo daleko idące.

Obywatelski projekt konstytucji przewiduje, że we wszystkich sytuacjach nadzwyczajnych – wewnętrznych i zewnętrznych – realna władza w państwie przechodzi w ręce prezydenta.

J.K.: – *Wnioskuje z Pana doświadczeń jako premiera, że jest Pan przeciw tzw. resortom prezydenckim i opowiada się za cywilną kontrolą nad armią.*

J.O.: – Nie może być resortów podporządkowanych komu innemu niż premierowi. Inaczej jest to anarchizowanie aparatu państwowego.

Ale bądźmy sprawiedliwi, kompetencje wobec MSW, MON i MSZ były zastrzeżone dla prezydenta Jaruzelskiego. Lech Wałęsa je odziedziczył i tylko skrupulatnie egzekwował. Co się tyczy armii, minister bezwzględnie powinien być cywilem. To kamień węgielny każdego ustroju demokratycznego. Podobnie szef sztabu, w sensie odpowiedzialności politycznej powinien być podporządkowany ministrowi obrony narodowej.

J.K.: – *Jaką powinniśmy mieć armię? Zawodową, czy z powszechnego poboru?*

J.O.: – W polskich warunkach jeszcze długo nie będziemy mogli zrezygnować z poboru. Docelowo system obrony powinien stanowić – wykorzystując doświadczenia II RP – kombinację tych dwu zasad: powszechna, obywatelska służba obrony narodowej, której kośćcem będzie armia zawodowa.

J.K.: – *Czy aparat państwowy jest rozrzutny, nadmiernie rozrośnięty i uzależniony od partii politycznych?*

J.O.: – I rozrośnięty, rozrzutny i uzależniony nie tyle od partii, ile od różnej maści cwaniaków, aferzystów i grup interesów.

J.K.: – *Jakich cwaniaków, aferzystów i jakich grup interesów?*

J.O.: – Proszę spojrzeć na rozkład głosów w Sejmie w czasie głosowań nad np. prawem bankowym, czy sprawą kasyn gry. Widać było, że linia podziału nie biegnie układem partyjnym. W poszczególnych klubach są ludzie wywodzący się z rozmaitych grup interesów. Jednorodny w swych powiązaniach ze światem gospodarczym czy tzw. biznesmeńskim był jedynie dawny Kongres Liberalno-Demokratyczny.

J.K.: – *W Polsce aparat państwowy podlega częstej politycznej wymianie. Co ekipa to personalna rewolucja. To Pana nie razi?*

J.O.: – Dopóki nie będzie korpusu służby cywilnej, to będzie się to powtarzać. Po 1989 roku nastąpił wprawdzie proces dekomunizacji stanowisk zajmowanych przez nomenklaturę, ale wyłącznie na naczelnych stanowiskach politycznych. Teraz nomenklatura wraca – to naturalny proces w takiej demokracji, jaką dziś w Polsce mamy.

J.K.: – *A jaką mamy?*

J.O.: – Mamy poprawiony PRL.

J.K.: – *W czym to się przejawia?*

J.O.: – Między innymi właśnie w polityce kadrowej.

J.K.: – *Czy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji jest niezależna od czynników politycznych?*

J.O.: – To co się dzieje wokół KRRiTV to groteska, choć pomysł by powołać Radę, był jak najbardziej słuszny. Rada padła ofiarą politycznych gier.

J.K.: – *Jednak telewizja obroniła niezależność.*

J.O.: – Jak dotąd. Względna. Poczekajmy. Mimo nieudanego eksperymentu z KRRiTV uważam, że powinno się stworzyć analogiczną instytucję dla prasy.

J.K.: – *To SLD opowiada się za utworzeniem Rady Prasowej.*

J.O.: – Ja też, choć nasze projekty są zupełnie rozbieżne. Myślę, że jej powołania nie unikniemy.

J.K.: – *Czy uzasadnione są nasze starania o jak najszybsze przyjęcie Polski do Unii Europejskiej?*

J.O.: – Nasz pośpiech nie jest uzasadniony, a co najważniejsze, nie prowadzi on do żadnych realnych rezultatów. Twierdzenia, że w roku 2000 będziemy pełnoprawnym członkiem Unii, są prymitywną mitologią. Na przystosowanie naszej gospodarki potrzebna jest co najmniej dekada. Dopiero wówczas możemy wejść do Unii jako partner, a nie jako kraj będący źródłem taniej siły roboczej i miejscem lokowania brudnej ekologicznie produkcji przemysłowej.

J.K.: – *Czy ten proces dostosowawczy nie może nastąpić w ramach Unii Europejskiej?*

J.O.: – Może, tylko to wymaga kapitału, a ja nie widzę kto miałby go dostarczyć. Polska nie ma komfortu byłej NRD. W kwestii naszego wejścia do UE świadomość znacznej części opinii publicznej jest zafałszowana. Ludzie nie potrafią realnie ocenić naszych perspektyw. Uważają, że do Europy powinniśmy wejść jak najszybciej, a wówczas otworzy się przed nami niebo. Gdyby nasze przyłączenie do Unii nastąpiło teraz, to by oznaczało właściwie zniszczenie polskiej gospodarki, poziom więcej, polskiego społeczeństwa. W ciągu paru tygodni zostalibyśmy wykupieni. Wystarczy porównać ceny ziemi i nieruchomości w Polsce z cenami w Europie Zachodniej.

Uważam, że nasza koncepcja wejścia do Unii jest nie-realna, gdyż opiera się ona na założeniu, że państwem, które nas będzie wprowadzać do Wspólnoty, będą Niemcy. To założenie błędne. Pośrednictwo Niemiec nie tylko że nie przyspieszy, ale opóźni naszą integrację. Takie jest moje rozpoznanie sytuacji z okresu kiedy byłem premierem. Inne państwa Unii boją się dominacji Berlina. Jeśli będziemy wchodzić do Unii jako klient Niemiec, powiększając tym samym siłę ich układu – to spotka się to ze zdecydowanym sprzeciwem. Musimy wyrobić sobie własną pozycję i wejść tam jako element równowagi.

J.K.: – *Politycy Zachodu mówią, owszem Polska wejdzie do NATO, ale najpierw niech stanie się członkiem Unii Europejskiej.*

J.O.: – Na szczęście głos decydujący w Pakcie należy do Stanów Zjednoczonych. Stąd moja nadzieja, że w Północno-atlantyckim układzie bezpieczeństwa znajdziemy się prędzej.

J.K.: – *W tym przeszkadza Rosja. Czy my w ogóle potrafimy rozmawiać z Rosją?*

J.O.: – Polityki wschodniej Polska nie ma. Powinniśmy rozmawiać z Rosją bez zamykania oczu na fakty. A one są dla nas bardzo przykre, bo Rosjanie mówią wprost, że Polski jako państwa suwerennego nie uznają i że przyznają nam co najwyżej status państwa sfinlandyzowanego. Uznają nas za swoją strefę wpływów, dlatego – według nich – nasza polityka powinna uwzględniać rosyjskie interesy. Rosja nie jest oczywiście dzisiaj w stanie realizować tej zasady, ale ją podtrzymuje. A my na to zamykamy oczy, my tego nie słyszymy. Objasniamy sobie, że oni to mówią tylko na swój wewnętrzny użytek, bo mają Żyrynowskiego. Nabieramy wody w usta, a to polityka fatalna.

J.K.: – *Co więc powinniśmy zrobić?*

J.O.: – Musimy tę sprawę stawiać jasno przed opinią międzynarodową. To na co się Rosjanom pozwala, jest rzeczą bezprecedensową.

J.K.: – *A na co się pozwala?*

J.O.: – Na przykład na dekret Jelcy na o możliwości zastosowania siły wojskowej w obronie Rosjan i rosyjskich interesów za granicą. Z treści dekretu wcale nie wynika, że ma być on stosowany jedynie w obrębie dawnego terytorium ZSRR. Skoro oni uważają nas za swoją strefę, nie ma żadnej pewności, że postanowienie tego dekretu do nas się nie odnosi. Jest to doktryna z punktu widzenia prawa międzynarodowego po prostu niebywała.

J.K.: – *Jak przewyciężać sprzeciw Rosji wobec naszych aspiracji do NATO?*

J.O.: – To my daliśmy Rosji okazję do publicznego sformułowania tego sprzeciwu. To Wałęsa zwrócił się do prezydenta Jelcyna, o to by udzielił swej zgody. Taki był początek całej sprawy. W czasie wizyty prezydenta Rosji w Warszawie ta zgoda rzekomo miała być udzielona. Ogłoszono to jako wielki triumf polskiej polityki. Po dwóch tygodniach nastąpiło dla nas dotkliwe *dementi*.

My i tak z Rosją będziemy musieli jakoś żyć, ale nie na zasadach jakie nam dziś Rosjanie proponują.

J.K.: – *A stosunki z Ukrainą?*

J.O.: – Są kluczem, dla całej polskiej polityki europejskiej. My jesteśmy najżywotniej zainteresowani utrzymaniem się niepodległej Ukrainy. Co możemy w tej sprawie zrobić? Możemy dziś być cichym adwokatem Ukrainy w jej kontaktach z Zachodem, choć dziś nasza pozycja osłabła na skutek wewnętrznych politycznych gier. Powinniśmy udzielać Ukrainie pomocy w takich dziedzinach, które nie wywołują konfliktów z Rosją, a więc w sferze naukowej, kulturalnej, technicznej. Taka pomoc może przyczynić się do budowy samodzielności społeczeństwa ukraińskiego, zwłaszcza na Ukrainie właściwej.

J.K.: – *A nasze grzechy w polityce wobec Litwy?*

J.O.: – Tu zrobiliśmy błąd „na wejściu”. Niepodległość Litwy należało uznać natychmiast po jej ogłoszeniu, bo było wiadomo, że prędzej czy później Litwa wygra sprawę swojej wolności. Niestety polska polityka okazała się małoduszna. Litwa potrzebowała wsparcia i była gotowa zapłacić cenę w postaci zagwarantowania praw naszej mniejszości. Dziś musimy domagać się respektowania europejskich standardów wobec polskiej mniejszości.

J.K.: – *Jako pierwsi uznaliśmy Ukrainę.*

J.O.: – Rzeczywiście. Wyciągnęliśmy wnioski z błędu litewskiego.

J.K.: – *Jak według Pana powinny kształtować się relacje państwo-Kościół. Jak oddzielić sacrum od profanum?*

J.O.: – Na pewno nie według formuły, którą znamy z PRL-u, formuły rozdziału Kościoła od państwa. Kościół czy się to komuś podoba, czy nie, zawsze będzie w Polsce jedną z najważniejszych instytucji życia narodowego. Dlatego próba zepchnięcia Kościoła na pozycję jednego z wyznań, które działa gdzieś w kruchcie, jest nierealna. Racjonalna formuła, zgodna zresztą z zaleceniami soborowymi to formuła dwóch autonomicznych i współpracujących ze sobą układów. Konkordat należy ratyfikować jak najprędzej.

J.K.: – *A dlaczego trzeba się spieszyć?*

J.O.: – Polski Kościół podporządkowany jest Watykanowi, który ma wpływ na decyzje personalne tu w kraju. Jeśli nie uregulujemy naszych stosunków ze Stolicą Apostolską, to wówczas dobrowolnie pozbawimy się możliwości kontrolowania tych wpływów. Dziś jest to aspekt, na który nikt nie zwraca uwagi, bo na Stolicy Piotrowej zasiada Polak i polska racja stanu jest zabezpieczona tak, że lepiej być nie może. Ale ten stan nie będzie trwał wiecznie.

J.K.: – *Pan domaga się dekomunizacji. Jakich sfer życia publicznego powinna ona dotyczyć?*

J.O.: – Powinna się ona dokonać poprzez rozbicie i przebudowę struktur odziedziczonych po tamtym systemie. Rząd ma nadal strukturę pomyślaną i wprowadzoną jeszcze w okresie Minca w 1950 roku. Służba zdrowia, ubezpieczeń społecznych, Polska Akademia Nauk, to struktury z tamtego systemu.

J.K.: – *To instytucje. A jeśli chodzi o ludzi?*

J.O.: – Z ludźmi jest trudniej. Wprowadzenie formalnych zakazów wydaje się mało efektywne. Ale na najwyższych stanowiskach państwowych, w służbach specjalnych, w wymiarze sprawiedliwości, w prokuraturze ludzie uwikłani w poprzedni system nie powinni zajmować stanowisk.

J.K.: – *A lustracja?*

J.O.: – Dziś lustracja w Polsce to przedmiot politycznych

czarów. Lustracja to zwykła procedura stosowana w każdym praworządym i demokratycznym państwie, w USA, w Niemczech, we Francji. Nie wiem dlaczego u nas nie miałyby być podobnie. Bez tego państwo nie będzie funkcjonowało w sposób właściwy. Chodzi przecież o wyeliminowanie czynnika niepewności w obsadzie najważniejszych stanowisk państwowych.

J.K.: – *Potrzebna więc jest ustawa.*

J.O.: – Tak, ale można było tego dokonać w 1992 roku, także na podstawie sejmowej uchwały. Trzeba ją było tylko uzupełnić w duchu składanych przez nas wniosków, to znaczy zapewnić zainteresowanym prawo do obrony przed specjalnym, *quasi-sądownym* organem, który miał powołać pierwszy prezes Sądu Najwyższego.

J.K.: – *Dziękuję za udział w ankiecie.*

Sierpień 1995

JANUSZ ONYSZKIEWICZ

JAROSŁAW KURSKI: – *Który z napisanych dotąd projektów konstytucji najbardziej Panu odpowiada?*

JANUSZ ONYSZKIEWICZ: – Najbardziej przemawia do mnie projekt Unii Wolności, który jest kompromisem między skrajnymi modelami: niemieckim i amerykańskim. W tym pierwszym prezydent sprawuje jedynie funkcje reprezentacyjne, w drugim jest szefem władzy wykonawczej.

J.K.: – *Czy jednak ten model nie jest hybrydalny? Prezydent ma silną legitymację – wybierany jest przez cały naród – ale jego uprawnienia są wątte.*

J.O.: – To o niczym nie świadczy. W Austrii czy Finlandii

prezydent jest też wyłaniany w powszechnych wyborach, a jego konstytucyjna pozycja nie jest mocna.

J.K.: – *Taką „pośrednią” pozycję prezydent ma dziś, pod rządami małej konstytucji.*

J.O.: – Ma wystarczające kompetencje by zapewniał stabilność państwa. Jego kadencja trwa pięć lat, a więc dłużej niż kadencja parlamentu. Przez ten czas zmieniło się kilka rządów, a prezydent trwa.

J.K.: – *Czy Lech Wałęsa stabilizował państwo?*

J.O.: – Co by o nim nie mówić, trzeba przyznać, że konsekwentnie opowiadał się za kontynuowaniem reform ekonomicznych. Również konsekwentnie opowiadał się za włączeniem Polski w proces integracji atlantyckiej i europejskiej. Pomijam tu bardzo niefortunne epizody, jak koncepcja NATO bis i EWG bis, bo *per saldo* ocenić go trzeba pozytywnie. Natomiast na scenie wewnętrznej działania prezydenta trudno uznać za stabilizujące, zwłaszcza działania na granicy a nawet poza prawem.

J.K.: – *Prezydent poparł ostatnio projekt konstytucji przygotowany przez „Solidarność”.*

J.O.: – Ewolucja polityczna Lecha Wałęsy jest zdumiewająca. Zawsze żądał mocnej prezydentury, tymczasem w tym projekcie prezydent jest bardzo słaby. Nie ma nawet żadnej władzy wobec sił zbrojnych, nie przewiduje się dla niego żadnej roli w dziedzinie polityki zagranicznej. To przejście z jednej skrajności w drugą nie jest – jak mierniam – wynikiem zmiany poglądów na charakter prezydentury, lecz przejawem gry politycznej. Szkoda tylko, że do tej gry używa się spraw tak fundamentalnych, jak konstytucja.

J.K.: – *Co Pan, jako były minister obrony myśli o resortach prezydenckich?*

J.O.: – Oczywiście jestem przeciw. Mogę przyjąć zasadę, że premier konsultuje z prezydentem kandydatury szefów MON, MSZ, MSW, ale, podkreślam, konsultuje. Po prostu

ministrowie muszą być członkami rządu, a nie ludźmi prezydenta w rządzie.

J.K.: – *Ale jak to pogodzić z konstytucyjną zasadą zwierzchnictwa prezydenta nad siłami zbrojnymi i ogólnego kierownictwa w dziedzinie spraw zagranicznych?*

J.O.: – Pewne zapisy konstytucyjne mają charakter honorowy. Otóż najwyższym dowódcą sił zbrojnych Wielkiej Brytanii jest królowa brytyjska, co wyraża się jedynie w tym, że dokonuje ona przeglądu gwardii królewskiej. Najwyższym dowódcą sił zbrojnych Włoch jest prezydent. Nie ma tu żadnej sprzeczności z zasadą zwierzchnictwa. Prezydent przy swych ograniczonych uprawnieniach może działać bardzo efektywnie, ale tylko pod warunkiem – że będzie wiedział, co trzeba zrobić, że będzie miał jasną, przemyślaną wizję. Wówczas sama waga jego urzędu sprawi, że propozycji prezydenta nie będzie można ignorować. Muszę powiedzieć, że w czasie, gdy byłem ministrem obrony narodowej prezydent Wałęsa nie zwrócił się do mnie z ani jedną sprawą, z żadną sugestią, co trzeba by zmienić w wojsku. Ani jednej sugestii, że może coś zrobić tak albo inaczej. Prezydent ingerował jedynie w momentach, kiedy podejmowane były decyzje personalne. Nie wykorzystywał nawet swych ograniczonych uprawnień. Nie zwołał nigdy posiedzenia rządu i nie przewodniczył temu posiedzeniu. Prezydent czasami pojawiał się na obradach rządu, ale tylko jako gość.

J.K.: – *Czy nasza armia powinna być zawodowa, czy tak jak teraz z poboru?*

J.O.: – Opowiadam się za armią z poboru. Armia zawodowa kosztuje znacznie więcej.

J.K.: – *Ale jest mniejsza i bardziej efektywna.*

J.O.: – To prawda, ale żołnierzowi nie można płacić żołdu, trzeba płacić pensję. Nie wystarczy mu prycza, trzeba mu zapewnić mieszkanie, bo ma prawo założyć rodzinę itd. Każda armia zawodowa ma problem rezerw. W razie konfliktu siły zbrojne będące zwykle w dyspozycji państwa są niewystar-

czające i trzeba je powiększać przez mobilizację. W armii zawodowej służy się co najmniej 10 lat. Rezerwę z armii zawodowej wcielić ponownie jest trudno – on już zwyczajnie fizycznie, z racji wieku może temu nie podołać. Jest wiele państw, które mogłyby pozwolić sobie na armię zawodową, a jednak tego nie czynią. W Szwajcarii na przykład w obronę kraju musi się włączyć każdy, na miarę swoich możliwości. Obowiązuje tam doktryna obrony totalnej, w którą zaangażowane jest całe społeczeństwo. W Europie jedynie Wielka Brytania ma armię zawodową, a jest to kraj o bardzo szczególnych kolonialnych tradycjach wojskowych. Wielka Brytania miała właściwie flotę, a armia była potrzebna, by walczyć w Afryce Południowej, w Indiach czy w Birmie. I co najważniejsze, armia zawodowa ma tendencje do tego by wymykać się spod demokratycznej kontroli i może stać się czynnikiem, który zawładnie państwem. Receptą na to jest uspołecznienie służby wojskowej. Pucz armii francuskiej w Algierii w 1960 roku załamał się dlatego, że prezydent de Gaulle zwrócił się bezpośrednio właśnie do żołnierzy z poboru. Takich przykładów można by podać więcej. Armia obywatelska lepiej służy systemowi demokratycznemu, niż armia zawodowa.

J.K.: – *A jaka winna być pozycja Szefa Sztabu?*

J.O.: – Szef Sztabu musi podlegać ministrowi obrony i nie do pomyślenia, by było inaczej. Tak jest na całym świecie, nawet w systemach prezydenckich. Szef połączonych sztabów USA podlega pod każdym względem sekretarzowi obrony Stanów Zjednoczonych. Podobnie we Francji.

J.K.: – *Wszyscy mówią, że aparat państwowy jest upolityczniony i nadmiernie rozrośnięty. Pan pewnie to zdanie podziela.*

J.O.: – Tak, zgadzam się z tym. SLD i PSL za rządów Suchockiej twierdziły, że administracja musi być apolityczna i że powinni w niej pracować fachowcy. Był w tym pewien podtekst, bo fachowiec to znaczyło ten, kto ma doświadczenie, a więc ktoś kto pochodził jeszcze z dawniejszego PRL-owskiego naboru. Kiedy koalicja zwyciężyła wybory, dokonała zwrotu o 180 stopni, twierdząc że wojewodowie to stanowiska politycz-

ne, i że powinni przychodzić i odchodzić z premierami.

J.K.: – *Na jakim szczeblu powinna się kończyć wymiana urzędników?*

J.O.: – Na szczeblu wiceministrów. Najchętniej zrobiłbym rozróżnienie na wiceministrów i podsekretarzy stanu. Byłyby to stanowiska równorzędne, ale wiceminister byłby stanowiskiem politycznym, natomiast podsekretarz stanu stanowiskiem ze służby publicznej. Chętnie bym też widział nawiązanie do tradycji brytyjskiej tzw. stałych podsekretarzy stanu. Sir Michel Qinan, stały podsekretarz stanu w brytyjskim ministerstwie obrony, który pracował z kilkoma sekretarzami obrony, mówił, że zawsze działał tak, żeby jego szef nie mógł się nawet domyślać na kogo głosuje w wyborach.

J.K.: – *Czy aparat jest rozrzutny?*

J.O.: – Prezydent rozdaje premie rozmaitym generałom, subsydiuje rejs żaglowca Iskra, a przecież nie na to otrzymuje pieniądze. Podobnie z przebudową Pałacu Namiestnikowskiego. Uważam – może ze względów sentymentalnych – że Prezydent powinien rezydować w Belwederze. Doświadczenie samorządów wykazuje, że potrafią one gospodarować funduszami w sposób znacznie bardziej racjonalny i oszczędny. Trzeba więc przesuwać środki niżej, tam gdzie każdą złotówkę obejrzą trzy razy, zanim ją wydadzą.

J.K.: – *Polska nie stoi dziś w obliczu bezpośredniego zagrożenia, które uzasadniałoby szybkie rozpostarcie parasola ochronnego w postaci członkostwa NATO. Skąd więc ten pośpiech?*

J.O.: – Powstaje pytanie: jeśli takie zagrożenie się pojawi, czy kraje NATO zechcą nas wówczas przyjąć? Już widzę te dyskusje wśród krajów członkowskich i pytania: po co wplątywać się nam w tę awanturę? Zwłaszcza, że przyjęcie nowego członka do NATO wymaga zgody wszystkich szesnastu krajów zrzeszonych w Pakcie. W sytuacji zagrożenia uzyskanie takiej jednomyślności może być bardzo wątpliwe. Teraz taka możliwość się pojawia. W NATO nie tylko chodzi o obronę a

przede wszystkim – jak stanowi traktat waszyngtoński – o tworzenie gwarancji stabilności. Z tego właśnie powodu przyjęto do NATO Hiszpanię.

J.K.: – *Wielu zachodnich polityków uzależnia nasze członkostwo w NATO od przystąpienia do Unii Europejskiej?*

J.O.: – Politycy Unii Zachodnioeuropejskiej, a więc tego wojskowego kośćca UE, mówią jasno, że nie można zostać członkiem UZE bez członkostwa w Unii Europejskiej i bez członkostwa w NATO. Z kolei w NATO powiadają, że jak będziemy w UZE to oni nas przyjmą. To jest zabawa w kotka i myszkę. Do NATO musimy wejść najpierw. Polska może zostać członkiem Paktu już jutro. Oczywiście proces dostosowawczy będzie trwał długo, ale wspomniana Hiszpania przyjęta do NATO w roku 1982, dopiero w zeszłym roku spełniła odpowiednie warunki. Wejście Polski do Paktu leży nie tylko w naszym interesie, ale i w interesie samego NATO.

J.K.: – *A to dlaczego?*

J.O.: – W obliczu konfliktu lokalnego Polska nie potrzebuje wsparcia NATO. Ale co nastąpi, gdy nasz kraj stanie wobec zagrożenia, któremu przy całym swoim potencjale 40-milionowego państwa nie będzie mógł sprostać? Jeśli Polska straci niepodległość, albo zostanie zsatelizowana, zagrożenie dla państw NATO wcale nie zniknie. Więcej – będzie jeszcze poważniejsze. Z punktu widzenia Paktu Północnoatlantyckiego korzystniej jest przeciwstawić się takiemu zagrożeniu razem z Polską, i 600 kilometrów na wschód od Berlina, niż bez Polski i 60 kilometrów od stolicy Niemiec.

J.K.: – *Rozumie to Berlin, ale czy rozumie to Waszyngton?*

J.O.: – Myślę, że zaczyna. I Waszyngton, i pozostałe państwa Paktu. Nasza argumentacja powoli się przebija. W tej chwili jest już zupełnie jasne, że w rozszerzeniu NATO chodzi tylko o Polskę. Nie jest ważne, czy będą tam Czesi, czy Węgrzy. Jakościowa zmiana polega na tym, że będzie tam Polska. Stąd milczące przyzwolenie Rosji na wstąpienie Węgier i Czech – i opór wobec naszych aspiracji.

J.K.: – *Wielu polityków prawicy krytykuje proeuropejski kierunek polityki zagranicznej. Twierdzą, że Polska jest w Europie od 1000 lat.*

J.O.: – Unia Europejska w rozmaitych formach istnieje lat kilkadziesiąt. UE to nie to samo, co Europa. Jeśli ktoś mówi, że „nie będziemy wchodzić do Europy na kolanach”, to odnoszę wrażenie, że nie ma przekonania co do własnej wartości. Ja takie przekonanie mam. Oczywiście, że trzeba wynegocjować jak najlepsze warunki, ale ja się naszego wstąpienia do Unii nie boję, nawet jeśli chodzi o kwestie czysto rolnicze. Nie bez powodu UE broni się przed naszą żywnością, a to oznacza, że jesteśmy konkurencyjni na tamtym rynku. Jeśli nasz cukier jest o połowę tańszy niż zachodni, to niech się Unia martwi, co z tym fantem zrobić. Wejście do Unii jest niewątpliwie problemem psychologicznym i powinien to być akt świadomy, podjęty przez społeczeństwo w drodze referendum. Edukacja proeuropejska to wielkie zadanie dla instytucji pozarządowych, istnieje bowiem niebezpieczeństwo efektu „odrzućcia”, którego byliśmy świadkami, gdy chodziło o ratyfikację traktatu z Maastricht.

J.K.: – *Jakimi zasadami powinna kierować się nasza polityka wschodnia?*

J.O.: – Myślę, że w rozmowie z Rosjanami nie powinniśmy wracać do kwestii naszego członkostwa w Unii i NATO. Te kwestie uważamy za przesądzone. Problem polega na tym, że oni tak nie myślą. Nasza polityka wschodnia przez pierwsze dwa, trzy lata musiała być trochę kulawa. Polska w tym czasie musiała określić swą wizję miejsca w Europie i uzyskać akceptację tej wizji przez zachodnich partnerów. Dzięki temu dziś możemy rozmawiać z Rosją bez wytwarzania żadnych złudzeń, że Polska jeszcze się waha.

J.K.: – *Tylko, że dziś to nie dialog, a dwa monologi. Rosjanie swoje, a my swoje. A nastroje imperialne wzbierają.*

J.O.: – Remedium na wzrost nastrojów imperialnych jest właśnie wstąpienie do Paktu. Wtedy pan Żyrynowski, który pokazywał mapę, na której Niemcy i Rosja mają wspólną

granicę, będzie wyglądał bardziej niepoważnie, niż w tej chwili. Zablokowanie naszego wejścia do NATO będzie podarunkiem dla grup neoimperialnych. To oni, a nie demokraci w Rosji, zyskają na tym politycznie. Jeśli chodzi o nasz dialog z Rosją, to musi on polegać na przekonywaniu Rosjan, że nasza przynależność do Paktu, nie jest okolicznością antagonizującą, że granica NATO i Unii, która przesunie się z Odry na Bug, będzie granicą współpracy, a nie konfrontacji.

J.K.: – *Czy Polska powinna bać się Rosji?*

J.O.: – Polska musi rozważać czarne scenariusze. Ma do tego prawo, bo sami Rosjanie je rysują. Na tym polega polityka bezpieczeństwa, że się uwzględnia najgorszy z możliwych rozwój sytuacji. Nie dlatego mamy zamki w drzwiach, że wiemy, że sąsiad chce się do nas włamać, ale dlatego że ktoś kiedyś może spróbować to zrobić.

J.K.: – *Czy nie dopuściliśmy się zaniedbań w polityce wobec Ukrainy, Białorusi i wobec Bałtów?*

J.O.: – Były gesty: szybkie uznanie Ukrainy, podpisanie traktatów – ale współpraca zbyt mało rozwija się na szczeblu społecznym. Nasze kontakty ze wschodnimi sąsiadami to na ogół kontakty rządowe, lub czysto handlowe, tzw. handel walizkowy.

J.K.: – *Co znaczy współpraca na szczeblu społecznym?*

J.O.: – Kontakty między organizacjami, współpraca przygraniczna, euroregion, który jest silnie kontestowany przez grupy nacjonalistyczne. Dla nas Litwa to jest problem moralny i sentymentalny, ale Ukraina to problem strategiczny.

J.K.: – *W czym to się wyraża?*

J.O.: – Dopóki Ukraina będzie krajem w pełni niepodległym i przyjaznym, tak samo jak i my będzie widzieć narodowy interes w zacieśnianiu przyjaznych stosunków z Polską. Gorzej jeśli wzorem Białorusi weszłaby w proces stopniowego przybliżania się do Rosji. Byłby to proces niedobry i dla Ukrainy, i dla Rosji. Rosja bez Ukrainy ma znacznie większe

szanse, by wyzbyć się swego imperialnego charakteru. Jeśli Rosja wchłonie Ukrainę, to tendencje imperialne odzysną z jeszcze większą siłą.

J.K.: – *Co więc my możemy robić?*

J.O.: – Wspierać Ukrainę politycznie na forum międzynarodowym. Spędziłem wiele czasu na rozmowach z politykami amerykańskimi, uświadamiając im znaczenie Ukrainy. Do niedawna Amerykanie rozmawiali z Ukraińcami wyłącznie o broni jądrowej. Myślę, że mam swój udział w zmianie tej jednotorowej polityki.

J.K.: – *Jaką politykę Polska winna prowadzić wobec mniejszości?*

J.O.: – Zgodną ze standardami europejskimi i konwencją z Kopenhagi. W stosunku do mniejszości panuje zasada „daję, żeby dostać”. Jeżeli mniejszościom zaofერujemy więcej, niż wymaga konwencja, to tym samym możemy oczekiwać, że na zasadzie równego traktowania nasze mniejszości uzyskają podobne prawa w innych krajach.

J.K.: – *Czy w Polsce potrzebna jest dekomunizacja?*

J.O.: – Jest potrzebna, ale dopuszczałbym ją tylko w jednym wymiarze. Chciałbym, by ludzie mieli poczucie przyzwoitości i świadomi uwikłania w system komunistyczny powstrzymali się od uczestnictwa w życiu publicznym. To taka dekomunizacja oparta na wierze, że człowiek w gruncie rzeczy jest porządny. Niestety to w Polsce się nie sprawdza.

J.K.: – *W USA obowiązuje formuła „clearance”. Powiązania i przeszłość osoby aspirującej do wysokich stanowisk prześwietlane są ze wszystkich stron.*

J.O.: – Ależ to jest absolutnie jasne. Tak musi być. Gdy ja dokonywałem rozmaitych nominacji, to zawsze sprawdzałem kandydatów i wiem, że takie badania były prowadzone wobec osób mających objąć stanowiska rządowe. Dlatego zdarzały się sytuacje, że padało nazwisko jakiegoś kandydata, który jednak potem nie był nominowany. Nie wiem, jak było z tym rządem.

J.K.: – *Kto Pana zdaniem zostanie prezydentem?*

J.O.: – Jacek Kuroń. Dla Aleksandra Kwaśniewskiego najlepszym scenariuszem jest pojawienie się w drugiej turze Lecha Wałęsy, a najgorszym Jacka Kuronia. Odrzucenie Lecha Wałęsy jest tak szerokie, że nie będzie w stanie przejąć elektoratu przegranych kandydatów z pierwszej tury. Jacek Kuroń takie możliwości ma największe.

J.K.: – *Czy tak samo Pan uważał, gdy w prawyborach konkurował Pan z Kuroniem?*

J.O.: – Mówiąc zupełnie szczerze uważałem, że będę miał większe szanse, ale poddałem się ocenie Kongresu Unii Wolności. Z chwilą gdy Kongres – co prawda niewielką większością – orzekł, że Jacek Kuroń ma większe szanse, to ja ten werdykt uznałem. Można wymieniać liczne cechy, którym powinien odpowiadać prezydent, ale przede wszystkim winien mieć jedną cechę, powinien być wybrany.

Sierpień 1995

ADAM STRZEMBOSZ

Warszawa, 21.08.1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mimo chronicznego braku czasu (to już dola każdego kandydata) spróbuję zwięźle odpowiedzieć na nadesłaną mi ankietę.

Ustosunkowanie się do projektu sejmowego Konstytucji jest właściwie niemożliwe, gdyż nigdzie jego wersja, nawet najbardziej robocza, nie została dotąd opublikowana. Nie było to zresztą możliwe – Komisja Konstytucyjna nie dyskutuje żadnej

wstępnej wersji Konstytucji, a bierze pod uwagę kilka wcześniej opracowanych projektów, w tym też projekt „Solidarności”. Natomiast projekt „Solidarności” budzi zastrzeżenia w 3 poważniejszych kwestiach. Po pierwsze nasuwa wątpliwości charakter prawny komisji trójstronnej (art. 43) złożonej z przedstawicieli pracowników, pracodawców i Rządu, która to komisja ma określać wysokość płacy minimalnej, minimalnego dochodu gwarantowanego oraz normy pracy. Instytucja ta nadto wcale nie musi być korzystna dla pracowników (przeciwko nim może być i Rząd i pracodawcy) oraz nie wiadomo co ma się stać, jeżeli te trzy strony nie dojdą do porozumienia. Wydaje się, że jej rolę znacznie lepiej spełnią zbiorowe układy pracy z jednej strony, a przepisy prawa pracy, stanowione przez Sejm – z drugiej strony. Drugą kwestia to zbyt wiele przepisów nakładających na państwo określone obowiązki o charakterze socjalnym, które to obowiązki są jedynie dyrektywą do określonego działania, a nie wynikają z nich żadne konkretne uprawnienia i zobowiązania. Niemniej rozbudowanie działu Konstytucji dotyczącego praw i obowiązków uważam za zjawisko pozytywne. Po trzecie, chociaż rozumiem doskonale przyczyny, nie aprobuję wprowadzenia do Konstytucji obowiązku uchwalenia w określonym czasie konkretnych aktów prawnych, przy czym Konstytucja już przesądza szczegółowe rozwiązania (np. powołanie instytucji sędziego śledczego). Powtarzam: intencje pochwalam, ale formy prawnej nie. Oczywiście ciągle mówię o projekcie charakteryzującym się wielu nowymi rozwiązaniami (wzmocnieniem uprawnień Prezydenta, ale i Rządu oraz Senatu), które na ogół aprobuję zdając sobie sprawę, że w toku prac legislacyjnych z pewnością musiałyby dojść do wielu zmian merytorycznych i natury ściśle redakcyjnej.

Wpływ tradycji politycznej na ustrój państwa, a zatem i na jego konstytucję może być znaczny, ale doświadczenia polskie w tym względzie są krótkie i niejednorodne (PRL). Równocześnie obce wzory w niewielkim stopniu mogą być wykorzystane przy pisaniu konstytucji. Żaden ze wzorów: ani amerykański, ani francuski, ani niemiecki nie może być wprost

do Polski przeniesiony. Decydujący wpływ na kształt Konstytucji będzie miał zatem aktualny układ sił politycznych oraz dotychczasowy dorobek polityczny i prawny. Wydaje się, że aktualne uprawnienia Prezydenta są wystarczająco mocne, by ich istotnie nie zwiększać. Nieskuteczność obecnej formy prezydentury bierze się nie z braku kompetencji, ale z koncepcji politycznej osoby piastującej ten urząd. Spory kompetencyjne między urzędem Prezydenta a Parlamentem i Rządem opierają się w znakomitym stopniu na braku lub niejasności zapisów w Małej Konstytucji, która zresztą była często interpretowana w złej wierze. Odnośnie ministerstw prezydenckich muszę stwierdzić, że nie mogą istnieć jednocześnie dwa rządy: jeden podporządkowany Premierowi, drugi Prezydentowi. W tym względzie rola Premiera musi być bardziej jednoznaczna i wobec całej Rady Ministrów wzmocniona.

Centralistyczna formuła państwa sprzyja ekspansji biurokracji, a więc zwiększaniu wydatków na jej funkcjonowanie. Niezbędne jest zatem przesunięcie kompetencji i pieniędzy z centrali do samorządu terytorialnego (np. z obecnych 12% do ponad 30%), co da nie tylko lepsze wykorzystanie środków finansowych, ale i odbiurokratyzowanie Państwa. Daleko idąca wymiana urzędników towarzysząca zmianie ekipy rządzącej spowodowana jest z jednej strony stylem polityki uprawianej przez partie postpeerelowskie, z drugiej zaś chęcią budowania własnych struktur i wpływów w aparacie państwowym przez nowe, słabe organizacyjnie partie polityczne. Stąd niezbędna jest regulacja określająca tzw. stanowiska polityczne w administracji rządowej, np. do podsekretarza stanu włącznie. Pozostaje jedynie kwestia kiedy i według jakich kryteriów moglibyśmy uznać, że obecnie funkcjonujący aparat urzędowy niższego szczebla jest fachowy i bezstronny politycznie (dziedzictwo po PRL plus restauracja po 93 roku).

Kwestia cywilnej kontroli nad wojskiem jest poza dyskusją. Jest konieczna, a ponadto takie są wymogi NATO,

którego członkiem Polska chce i powinna zostać. Pozostawiając Prezydentowi koordynację problematyki bezpieczeństwa zewnętrznego, należy unikać niejasności co do podległości Szefa Sztabu. Winien on być podporządkowany wyłącznie Ministrowi Obrony Narodowej. Dyskusję na temat armii zawodowej utrudniają kwestie finansowania takiego projektu, aczkolwiek nie możemy również pominąć społecznych aspektów ewentualnej likwidacji armii z poboru.

Obie instytucje: NIK oraz Rada d/s RiTV są kadencyjne i w tym sensie niezależne od instytucji, które powołują szefa NIK-u i członków Rady. Podstawy prawne odwołania przez Prezydenta mianowanych przez niego członków Rady były przedmiotem sporu i zostały rozstrzygnięte – na niekorzyść Prezydenta – przez Trybunał Konstytucyjny. Trudno organizować wybory powszechne do wszystkich ważnych instytucji państwowych. Niezależność zapewnia przede wszystkim ustawa, a także kompetencje, dojrzałość i morale osób pełniących określone funkcje. Wypada przypomnieć, że Szefa NIK-u powołuje Sejm i trudno tego typu kompetencje odbierać najwyższej władzy ustawodawczej, chociaż przewiduje to projekt „Solidarności”. Członków Krajowej Rady powołuje Sejm, Senat i Prezydent, a więc instytucje, które są powoływane w trybie wyborów powszechnych.

Zabieganie przez Polskę o przystąpienie do UE jest zasadne, gdyż jedno państwo średniej wielkości nie oprze się presji ekonomicznej takich potęg jak USA, Japonia, a w niedługim czasie – Chiny czy Tygrysy Bliskiego Wschodu. Natomiast trudno tu mówić o pośpiechu, gdyż kraj musi się przystosować do nowych warunków, a ponadto konieczne jest wynegocjowanie okresu przystosowawczego i ochrony szczególnie zagrożonych działów gospodarki. Niewątpliwie pokój społeczny i stabilność polityczna są niezbędne nie tylko do przystąpienia do Unii, ale i uzyskania odpowiednich ulg i zabezpieczeń. Przeprowadzenie referendum dotyczącego przy-

stąpienia do Unii w chwili obecnej byłoby przedwczesne. Największym problemem jest rolnictwo, szczególnie rozdrobnione na południu Polski. Jedyne rozwój gospodarczy może „wessać” nadmiar wolnych rąk w rolnictwie oraz spowodować rozbudowanie na terenach wiejskich przemysłu rolno-spożywczego, produkcji ekologicznej, usług itp. Trzeba też zaczekać, aż dojdzie do pełnego zagospodarowania ziemi po PGR-ach.

Nie istnieje jedna konsekwentna polityka wschodnia po 1989 roku. (Różny stosunek do państw powstających w wyniku rozpadu ZSRR, dwuznaczne zachowanie się najwyższych władz w czasie puczu Janajewa, niezrozumiałe utrzymywanie na stanowisku ambasadora w Rosji Stanisława Cioska). Stosunki z Rosją są trudnym procesem wyzwiania się spod dominacji politycznej, wojskowej, gospodarczej, psychologicznej. Jeśli uznamy za kwestię niedyskusyjną, iż bezpieczeństwo polskie może być zagwarantowane wyłącznie przez uczestnictwo we Wspólnocie Europejskiej i NATO, musimy mieć świadomość, iż polityka blokowania przez Rosję tego typu rozwiązań będzie stosowana. Równocześnie żywotność nowych państw leżących między Rosją a Polską i ich zdolność do prowadzenia niezależnej od Rosji polityki wydaje się być, zwłaszcza po doświadczeniu białoruskim, mocno ograniczona. Niewątpliwie stopień otwarcia państw bałtyckich i Ukrainy na Polskę jest i będzie funkcją dominacji rosyjskiej w tych krajach. Jest żywotnym interesem Polski wspieranie dążenia tych krajów do całkowitej niezależności. Niemniej Polonia litewska, czy ukraińska nie może płacić ceny za dobre stosunki z Litwą czy Ukrainą: kluczową kwestią są stosunki gospodarcze – korzystne byłoby powołanie wyspecjalizowanego banku, który by wspierał polską ekspansję gospodarczą na Wschodzie. Nie bez znaczenia byłyby polskie inwestycje na tych terenach w mediach, które mogłyby współtworzyć dobry klimat w tamtejszej opinii społecznej wokół Polski i Polaków.

Stosunki ze Stolicą Apostolską ze zrozumiałych względów

są szczególnie. Długotrwałe niepowoływanie ambasadora Polski w Watykanie nie przyniosło nam pożytku. Ratyfikowanie konkordatu nie niesie za sobą żadnych negatywnych konsekwencji, natomiast może umożliwić wsparcie przez Watykan polskich aspiracji na arenie międzynarodowej. Delikatność stosunków Państwo-Kościół po złych doświadczeniach przed 1989 rokiem sprawia, że forsowanie projektów według których Państwo finansowałoby działalność Kościoła zdaje się być trudne do przyjęcia. To samo dotyczy specjalnego ministerstwa.

Nie jest możliwe, zwłaszcza po wyborach 1993, przeprowadzenie dekomunizacji na wzór czeski, według której zakazem pełnienia funkcji publicznych byłyby objęte osoby pełniące aktualnie funkcje Premiera, Wicemarszałka Sejmu, Przewodniczącego Komisji Konstytucyjnych, wielu ministrów. Należy natomiast przeciwdziałać wpływom byłych komunistycznych struktur, tak w aparacie państwowym, jak i w kluczowym dla funkcjonowania państwa systemie bankowym. Niebezpieczna w tym kontekście wydaje się być ustawa o komercjalizacji przedsiębiorstw, umożliwiająca odtworzenie i umocnienie wpływów dawnej nomenklatury. Lustracja jest niezbędnym sposobem zabezpieczającym państwo. Powinni nią być objęci wszyscy ubiegający się o ważne funkcje państwowe, zbadane być powinny wszystkie okoliczności, nie tylko przeszłość polityczna, które mogą mieć negatywny wpływ na wykonywanie obowiązków państwowych. Dane operacyjne zgromadzone na temat obywateli przez komunistyczne tajne służby powinny być zarchiwizowane poza MSW oraz udostępnione zainteresowanym osobom (patrz: Urząd Gaucka w Niemczech). Istotnym elementem dekomunizacji będzie również dalsze rozszerzenie samorządu terytorialnego poprzez ograniczenie omnipotencji centrum i jego aparatu biurokratycznego.

Tak pod względem prawnym jak i praktyki politycznej mniejszości cieszą się w Polsce pełnią swobód. Pewne regu-

lacje, na przykład regulacje dające mniejszościom narodowym w Polsce przywileje w wyborach do Sejmu były nawet krytykowane przez niektórych polityków jako ograniczające prawa Polaków w ich własnym państwie (brak tzw. dolnych progów). Takie postępowanie zgodne jest zarówno z prawami człowieka, jak i z polską racją stanu.

Procesy, które rolnictwo i społeczność wiejska w krajach zachodniej Europy przeszły w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, nie mogą być bez podjęcia wysokiego ryzyka społecznego, politycznego i finansowego przeprowadzone w Polsce w bardzo krótkim okresie. Zmieniająca się polska wieś, której struktura społeczna i agrarna jest różna w różnych regionach Polski, musi mieć czas i zrozumienie ze strony reszty społeczeństwa i Państwa na adaptację do nowych warunków ekonomicznych. Struktura wsi, na której mieszka ponad 30% Polaków, nie może być zmieniona w sposób rewolucyjny i natychmiastowy. Nie ma siły politycznej, która chciałaby i mogłaby taką rewolucję przeprowadzić.

Pewne zmiany w szkolnictwie wyższym zachodzą spontanicznie i już wpływają w radykalny sposób na profil tego szkolnictwa. Myślę tu o szybkim powstawaniu prywatnych szkół wyższych (bez prawa nadawania tytułu zawodowego magistra), najczęściej 3-letnich, a więc zbliżonych do amerykańskich *college'ów*, chociaż o wyraźnej specjalizacji. Kierunek ten powinien być popierany również na uczelniach państwowych. Przyznawanie stypendiów bezzwrotnych najlepszym studentom oraz zwrotnych, po studiach, tym którzy nie mogą opłacić czesnego i kosztów utrzymania, stworzyłoby podobne szanse młodzieży z rodzin ubogich i zamożnych.

System grantów, jako sposobów finansowania badań naukowych, raczej się sprawdza.

Zwiększenie finansowania nauki jako jeden ze sposobów przyspieszenia rozwoju kraju deklarowane jest właściwie powszechnie. Bardzo źle jest jednak z realizacją tego postulatu.

Prywatyzację powinna poprzedzić reprivatyzacja, chociażby ograniczona (np. górny limit zwrotu ziemi – 100 ha, a w wypadku przedsiębiorstw – przyznanie akcji odpowiadających ich poprzedniej wartości, w oparciu o prosty system wyceny, bez uwzględniania zadłużenia). To samo dotyczy gruntów warszawskich. Zasadą powinien być zwrot w naturze, a gdy to niemożliwe (np. majątek rozparcelowany) – w mieniu zastępczym, akcjach, bonach reprivatyzacyjnych. Obecne projekty (Pawlaka, Oleksego) były formą usankcjonowania tych wypadków, w których mienie zabrano niezgodnie z dekretem o reformie rolnej lub ustawą nacjonalizacyjną, gdy – tymczasem – w tych właśnie przypadkach zwrot lub odszkodowanie jest szczególnie uzasadnione. Prywatyzacja warunkuje powodzenie reform ekonomicznych, ale procesy, które zachodziły do 1989 roku, były nachalną formą uwłaszczenia się tzw. nomenklatury. W późniejszych latach nie przebiegało to już tak jednoznacznie, mimo różnych błędów, wywołanych również brakiem doświadczenia. To samo dotyczy kapitału zagranicznego, dzięki któremu uratowano wiele przedsiębiorstw, ale też sprzedano inne za bezcen. Natomiast prywatyzacja nie została wykorzystana dla poparcia reform przez ogół obywateli. Stąd żądanie uwłaszczenia majątkiem Skarbu Państwa. To, co z niego zostało, prawdopodobnie nie wystarczy na czeską „kuponówkę”. W takim przypadku należy akcje dochodowych przedsiębiorstw przekazać utworzonym funduszom ubezpieczeniowym jako ich pierwotny majątek.

Trzy wymienione grupy: emeryci, bezrobotni i rodziny wielodzietne są w różny sposób uwarunkowane społecznie. Jednym z podstawowych problemów starzejącego się społeczeństwa polskiego jest finansowanie rent i emerytur z budżetu Państwa. Nie istnieje bowiem roztrwoniony przez komunistów majątek ZUS. Aby utrzymać wypłaty na obecnym poziomie za 10 lat, składka ZUS musiałaby wynosić 62,6% płacy. Reforma ubezpieczeń społecznych jest niezbędna, aby uchronić finanse publiczne od krachu. Fundusze emerytalne muszą dysponować częścią majątku narodowego (akcje pry-

watyzowanych przedsiębiorstw), który pozwalałby na generowanie zysków. Potrzebne są również prywatne, dobrowolne fundusze emerytalne uzupełniające ubezpieczenia publiczne.

Spór toczy się o sposób przeciwdziałania bezrobociu między tymi, którzy chcą wzmacniać redystrybucyjną rolę Państwa i tymi, którzy uważają, że z jednej strony kompetencje trzeba delegować do gmin, z drugiej przekonują, że trzeba utworzyć taki system podatkowy, by wspierać tworzenie nowych miejsc pracy, inwestować w oświatę i kursy zawodowe, by umożliwić przekwalifikowanie się pracowników, wreszcie poprawić infrastrukturę komunikacyjną i mieszkaniową, by ludzie łatwiej mogli adaptować się do rynku pracy.

Rodziny wielodzietne należą do grupy o najniższych dochodach w Polsce, należałoby tak kształtować system podatkowy, by tę sytuację poprawić, nie zapominając o odpowiednim systemie zasiłków. Ważnym kontekstem dla tej kwestii jest rekordowo niski przyrost naturalny w Polsce w ostatnich latach (w 1993 roku najniższy od 1945 roku).

Łączę wyrazy szacunku,

Adam STRZEMBOSZ

16 września Adam Strzembosz wycofał swoją kandydaturę (Red.).

LECH WAŁĘSA

Ad. 1.

Nowa, niezbędna wolnej i demokratycznej Rzeczypospolitej Konstytucja musi wyrażać wizję Rzeczypospolitej XXI w. Musi być jej fundamentem. Nie wyobrażam sobie, byśmy mogli zbudować nową Polskę w oderwaniu od tych wartości i całego dziedzictwa, które kształtowały naszą narodową i państwową tożsamość. Nie można więc w wizji

przyszłości oderwać się od tradycji, kultury, związków z chrześcijaństwem, od idei solidarności społecznej – tak ważnej i politycznie skutecznej w ostatnim okresie życia narodu. Te związki muszą znaleźć wyraz w ustawie zasadniczej, organizującej państwowe życie narodu. W oderwaniu od dziejów Polski, w pustce wartości – państwa budować nie można. Uważam, że Konstytucja – i to jest jej istotnym zadaniem – musi tworzyć system gwarancji przyrodzonych praw człowieka od podstawowego prawa do życia, od poczęcia do naturalnej śmierci – do konstytucyjnego uznania praw rodziny i oczywiście wszystkich praw i wolności wynikających z godności człowieka; musi tworzyć ustrojowe podstawy prawnej organizacji państwa, wyrażającej się także w zagwarantowaniu praw samorządom, szczególnie samorządom terytorialnym. Oznacza to dążenie do stworzenia takiego ustroju, w którym urzeczywistniane będzie dobro wspólne wszystkich obywateli. Państwo nie powinno być państwem klas, partii czy Ojczyzną elit. Rzeczypospolita Polska ma być państwem wszystkich obywateli, ma wyrażać ich aspiracje, dążenia i interesy – ma być ich dobrem wspólnym i dorobkiem.

Projektami, które prezentują podobne myślenie o przyszłej Konstytucji, są projekt senacki i „Solidarności” i dlatego są mi bliższe niż inne. Moim zdaniem projekt opracowany w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego nie jest tym, czego potrzebuje Polska. Nie wyraża wartości konstytuujących naród polski i jego kulturę. Gdyby stał się Konstytucją – nie będzie w stanie zespolić obywateli z państwem. Wierzę w mądrość Polaków. Referendum konstytucyjne na pewno to pokaże.

Ad. 2.

Najbliższy jest mi model prezydentury francuskiej, a więc pośredni. Polska ciągle jest w okresie przejściowym. W czasie kształtowania się nowych struktur, nowej teorii i praktyki życia we wszystkich jego przejawach – politycznym, społecznym, gospodarczym itd. Nasza demokracja jeszcze ciągle raczkuje. Wprowadzamy jej instytucje, ale praktyka daleka jest od doskonałości. Wszyscy się dopiero uczymy. I władza, i społeczeństwo – ze wszystkimi tego dobrymi i złymi konsekwencjami. Nadal toczy się spór o model Polski, dyskusja

o tym, jaka ma być. Mechanizmy funkcjonowania państwa w warunkach demokracji i gospodarki rynkowej dopiero się krystalizują. Trudno mówić więc o pełnej stabilności. Sądzę, że korzystniejszy w takim czasie jest system prezydencko-gabinetowy. Urząd Prezydenta w naszych realiach okazuje się najbardziej stabilny, jest więc gwarantem ciągłości istotnych z punktu widzenia państwa procesów. Koalicje, rządy zmieniają się. Dlatego prezydent, z powszechnego wyboru, powinien mieć realny wpływ na zasadnicze kierunki polityki państwa, a nie być w tak trudnym okresie prezydentem od przecinania wstęg i wręczania orderów. Polski na obecnym etapie nie stać na prezydenta „malowanego”.

Wybrany w powszechnych wyborach prezydent, odpowiedzialny konstytucyjnie za bezpieczeństwo – zewnętrzne i wewnętrzne – państwa musi być konstytucyjnie wyposażony w instrumenty umożliwiające mu wykonywanie tych obowiązków, a więc musi też mieć realny wpływ na resorty, które wyznaczają kierunki tego obszaru działań. Oczywiście resorty prezydenckie są częścią gabinetu, któremu przewodzi premier. Dlatego jest niezwykle ważne, by polityka tych resortów była prowadzona jednotorowo, by zwłaszcza w polityce zewnętrznej mówić jednym głosem. Temu wszystkiemu powinny służyć jak najbardziej precyzyjne zapisy konstytucyjne i ustawowe. Nie może być tak, by luki interpretacyjne dawały możliwości sporów w tym obszarze kompetencji najwyższych władz. Nie buduje to nam autorytetu ani w kraju, ani za granicą.

Ad. 3.

Uważam, że wbrew pozorom, nie jest to aparat najbardziej rozrośnięty, nawet w porównaniu z zachodnimi demokracjami. Faktem jest jednak, że może sprawiać takie wrażenie ze względu na złą strukturę i organizację. Po pięćdziesięciu latach centralizmu i upartyjnięcia aparatu trudno przez kilka lat zmienić struktury, przystosować je do potrzeb państwa demokratycznego, z gospodarką rynkową. Czynione są próby, ale to jeszcze za mało. Zgadzam się też z oceną, że nadal często bywa to aparat upolityczniony, a więc niestabilny. W czasie kolejnych zawirowań w polityce wymienia się ludzi nawet na tych stanowiskach, które powinny być

apolityczne, gdzie liczą się przede wszystkim kompetencje. Daleko nam jeszcze do znanego modelu stanowisk politycznych i korpusu cywilnego fachowych urzędników, którzy dają gwarancję stabilności i ciągłości działań aparatu w kierowaniu procesami niezależnymi od bieżącej polityki.

Oczywiście, nie da się osiągnąć stanu idealnego, by tylko merytoryczne powody decydowały o zatrudnianiu w aparacie państwowym. To zrozumiałe, że każda nowa ekipa rządząca chce współpracować z ludźmi, do których ma zaufanie. Nie ma jednak powodów, by robić czystki na stanowiskach niższych i by ludzi kompetentnych zastępowali partyjni koledzy. Dziś, niestety, ciągle mamy do czynienia z podziałem łupów po dojściu do władzy.

Można się spierać, gdzie miałyby przebiegać linia podziału na stanowiska polityczne i cywilnych urzędników. Czy od dyrektorów ministerstw w dół? Może powinni być wyłączeni z politycznej gry wojewodowie? Można dyskutować. Poza dyskusją powinno jednak być to, że aparat państwowy nie może być traktowany jak zdobycz kolejnych ekip politycznych i że nie działa koniunkturalnie, w zależności, kto jest jego aktualnym politycznym dysponentem. Kompetencje merytoryczne urzędników państwowych muszą mieć znaczenie podstawowe, jeśli chcemy zbudować państwo silne, sprawnie zarządzane i stabilne, dobrze zorganizowane.

Wielu ludzi w Polsce zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę. Przygotowywana jest zresztą reforma centrum. Boję się jednak, że nawet ci, którzy mówią o takich potrzebach, w chwili dochodzenia do władzy wolą pozostawać przy starym systemie. Pokusa stanowisk i możliwości decydowania okazuje się silniejsza niż dobro nas wszystkich, państwa i obywateli.

Ad. 4.

Istota i sens cywilnej kontroli nad armią wynika z koncepcji państwa demokratycznego. Jest to podstawowa zasada obowiązująca we wszystkich krajach członkowskich Paktu Północnoatlantyckiego. Polska, dążąc do NATO, musi i chce akceptować zasady w nim obowiązujące. Niezbędne jest jednak dokładne zdefiniowanie zakresu tej kontroli i jej zasad. Obecnie problemy z tym związane budzą kontrowersje. Uważam, że właściwe i efektywne sprawowanie cywilnej

kontroli zależy przede wszystkim od stworzenia odpowiedniej podstawy prawnej, bowiem przy braku precyzyjnych zapisów, pod pretekstem cywilnej kontroli można ingerować w każdą, nawet najbardziej szczegółową i specjalistyczną dziedzinę funkcjonowania wojska. Armia nie może być politycznym podmiotem. Musi być ustanowiona granica wnikania w jej strukturę. Konkretnie rozwiązania dotyczące składu bojowego, struktury organizacyjnej, zasad działania i użycia technicznego sił zbrojnych – to zadania dla fachowców – wojskowych. Czy armia ma być z poboru, czy zawodowa, jak liczne siły zbrojne powinny być utrzymywane w czasie pokoju, i przede wszystkim, jakie będą konsekwencje takich rozwiązań – to problemy do rozstrzygnięć w debacie parlamentarnej.

Prezydent RP sprawuje zwierzchnictwo nad wojskiem. Niektórzy chcieliby nadać tej funkcji charakter wyłącznie honorowy. Co w związku z tym z konstytucyjną odpowiedzialnością prezydenta za bezpieczeństwo państwa? System dowodzenia wojskiem musi być przejrzysty i czytelny. Zapisy muszą wykluczać dowolną interpretację. Na każdym szczeblu powinien istnieć tylko jeden ośrodek decyzyjny. Konieczne jest jednoznaczne określenie kompetencji Ministerstwa Obrony Narodowej i Sztabu Generalnego WP. Rozdzielenie funkcji politycznego i administracyjnego kierowania resortem – od dowodzenia siłami zbrojnymi. Ministerstwo ma budować system obronny państwa i zapewnić jego sprawne funkcjonowanie, a nie wyręczać Sztab Generalny w dowodzeniu. Wojskiem powinni dowodzić wojskowi. Znają się na tym. Minister powinien spełniać wszelkie funkcje polityczne i administracyjne związane z warunkami działalności sił zbrojnych w okresie pokoju i ich kontrolą. Za dowodzenie wojskiem, jego wyszkolenie i przygotowanie do walki musi natomiast odpowiadać wojskowy – Szef Sztabu Generalnego podległy Zwierzchnikowi Sił Zbrojnych.

Armia nie może być przedmiotem żadnej manipulacji czy narzędziem partyjnych interesów. Wojsko musi pozostać apolityczne. Z cywilną kontrolą i mundurowym dowództwem. Te dwie konieczności muszą się uzupełniać, a nie stać wobec siebie w opozycji. Oczywiście jest także współpraca wszystkich ogniw decyzyjnych, w gestii których znajdują się sprawy armii. I od tego zależy nasze wspólne bezpieczeństwo.

Armia z poboru czy zawodowa? Nie sędzę, by obecnie byłoby możliwe przekonanie polskiego wojska na armię szczupłą i zawodową. Nie wykluczam jednak, że kiedyś, w przyszłości, w zintegrowanej Europie taki właśnie model okaże się optymalny dla wielu państw, w tym także dla Polski.

Ad. 5.

Ze względu na olbrzymią rolę obydwu tych instytucji w państwie demokratycznym – obydwie mają umocowanie konstytucyjne. Szczegóły powoływania i działania tych organów określają ustawy. Nowa ustawa o NIK istnieje od bardzo niedawna. Ustawa o KRRiTV rodziła się długo. Sędzę, że obowiązująca do niedawnej nowelizacji była tą, która dawała Radzie daleko posuniętą niezależność w jej działaniach. Pozostałbym przy takich zapisach, które pozwalały najważniejszym podmiotom władzy desygnować do Rady swych przedstawicieli ze wskazaniem przewodniczącego Rady przez głowę państwa. Wybrani w powszechnych wyborach reprezentanci społeczeństwa – prezydent, Sejm, Senat – powinni mieć wpływ na obsadę funkcji w tak istotnej ze społecznego punktu widzenia instytucji jak Rada, która decyduje o obliczu potężnego instrumentu kształtowania społecznej świadomości, jakim są media. Nie oznacza to jednak, że decyzje Rady mają być niesuwerenne. Nasze doświadczenia wskazują, że istniejąc w ramach obowiązującej Ustawy – KRRiTV podejmowała decyzje niekoniecznie zbieżne z oczekiwaniami polityków.

Jeśli chodzi o NIK, idealnym rozwiązaniem byłoby, aby na jej czele stał prezes nie związany z układem rządzącym i całkowicie apolityczny, kierujący się nadrzędnym interesem państwa, a nie swej partii czy popierającego go lobby.

NIK, instytucja kontrolna, powinna być bezstronna i nie związana powiązaniami ani formalnymi, ani nieformalnymi z władzą. Tryb powoływania, odwoływania i oceny przez Parlament prezesa NIK na określoną kadencję uważam za odpowiedni.

Ad.6.

III Rzeczypospolita w swej polityce zagranicznej nastawia się na przywrócenie Polsce miejsca we wspólnocie Zachodu

przez powiązania instytucjonalne. Dążymy do uczestnictwa we wszystkich międzynarodowych strukturach bezpieczeństwa, jak ONZ, OBWE, ale także w strukturach integracyjnych Europy: w Unii Europejskiej, NATO, Unii Zachodnioeuropejskiej, w Radzie Europy. Chcemy być bowiem w tych układach, które chronią bezpieczeństwo i stabilizację na kontynencie. Chcemy być w tym wielkim wspólnym rynku, który może skutecznie konkurować z gigantami gospodarczymi, ale który też potrafi zamykać się przed innymi. Ostatnie lata, trudny czas transformacji ustrojowej, wielkiej przebudowy, pokazał, jak bardzo potrzeba krajowi kontaktów z gospodarką światową. Sami, w izolacji, nie doprowadzimy naszych reform do końca. Potrzeba nam równopartnerskiej współpracy. Zachód powinien to zrozumieć. Zbyt wiele już w polskie reformy zainwestował, by nie zależało mu na ich dokończeniu. Stabilna i dostatnia Polska powinna być w interesie wszystkich. Nasze przystąpienie do Unii prócz korzyści współpracy w ramach instytucjonalnych na zasadzie partnerstwa z innymi krajami dałoby też większe szanse na przyływ do Polski kapitału zagranicznego, który jest nam niezbędny, by nasza gospodarka mogła się harmonijnie rozwijać. Zdaję sobie sprawę z wielkich kosztów, jakie musimy ponieść wstępując do Unii. Sędzę jednak, że warto je zapłacić w imię rozwoju gospodarczego i umacniania stabilizacji procesów demokratycznych w Polsce, a więc i w regionie. Dostosowywanie się Polski do założeń Unii już trwa. Analizujemy jej „białą księgę”, zapoznajemy się z tym, co mamy do wykonania. Z tego wyłonią się koszty i termin naszego pełnego uczestnictwa w strukturach Unii. Mamy świadomość, jak wielka praca legislacyjna, organizacyjna jeszcze przed nami.

Chcemy i musimy być dla Europy partnerem, a nie ubogim krewnym. W wielu dziedzinach już teraz spełniamy warunki stawiane kandydatom. Przez cały czas trwają negocjacje poszczególnych zapisów układu stowarzyszeniowego.

Ostatnie lata pokazały, że często dla gospodarek zachodnich byliśmy przede wszystkim tanim i łatwym rynkiem zbytu przy jednocześnie stosowanej wobec naszych produktów polityce protekcjonizmu. Wiele rynków nadal jest dla nas zamkniętych. I choć to myślenie powoli się zmienia, wiele w

tej mierze jeszcze przed nami. Polska musi stać się dla Europy prawdziwym partnerem. To korzyść dla wszystkich. Dla stabilizacji w skali regionu. Nie wszystkie kraje Unii startowały w niej z równym potencjałem i poziomem cywilizacyjnym. Możliwości, jakie stworzyło im wejście do tej struktury, przyniosły pożądane efekty, mimo ceny, jaką trzeba płacić za bycie w europejskiej rodzinie. Jestem pewien, że i Polska potrafi je wykorzystać. Ideę europejskiej integracji traktujemy poważnie i chcemy być podmiotem w jej urzeczywistnieniu.

Jesteśmy częścią europejskiej wspólnoty cywilizacyjnej i duchowej. Wpisując się w nią instytucjonalnie, możemy wiele ze swych wartości wnieść do wspólnego dziedzictwa, zachowując przy tym swą własną tożsamość.

Badania opinii publicznej pokazują, że ponad 70 proc. Polaków chce przystąpienia do Unii. Mimo to – wiedząc, jakie koszty z tym procesem będą związane – uważam, że nie wolno zaniedbywać społecznej edukacji w tym względzie. Potrzeba nam więc narodowej dyskusji na ten temat, a w jej podsumowaniu – być może – referendum.

Ad. 7.

Zaprotestuję wobec takiego określenia traktatów międzynarodowych. To one są właśnie tą prawną płaszczyzną, warunkami brzegowymi, w jakich mamy się poruszać, one wytyczają główny kierunek i określają stan intencji i możliwości we wzajemnych stosunkach państw. Nie wolno tego bagatelizować. Oczywiście, że te ramy trzeba wypełniać treścią, by nie stały się tylko martwą literą prawa, ale prawdziwym odzwierciedleniem wzajemnych oczekiwań i potrzeb. Wola polityczna powinna się zmieniać w wolę konkretną, wolę pragmatycznych działań. A chyba nikt dziś nie ma wątpliwości, że jak najlepszy rozwój stosunków z tymi państwami leży zarówno w naszym, jak i ich interesie. Po 1989 r. powstała szansa, by wolna i demokratyczna Polska ułożyła swe stosunki z nowymi państwami powstałymi po rozpadzie bloku sowieckiego na nowych prawach. By stosunki te nie opierały się na ideologicznym przymusie, ale na partnerstwie, poszanowaniu wzajemnej suwerenności decyzji i obopólnych korzyściach. Powoli, choć nie ukrywam,

że z trudem, przełamujemy urazy przeszłości. Traktaty, które podpisaliśmy z tymi państwami, potwierdzają dobrą wolę stron. Do wzajemnego bliższego poznania się przyczyniają się otwarte granice. Zza wschodniej granicy przyjeżdżają miliony ludzi. Życie okazuje się szybsze od polityków, co powinno z kolei ich obligować do energiczniejszych działań.

Po rozpadzie dwubiegunowego układu stanęliśmy w obliczu nowych wyzwań i możliwości. Aby im sprostać, polityka wschodnia powinna skupić się na trzech zadaniach. Po pierwsze: chcemy rozbudować dobre stosunki z krajami mającymi szczególne znaczenie z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa, naszych interesów politycznych i gospodarczych. Wśród priorytetów znajdują się przede wszystkim państwa sąsiedzkie, w tym Rosja, Ukraina, Białoruś i państwa bałtyckie. Rosja i Ukraina zajmują szczególne miejsce z uwagi na ich potencjał gospodarczy oraz znaczenie polityczno-wojskowe. Drugim zadaniem jest sprzyjanie stabilizacji politycznej i wojskowej w regionie. Ponieważ zagrożenia mają charakter regionalny, tj. nie dotyczą wyłącznie Polski, nasza polityka powinna być zsynchronizowana w dużym stopniu z polityką zachodnich, północnych i południowych sąsiadów. W miarę możliwości Polska powinna być inicjatorem i aktywnym uczestnikiem wspólnych działań, brać na siebie rolę regionalnego eksportera stabilności. Po trzecie: chcemy tworzyć nowe możliwości wykorzystania szans gospodarczych, jakie pojawiają się na Wschodzie. Ale też, oczywiście, stosunki z krajami, z którymi mamy wspólną historię, są cieplejsze.

Polska traktuje swych wschodnich sąsiadów, tak jak pozostałe kraje, jako państwa w pełni niezależne i suwerenne, oczekując wzajemności. Jesteśmy zainteresowani w ugruntowaniu ich narodowej tożsamości oraz demokratycznej i rynkowej transformacji. Nie oznacza to, że będziemy niechętni związkowi między tymi krajami, jeśli nie towarzyszą im tworzeniu dyktat, przemoc, naruszenie demokratycznych procedur i są zgodne z międzynarodowym porządkiem prawnym.

W stosunkach z Rosją chcemy ocieplenia klimatu. Nerozsądne byłoby opierać politykę wschodnią na wrogości wobec niej. Podobnie jak traktowanie Rosji jako państwa, z którego strony nic nam nie zagraża. Sytuacja w Rosji daleka

jest od stabilności, nie do końca też znane są jej intencje w polityce światowej. Różna wizja Polski i Rosji architektury bezpieczeństwa nie powinna jednak hamować współpracy gospodarczej i innej.

Zależy nam na intensyfikacji i poszerzaniu zakresu konsultacji dyplomatycznych w sprawach dwustronnych i międzynarodowych, w tym dotyczących bezpieczeństwa i rozbrojenia. Gotowi jesteśmy do kontaktów rządowych i parlamentarnych, ale także do stwarzania możliwości kontaktów pozarządowych. Chcemy rozwijać zakres wymiany informacji i doświadczeń, szczególnie w dziedzinie demokracji lokalnej i indywidualnego rolnictwa. Niezbędne stają się wspólne inicjatywy koordynujące walkę ze zorganizowaną przestępczością. Popieramy dążenia Rosji i innych państw byłego ZSRR do Rady Europy po przyjęciu przez nie normalnych warunków. Przystąpienie Rosji do „Partnerstwa dla pokoju” sprzyja dialogowi w sprawach wojskowych.

W polskim interesie jest wzmacnianie demokracji i przemian gospodarczych w Rosji. Odrodzenie tendencji imperialnych i polityki stref wpływów zagrażałoby nie tylko naszym aspiracjom do europejskich struktur bezpieczeństwa i gospodarczych, ale wręcz naszej niepodległości.

„Dolną” granicą polityki otwarcia i życzliwości w stosunkach z Rosją jest uszanowanie podstawowej i strategicznej opcji polskiej polityki zagranicznej, którą jest nasz udział w UE, NATO i UZE, do czego – jako państwo suwerenne – mamy prawo dążyć. Zadaniem wszystkich jest przekonanie Rosji, że nie leży to w sprzeczności z jej interesem. Przeciwnie – eksport stabilności i norm cywilizacyjnych na Wschód jest korzystny dla samej Rosji. „Szara strefa” w centrum kontynentu nie służy ani bezpieczeństwu, ani stabilizacji.

Podobnie jak z Rosją, stosunki z innymi sąsiadami na wschodzie to niezwykle delikatna materia. Wielkiego rozsądku, rozważliwej decyzji i działania stron wymaga przewyciężanie zaszczości historycznych. Zwłaszcza przy wyczuleniu na przejawy jakiegoś poczucia misji cywilizacyjnej ze strony Polski. Na najwyższym szczeblu wola polityczna jak najlepszych kontaktów jest deklarowana ze wszystkich stron, co potwierdziły zapisy traktatów. Wiele natomiast przed nami, jeśli chodzi o konkretne działania na niższych szczeblach.

W stosunkach z Ukrainą podejmujemy podobne jak w przypadku z Rosją działania na rzecz zintensyfikowania wszechstronnej współpracy. Zależy nam na stworzeniu polskich przedstawicielstw kulturalnych w Kijowie i Lwowie, by budować wokół nich życzliwe Polsce środowiska. Jednak sprawą podstawową, która ma dla nas wymiar strategiczny, jest oczywiście sprawa niepodległości Ukrainy. Trójstronne porozumienie Ukraina-Rosja-USA sprzyja wzmocnieniu tej niezależności.

Europa bezpieczna i otwarta nie jest możliwa bez wolnej i demokratycznej Ukrainy. W naszym interesie jest zabieganie o uzyskanie przez ten kraj należnego mu miejsca w polityce międzynarodowej, bardziej odpowiadającego potencjałowi tego państwa. Chcielibyśmy, by w Kijowie ulokowana została jedna z agend OBWE, by Ukraina została włączona do projektów realizowanych w ramach Inicjatywy Środkowoeuropejskiej. Oczekujemy też intensywnej współpracy wojskowo-politycznej z Ukrainą w ramach „Partnerstwa dla pokoju”. O szczególnym znaczeniu Ukrainy w naszej polityce wschodniej świadczy i to, że jest jedynym państwem, z którym współpracujemy także przez Komitety Konsultacyjne Prezydentów Polski i Ukrainy, które zainaugurowały swój byt podczas mej wizyty w tym kraju. We wrześniu planowane jest kolejne spotkanie konsultacyjne na tym szczeblu.

Nie bez znaczenia jest pomoc dla umacniania reform rynkowych i demokratycznych w tym kraju. Wielokrotnie uświadamiałem to politykom Zachodu i sądzę, że ta świadomość staje się dziś powszechna. Wolna, demokratyczna i dostatnia Ukraina jest niezbędna Europie i światu także jako przeciwwaga dla mocarstwowości Rosji. Niepodległość Ukrainy w dłuższym okresie sprzyja też rozwojowi demokracji i gospodarki w samej Rosji.

W naszych stosunkach z krajami bałtyckimi istotne miejsce zajmują działania podkreślające podmiotowość tych krajów na arenie międzynarodowej i promujące ich stopniowe włączanie do struktur europejskich. Dwustronna współpraca Polski z tymi krajami ciągle jest niedostateczna. I nie chodzi tu o brak dobrej woli. Wszystkie państwa ją zadeklarowały. Ogrom przemian ustrojowych w naszych krajach, zerwanie dotychczasowych powiązań gospodarczych i wewnętrznych

kłopoty wymagają czasu, by odnowić i zintensyfikować nasze związki polityczne, gospodarcze, kulturalne i inne. Niepokojem może napawać rozwój sytuacji na Białorusi, która zrobiła poważny krok wstecz i schodzi z drogi demokratycznych reform, co może również zahamować rozwój naszych stosunków.

Prócz kontaktów dwustronnych dobrym Forum dialogu politycznego w kontaktach z tymi państwami staje się Rada Państw Morza Bałtyckiego, gdzie podnoszone są najżywniejsze dla naszych krajów i regionu problemy.

Ad. 8.

Nie ma potrzeby udowadniać, jak wielką rolę odegrał Kościół katolicki w życiu narodu polskiego w ciągu wieków, w umacnianiu naszej tożsamości. Także w historii ostatniego półwiecza komunizmu i w ostatecznym obaleniu tego ustroju. Dziś, po latach spychania na margines, w wolnej Polsce odzyskuje należne sobie miejsce.

Uważam, że stosunki państwo-Kościół katolicki, a także stosunki z innymi kościołami i związkami wyznaniowymi, powinny być konstytucyjnie określone zasadą autonomii i niezależności, zasadą wzajemnego poszanowania i możliwości prowadzenia stałego współdziałania dla dobra człowieka i tworzonych przez niego wspólnot. Zasada rozdziału wywodzi się z innej epoki politycznej, gdy chciano Kościół zamknąć w kruchcie, jest zasadą dzielenia wewnętrznego tych samych ludzi tworzących i wspólnotę religijną, i państwową. Historycznie ta zasada była i mogłaby się stać zasadą walki z religią w jej wymiarze wspólnotowym i instytucjonalnym. Na szczęście po długich sporach prawda ta znalazła zrozumienie większości Komisji Konstytucyjnej i do jednolitego projektu Konstytucji wpisano zasadę autonomii i niezależności jako zasadę określającą stosunki między państwem a kościołami i związkami wyznaniowymi. Konstytucyjne uznanie zasady autonomii i niezależności przekreśla z góry zamysł powołania ministerstwa ds. stosunków z wyznaniem religijnymi. Taki organ władzy z natury rzeczy miałby tendencje do naruszania tej autonomii i niezależności. Nie jest niezbędny – w obowiązującym prawie – do rozwiązywania istniejących lub mogących się pojawiać problemów.

Konkordat. Jego jak najszybsza ratyfikacja jest żywotnym interesem Polski. Tworzenie politycznych i ideowych problemów wokół ratyfikacji jest działaniem destrukcyjnym. Stwarza przeszkody w zespalaniu się obywateli z państwem. Nie poprawia też naszego obrazu na arenie międzynarodowej. Można się przecież zastanawiać, czy i inne umowy między państwowe nie będą kwestionowane przez Sejm. Konstytucja respektująca prawa obywateli do wolności religijnej w wymiarze indywidualnym, wspólnotowym i instytucjonalnym, nie może być dziś ani w przyszłości przeszkodą do ratyfikacji Konkordatu zawartego w lipcu 1993 r. ze Stolicą Apostolską. Podniesienie w ankiecie kwestii podatku kościelnego nie jest obecnym problemem politycznym Polski. Nie sądzę, by kiedykolwiek było to możliwe, na co ma również wpływ nasza tradycja dobrowolności składek wiernych. Myślę, że sam Kościół nie jest zainteresowany wywoływaniem tego problemu, a władza państwowa, szanując autonomię i niezależność kościołów i związków wyznaniowych, nie powinna z taką inicjatywą występować.

Cała wrzawa o Konkordat jest polityczną grą postkomunistów. To, co często nazywa się wątpliwościami, powinno znaleźć rozwiązanie w polskim ustawodawstwie. Konkordat zawiera zasady ogólne, które pozostawiają wiele miejsca na wypełnienie ich ustawodawstwem państwowym. Sam Kościół nie wyklucza przy tym możliwości zmiany polskiego prawa kościelnego po ratyfikacji. Konkordat – trzeba podkreślić – jest potrzebny nie tylko Kościołowi, ale i państwu, bo dokładniej niż ustawa określa miejsce i prawa Kościoła, a pośrednio innych wyznań i religii w państwie, z którymi nie ma takiej umowy, bo nie są podmiotami prawa międzynarodowego.

Ad. 9.

Revolucja „Solidarności” wybrała drogę pokojowej ewolucji ze wszystkimi – dobrymi i złymi – tego konsekwencjami. Jedną z nich stała się tzw. gruba kreska, która była gestem dobrej woli zwycięzcy. Została wyciągnięta ręka do tych wszystkich, którzy nie popełnili w poprzednim ustroju przestępstw, a chcieliby się włączyć w budowę nowej Polski. Odrzuceni i sfrustrowani mogliby być groźni. Nigdy nie byłem zwolennikiem odpowiedzialności zbiorowej. Nie ozna-

cza to jednak, by ci wszyscy, którzy popełniali łotrostwa w komunizmie, pozostali bezkarni. Inną sprawą jest rozliczenie dawnej nomenklatury. Choćby moralne za ich polityczną przeszłość, za budowanie i firmowanie wrogiego Polakom ustroju. Nie wystarczy bąknięte słówko „przepraszam” przez lidera obecnych postkomunistów. Tym wszystkim Polakom, którzy przez lata walczyli z reżymem i byli poddawani represjom, należy się znacznie więcej. Zadośćuczynienie krzywd. Całemu zaś społeczeństwu – poczucie, że nie może być tak, iż ci, którzy decydowali i mieli się świetnie w komunizmie, dziś znów zmieniając kostium i korzystając z praw demokracji, którą zwalczali, stają na czele pochodu i czerpią z tego tytułu korzyści. Niestety, przejmując władzę, w poczuciu euforii zwycięstwa, nie doceniłiśmy przeciwnika. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że wahadło nastrojów tak szybko wychyli się w drugą stronę, a komuniści tak butnie podniosą głowy. Potrafili świetnie zabezpieczyć swoje interesy, zwłaszcza w sferze ekonomicznej. Błędem ekip solidarnościowych było nieprzygotowanie odpowiednich zmian legislacyjnych, które pozwoliłyby na choćby częściowe rozliczenie minionego okresu.

Od początku byłem za lustracją, ale lustracja w wydaniu min. Macierewicza była nie do przyjęcia i wyrządziła chyba największe szkody samej istocie lustracji. Wykorzystano ją w walce politycznej, narażając przy tym bezpieczeństwo państwa. W atmosferze absurdałnych pomówień i hysterii, w dodatku na podstawie materiałów niewiarygodnych, często spreparowanych, niepełnych. Lustracja nie może być narzędziem doraźnej walki politycznej. Powinna być przeprowadzona sumiennie, dokładnie i z rozwagą. Znamy dramaty ludzi niewinnie oskarżonych choćby z lustracji przeprowadzonej przez Niemców czy Czechów. Sprawy te powinny być uregulowane ustawowo w maksymalnie precyzyjnych zapisach, kto jej podlega i z jakimi konsekwencjami. Rozliczenie tamtego okresu jest niezbędne. Tymczasem obowiązujące w Polsce do dziś stare prawo nie daje wielu możliwości. Gorzej. Mimo że niektóre przestępstwa tamtego okresu dałoby się osądzić nawet w ramach istniejącego prawa – procesy, jeśli nawet do nich dochodzi – ślimaczą się w nieskończoność, a ich efekt jest niemal żaden.

Ludzie, którzy obalali tamten ustrój, mogą więc czuć się zawiedzeni. Rozgoryczeni. Kto właściwie zwyciężył?

Obecnie cała ta sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Lewica zdobyła władzę w demokratycznych wyborach. Trudno się spodziewać, by była zainteresowana rozliczeniami z własną przeszłością, co mieliśmy okazję w parlamencie już nieraz widzieć.

Ad. 10.

Na pewno odmienną od tej, jaką prowadzili komuniści, którzy najpierw chcieli mniejszości spacyfikować, a później zasymilować. Dopiero po 56 roku pozwolono na powstanie towarzystw społeczno-kulturalnych, pozostających pod ścisłą kontrolą państwa. Demokratyczna Polska wybrała zupełnie inną politykę. Mimo to że mniejszości nie były żadnym problemem politycznym. W Polsce mniejszości to około dwóch mln ludzi. Nowa Polska chcąc budować społeczeństwo obywatelskie nie może nie zauważać mniejszości, dla których chce być ojczyzną. Mówił o tym już w swym exposé premier Mazowiecki. III Rzeczypospolita, członek licznych światowych organizacji, sygnatariusz wielu porozumień, które wyznaczają ramy prawne dla międzynarodowego współdziałania w duchu pokoju i współpracy – przestrzega ich zapisów. Również dwustronne traktaty biorą za swą podstawę akceptowane międzynarodowe standardy. Choć oczywiście starają się uwzględnić lokalną specyfikę. Żaden traktat nie zadekretuje przyjaźni, nie zmieni z dnia na dzień mentalności. To tylko ramy, które trzeba wypełniać długą i żmudną pracą, podbudowaną dobrą wolą.

Generalnie, w stosunku do mniejszości kierujemy się dwiema istotnymi zasadami. Jedna z nich zakłada, że tożsamość narodowa musi iść w parze z lojalnością wobec państwa zamieszkania. Druga – że mniejszości są bogactwem narodowym i cywilizacyjnym kraju. Że pomnażają wspólny dorobek. Tymi zasadami kierujemy się wobec mniejszości.

Demokratyczna Polska zrobiła już wiele dla poprawy sytuacji mniejszości. Trwa polityka otwarcia i życzliwości. Nie ma dziś mowy o kontroli finansowej i administracyjnej stowarzyszeń. Szybko powstała ustawa o szkolnictwie z narodowym językiem. Nastąpił przełom w dostępie do mediów.

Spośród stowarzyszeń, które po zniesieniu dotacji państwa, dostały jednorazową subwencję – największe środki przypadły stowarzyszeniom narodowościowym.

Zmiana polityki państwa opłaciła się. Wywołała pozytywne zmiany w samych mniejszościach, w których zaczął dominować ton pragmatyczny. Pojawia się myślenie ogólnopństwowe. Dzięki zmianie ordynacji wyborczej np. mniejszość niemiecka ma dziś swe koło w Parlamencie. Trzeba powiedzieć i to, że w ostatnich latach założeniem naszej polityki wobec mniejszości było odrzucenie zasady wzajemności. Nie stosujemy retorsji, jeśli prawa polskiej mniejszości w jakimś kraju nie są równoległe z prawami tamtej mniejszości w Polsce. Nie prowadzimy polityki konfrontacji. Zdajemy też sobie sprawę z tego, że stosunki z państwami sąsiednimi wyznaczone są i przez nasze relacje z ich mniejszością u nas. Wyraźnie to jest widoczne choćby w przypadku Niemiec czy Litwy.

Mam świadomość, że nie wszystko jeszcze zostało zrobione. Że trzeba przełamywać wiele urazów i stereotypów myślenia o sobie z przeszłości. Że stan finansów państwa nie pozwala na zaspokojenie potrzeb i oczekiwań. Ważne jednak, że nastąpił zasadniczy przełom w podejściu państwa do problemu mniejszości. To dobry punkt wyjścia dla obu stron.

Ad. 11.

Polskie rolnictwo, polska wieś znajduje się obecnie w niezwykle trudnej sytuacji. Gospodarka rynkowa stawia mu poprzeczkę bardzo wysoko. Nasze wejście do Unii podniesie ją jeszcze wyżej. Tego ciężaru wieś sama nie udźwignie. Znamy spuściznę, jaką zostawili komuniści. Polska wieś jest przeludniona. Komuniści zniszczyli większe gospodarstwa chłopskie – „kułacze” – pozostawiając karłowate. Często mogły wytwarzać tyle, by utrzymać tylko rodzinę. Z drugiej strony tworzono dotowane przez państwo – ze względów ideologicznych – PGR-y.

Przemiany ustrojowe dotknęły wszystkich, a szczególnie wieś. Bardzo boleśnie odczuła liberalizm w gospodarce i brak interwencjonizmu państwa. Nie stać nas na wysokie dotowanie rolnictwa, jak dzieje się to w wielu krajach Zachodu. Gwałtowny wzrost kosztów produkcji stawia rolnictwo

poniżej granicy opłacalności. Nawet dobry produkt polskiego rolnika często musi przegrywać z konkurencją. Nie mówiąc już o barierach zaporowych dla polskiego rolnictwa, będących konsekwencją ochrony przez Zachód rodzimych rynków. Jeśli dodamy do tego politykę kredytową ostatnich lat, która doprowadziła do olbrzymich zadłużeń, jeśli dodamy starzenie się wsi, jej rozdrobnienie, anachroniczną strukturę – daje to obraz skali problemu. W porównaniu z wysoko rozwiniętymi krajami Zachodu w Polsce odsetek pracujących w rolnictwie jest bardzo wysoki. Tam kilka procent żywi pozostałych, u nas te proporcje są odmiennie. Po upadku poprzedniego systemu doszedł kolejny problem – tysiące hektarów po byłych nierentownych pegeerach, które bez dotacji państwa musiały upaść. To z kolei wywołało na wsi bezrobocie.

Tak więc jeśli chcemy myśleć o Unii, w której obowiązują twarde prawa wobec członków, reforma rolnictwa staje się niezbędna. Jest oczywiste, że dla wszystkich utrzymujących się dotychczas z ziemi, nie będzie w tym sektorze miejsca. Nie można jednak tych ludzi pozostawić bez pomocy, a wiadomo, że miasto ich nie wchłonie (bezrobocie, brak mieszkań). Niezbędne jest więc rozbudowywanie infrastruktury na wsi, tworzenie całej sieci drobnych przedsiębiorstw związanych z rolnictwem: usług, przetwórstwa, sieci banków, spółdzielczości, całego zaplecza, które pozwoliłoby na jak najmniej bolesne przekwalifikowanie zawodowe mieszkańców wsi. Na pewno reformując obecne rolnictwo konieczne będzie wsparcie państwa, ale widzę tu też dużą rolę samorządu, spółdzielczości itp.

Reformy wymagają wielu zmian legislacyjnych, tak by gospodarstwa, które pozostaną, były silne, dochodowe i produkowały konkurencyjne na rynkach światowych produkty. Niezbędne jest stworzenie bazy przetwórczej. Zbyt wiele produktów jest dziś marnotrawionych lub sprzedawanych jako surowiec właśnie z jej braku. Problemem jest dziś także popegeerowska ziemia przejęta przez skarb państwa. Brak uregulowań własnościowych w oczekiwaniu na ustawę reprivatyzacyjną jest także poważną przeszkodą w zagospodarowaniu znacznej części tych gruntów.

Reformy czekające rolnictwo są trudnym problemem i z punktu widzenia finansowego, i społecznego. Trzeba odwagi i wyobraźni politycznej rządzących, by się z nimi zmierzyć.

Mające oparcie w elektoracie wiejskim współrządzące PSL nie potrafi stawić czoła temu koniecznemu wyzwaniu, prowadząc krótkowzroczną politykę utrwalania stanu panującego. Ale doraźne kupowanie elektoratu w perspektywie obróci się przeciw niemu. Jeśli chcemy być partnerem dla innych w Unii, musimy przyjąć jej zasady. Oczywiście z uwzględnieniem naszej specyfiki. I dlatego nieustannie trwają negocjacje szczegółów. Wierzę, że polskie rolnictwo stać na sprostanie europejskiej konkurencji. Potrzebne mu jednak przedtem zmiany strukturalne, finansowe i mądra polityka państwa. Sama wieś sobie nie poradzi.

Ad. 12.

Rzeczywiście, nauka i edukacja, które uważam za jeden z najważniejszych filarów nowoczesnego państwa, znalazły się w opłakanym stanie. Nic nie wskazuje, by było lepiej mimo alarmów podnoszonych nie tylko przez zainteresowane środowiska. Środki finansowe z budżetu na tę dziedzinę są zdecydowanie za małe. Postępuje z roku na rok degradacja systemu edukacji i nauki. Nakłady osiągają tak niski poziom, że już wkrótce może nie będzie już sensu mówić o jakiegokolwiek racjonalnej polityce naukowej państwa, ani nie będzie można przeprowadzić niezbędnych reform nauki i edukacji. A jest to konieczne, jeśli chcemy kształcić ludzi dla obecnych wymagań i światowych standardów i jeśli chcemy myśleć o postępie cywilizacyjnym i kulturowym, który zbliży nas do światowego poziomu. Tymczasem już dziś alarmuje nas luka pokoleniowa wśród pracowników nauki, z której uciekają najlepsi. Zarobki naukowców i nauczycieli są bowiem na żenującym poziomie.

Nauce i oświacie niezbędna jest gruntowna reforma organizacyjno-programowa. Jedną jaskółką, jaką jest choćby wprowadzenie, m.in. dzięki funduszom z Unii Europejskiej, pierwszego elementu reformy szkolnictwa zawodowego, kształcącego dotychczas głównie bezrobotnych: połączenie liceum ogólnokształcącego ze szkołą z przedmiotami zawodowymi – wiosny nie czyni. Obecne programy i struktura funkcjonowania nauki i edukacji nie przystają do wyzwań, jakie stają przed nowoczesnym szkolnictwem. Za istotną uważam też decentralizację oświaty.

Ważnym elementem oświaty w Polsce staje się szkolnictwo społeczne. Mimo bardzo dobrych doświadczeń, obecna koalicja znów chce prowadzić politykę dyskryminacji wobec tej formy oświaty.

Generalnie: nikt nie podważa potrzeby gruntownej reformy programowej, strukturalnej, organizacyjnej. Nie uda się tego jednak dokonać bez zmiany podejścia państwa do potrzeb finansowych nauki i oświaty. A przecież bez świątłych i wykształconych ludzi nie mamy co marzyć o rozwoju. Grozi nam ubóstwo ducha i cywilizacyjny margines.

Ad. 13.

Prywatyzacja gospodarki od początku ustrojowych przemian stała się jednym z ich najważniejszych filarów. Co do tego nie ma wątpliwości. Dyskusja toczy się wokół jej tempa i zakresu, zwłaszcza jeśli chodzi o wielkie zakłady przemysłowe. Większość drobnych i średnich przedsiębiorstw jest już sprywatyzowana, a ich udział w produkcji już dawno przekroczył kilkadziesiąt procent. Truizmem jest, że prywatne przedsiębiorstwa pracują wydajniej, oszczędniej itp., itd. Po wielu bólach program Narodowych Funduszy Inwestycyjnych został wreszcie podpisany. Niestety obecna koalicja opóźnia prywatyzację i w dodatku powraca do starych praktyk. Moje weto wobec ustawy o komercjalizacji i prywatyzacji miało temu zapobiec. Znów usiłuje się centralizować decyzje. Ustawa przegłosowana przez obecną koalicję tworzy stu-procentową kontrolę upolitycznionej administracji nad przedsiębiorstwem. Niestety, weto prezydenta zostało odrzucone.

Trzeba podkreślić także ścisły związek prywatyzacji z zagranicznymi inwestycjami, które są naszej gospodarce niezbędne.

Nasze doświadczenia ostatnich lat pokazują, z jaką delikatną materią mamy do czynienia. Trzeba wiele rozważań i namysłu przy prywatyzowaniu, by społeczeństwo nie miało poczucia, że ten niezbędny przecież proces jest korzystny tylko dla wybranych. By prywatyzacja powiodła się w pełni, musi na niej korzystać jak najwięcej osób. Ludzie muszą się stać współwłaścicielami części wypracowanego przez siebie majątku narodowego choćby przez udziały czy akcje. Tylko wówczas prywatyzacja znajdzie akceptację większości, a na

tym musi nam zależeć. Nie można prowadzić reform wbrew społeczeństwu.

Jeśli chodzi o reprivatyzację, sprawa okazała się trudniejsza. Przez kilka lat mimo deklaracji konieczności przeprowadzenia reprivatyzacji, żadnemu z parlamentów nie udało się wypracować kompromisowej ustawy, która trafiłaby pod obrady Sejmu. Ustawy zgłaszane, m.in. przez Urząd Prezydenta RP, leżały w biurkach.

Od początku swej kadencji uważałem, że tej sprawy nie należy odwlekać. Poza zgłoszonym projektem przez mój urząd – angażowałem się też osobiście, by podkreślić wagę problemu. Mam świadomość, jak skomplikowana to materia, ale musimy sprawę doprowadzić do końca. Ludziom pozbawionym bezprawnie przez komunistyczne państwo ich własności należy się rekompensata w ramach finansowych możliwości państwa i bez uszczerbku dla tych, którzy weszli w posiadanie dawnej czyjejs własności w dobrej wierze. Nie przeczę, że będzie to trudna operacja. Powojenna zmiana granic, migracje ludności, nie uregulowane sprawy własności gruntów – to problemy w Polsce o znacznie większej skali niż choćby w Czechach.

Uważam, że wypracowany wspólnie z różnymi środowiskami byłych właścicieli projekt ustawy reprivatyzacyjnej, który wyszedł z Urzędu Prezydenta, dawał rozwiązania optymalne i dla dawnych właścicieli, i dla państwa, i dla obecnych posiadaczy przejętego niegdyś przez państwo majątku prywatnego. Projekt mojego Urzędu rozwiązywał również problem „zabużański”, który jest przykładem wyjątkowego lekceważenia obywateli przez państwo. Mówiąc ogólnie, przyjęte w projekcie rozwiązania polegają na ochronie budżetu, traktowaniu wszystkich wywłaszczonych równo zgodnie z konstytucyjną zasadą równości obywateli, stosowaniu ochrony osób trzecich, które zdobyły znacjonalizowane mienie, co pozwoli uniknąć konfliktów. Projekt przewiduje zwrot mienia w naturze, jeśli to jest możliwe lub przyznanie bonów reprivatyzacyjnych, za które można nabyć akcje i udziały prywatyzowanych przedsiębiorstw lub mienie wpisane do katalogu reprivatyzacyjnego, który prowadzić będą wojewodowie. Tego typu reprivatyzacja jest częścią formuły rzeczywistego i powszechnego uwłaszczenia obywateli. Proponowane rodza-

je świadczeń nie są pieniężne, a więc nie obciążają budżetu.

Niestety, lewicowy Sejm do dalszej pracy w komisjach przyjął skrajny projekt PPS i rządowy, które właściwie nie załatwiają niczego. Wierzę jednak, że ostateczny projekt będzie rozsądnym kompromisem.

Ad. 14.

To rzeczywiście bolesny i trudny problem. Cena ustrojowych, gospodarczych przemian okazuje się dla tych grup bardzo wysoka. System ubezpieczeń społecznych, jaki odziedziczyliśmy po komunizmie, okazał się niewydolny, a kasa pusta. Dziś emeryci, którzy przez lata pracy płacili składki, by zabezpieczyć sobie godziwą starość, doznają upokorzenia i biedy. Reforma systemu ubezpieczeń jest więc niezbędna, w przeciwnym razie stan zapaści będzie się pogłębiał. Półśrodki, jakie rząd usiłuje stosować, niczego zasadniczo nie zmieniają. Wszyscy zdają sobie sprawę, że reforma jest konieczna. Tak jak i z tego, że będzie musiała być bolesna. Nadal więc brak decyzji w sprawie, mimo że istnieje kilka projektów. Trzeba jednak tę operację przeprowadzić, bo już wkrótce może się okazać, że pacjent jej nie doczekał.

Państwo boryka się z kłopotami finansowymi. To prawda. Ale w tak trudnym okresie konieczna jest społeczna solidarność. Grupy najslabsze, które nie potrafią udźwignąć same ciężaru obecnych przemian, a ich głos jest ignorowany, bo nie mogą np. poprzeć go strajkiem, nie powinny pozostać bez pomocy. Pewne osłony socjalne są konieczne. To nasz, wszystkich, obowiązek. Nie oznacza to jednak w każdym przypadku tylko wsparcia finansowego. W przypadku bezrobotnych ważniejsza jest taka polityka, by dać im wędkę, a nie rybę. Same zasiłki nie są rozwiązaniem. Trzeba przede wszystkim tworzyć nowe miejsca pracy. To opłaci się wszystkim, także państwu w wymiarze finansowym i społecznym.

Wrzesień 1995

TADEUSZ ZIELIŃSKI

JAROSŁAW KURSKI: – *Który z projektów konstytucji jest Panu bliższy? Czy ten powstający właśnie w Komisji Zgromadzenia Narodowego, czy projekt solidarnościowy – obywatelski?*

TADEUSZ ZIELIŃSKI: – Oba projekty mają swoje dobre strony. W projekcie solidarnościowym odnajduję wartości, które są mi bliskie – to znaczy zasady sprawiedliwości, które jako prezydent chciałbym realizować. Projekt obywatelski powstał w oparciu o projekt senacki. Byłem senatorem pierwszej kadencji, mam więc też swój udział w jego tworzeniu. Dziś opowiadam się za projektem opracowywanym w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Ujmuje on rolę prezydenta nie tylko jako reprezentanta państwa, ale i arbitra – rozjemcy między władzą ustawodawczą i wykonawczą. Projekt – co dla mnie bardzo ważne – utrzymuje w mocy zapis, że Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej.

J.K.: – *W jakim trybie należy uchwalić konstytucję? Czy powinno się odbyć referendum konstytucyjne?*

T.Z.: – Mam wątpliwości natury formalnej, czy projekt „Solidarności”, który nie jest dokumentem sejmowym, może być brany pod uwagę w referendum, ale z pewnością powinien być przedmiotem debaty publicznej.

J.K.: – *Projekt solidarnościowy w preambule odwołuje się do imienia Boga.*

T.Z.: – Jestem przeciwny takiej preambule. Inwokacja do Boga jest nie do przyjęcia, bowiem w taki sposób nadaje się i konstytucji, i państwu nieświecki charakter.

J.K.: – *To Pan kiedyś powiedział, że Polska stanęła u wrót państwa wyznaniowego. Podtrzymuje Pan swą opinię?*

T.Z.: – To była przesadna diagnoza. Sam się sobie trochę

dziwię, że jako prawnik użyłem tej metafory, bo ona nie była ścisła. Dziś już tego nie powtarzam, aczkolwiek nadal dostrzegam rosnące wpływy Kościoła katolickiego.

J.K.: – *Jakie są tego przejawy?*

T.Z.: – Choćby w tej celebrze, która się łączy z uroczystościami państwowymi. Mnie to nie przeszkadza, bo jestem katolikiem i mogę śmiało uklęknąć w czasie mszy towarzyszącej państwowej uroczystości, ale agnostycy czy ateści nie mogą być tym zachwyceni.

J.K.: – *Dlaczego? Czy to narusza ich prawa obywatelskie?*

T.Z.: – Tak, jeśli z racji sprawowanego urzędu są obowiązani do uczestniczenia w mszy będącej integralną częścią uroczystości państwowej.

J.K.: – *A inne przejawy?*

T.Z.: – Brak autentycznej alternatywy dla religii w szkołach. Uczeń powinien mieć wybór: etyka albo religia. W ogromnej większości szkół jest tylko religia. Brak wyboru narusza swobodę sumienia i wyznania.

J.K.: – *Czy Pana zdaniem Kościół nie może wypowiadać się w sprawach natury politycznej?*

T.Z.: – Może, ale tylko w aspekcie moralnym. Podobnie jak Rzecznik Praw Obywatelskich może wypowiadać się na tematy polityczne w aspekcie prawnym.

J.K.: – *Jaka powinna być według Pana rola prezydenta? Jakie winien mieć kompetencje?*

T.Z.: – Z pewnością nie powinien bezpośrednio kierować pracami rządu jak w Stanach Zjednoczonych. Prezydent powinien cieszyć się ogromnym autorytetem i pod tym względem prezydentura Richarda von Weizsäckera jest wzorem godnym naśladowania. Ale prezydent musi mieć też prawne kompetencje takie, jakie przewiduje zresztą mała konstytucja: weto ustawodawcze, inicjatywa ustawodawcza oraz, co chyba

najważniejsze, czuwanie nad zgodnością ustaw z konstytucją, a więc możliwość ich zaskarżania do Trybunału Konstytucyjnego.

J.K.: – *A co Pan myśli o praktyce Lecha Wałęsy, który stworzył instytucję tzw. resortów prezydenckich?*

T.Z.: – Oczywiście, że to podejście Lecha Wałęsy mi się nie podoba. Na szczęście obecny prezydent nie jest człowiekiem, który gotów byłby dokonać zamachu stanu. W to absolutnie nie wierzę. Jest człowiekiem czynu, chce mieć rzeczywistą władzę i mówi to otwarcie. Ale ten model prezydentury mi nie odpowiada. Resorty prezydenckie to droga do tego, by wynieść się ponad władzę ustawodawczą i wykonawczą. Żadne ministerstwa bezpośrednio odpowiedzialne przed prezydentem nie są potrzebne. Zwierzchnia kontrola nad polityką zagraniczną i obronnością powinna się odbywać tylko za pośrednictwem właściwych ministerstw. Zgodnie z małą konstytucją prezydent powinien sprawować tylko „ogólne kierownictwo w dziedzinie stosunków zagranicznych”.

J.K.: – *Gdyby został Pan prezydentem, to nie będzie Pan egzekwował tych uprawnień, utrwalonych siłą zwyczaju przez Lecha Wałęsę?*

T.Z.: – Nie, z pewnością nie. To było działanie na granicy prawa i wynikało z temperamentu Lecha Wałęsy. Ja, rolę prezydenta widzę jako bezstronnego arbitra, który nie reprezentuje żadnej opcji politycznej, a więc w kontaktach z koalicją przedstawia racje opozycji i odwrotnie. Nie może być tak, że popiera tylko koalicję albo tylko opozycję.

J.K.: – *Czy Minister Obrony Narodowej powinien być cywilem? Czy armia powinna znajdować się pod cywilną kontrolą?*

T.Z.: – Jeśli mamy wejść do NATO to absolutnie tak. Szef Sztabu Generalnego powinien podlegać ministrowi obrony. Każda niesubordynacja oficerów wobec ministra obrony, jak np. obiad w Drawsku, musi być surowo karana.

J.K.: – *Czy armia powinna być zawodowa, czy nadal z poboru?*

T.Z.: – Chwilowo – poza kadrą oczywiście – z poboru. W miarę naszego porozumienia z Rosją, możemy tworzyć małą, dobrze wyposażoną armię zawodową.

J.K.: – *A co ma do tego Rosja!?*

T.Z.: – Nie chodzi mi o to, że mamy pytać Rosję, czy ona się zgadza, byśmy mieli armię zawodową. Mam na myśli nasze ułożenie stosunków z Rosją, które są dziś niejasne. Panuje wzajemna nieufność, rozdmuchuje się pewne sprawy. Przypominam sobie sprawę pobicia Rosjan na Dworcu Wschodnim w Warszawie. Nasza strona była niepotrzebnie zaciętrzewiona, drażniąca. Ja osobiście podzielałem punkt widzenia ministra Milczanowskiego.

J.K.: – *A Rosjanie nie byli zaciętrzewieni?*

T.Z.: – Obie strony były zaciętrzewione, ale my nie zachowaliśmy umiaru wobec gości.

J.K.: – *Jak Pana zdaniem zareagowałaby Rosja, gdyby jakiś polski leśniczy bestialsko zamordował jej trzech obywateli?*

T.Z.: – Ja sobie wyobrażam, co by się działo. Ale nie licytujmy się, kto jest gorszy. Ale tu się zgadzam. W sprawie mordu w Kaliningradzie nasza strona zachowała umiar.

J.K.: – *Do spraw rosyjskich za chwilę wrócimy. Czy Pan się zgadza, że polski aparat państwowy jest rozrzutny i zbyt rozrośnięty?*

T.Z.: – Całkowicie. Choćby Kancelaria Prezydenta.

J.K.: – *A jak uniezależnić administrację od częstych zmian politycznych?*

T.Z.: – Należałoby ograniczyć aparat polityczny do szczebla ministrów i wiceministrów. Niżej powinna być zawodowa kadra urzędników. Apolityczna i fachowa, niezależna od

zmian na szczytach władzy. Niestety poszczególne koalicje rządowe, włącznie z obecną, zostawiły w administracji klany związane z partiami i od nich uzależnione.

J.K.: – *A czy takie organy jak Najwyższa Izba Kontroli czy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji są niezależne od czynników politycznych?*

T.Z.: – Oczywiście NIK powinien być całkowicie niezależny od rządu i podlegać tylko i wyłącznie Sejmowi. Podobnie KRRiTV. Powiada się, że te instytucje bywają zależne od partii prawicowych, ale ten pogląd jest nie do zweryfikowania.

J.K.: – *Czy prezesura Lecha Kaczyńskiego dawała Pana zdaniem podstawy do takich ocen?*

T.Z.: – Znam dobrze i cenię Lecha Kaczyńskiego. Byłem recenzentem jego pracy habilitacyjnej. Mimo iż związany jest z Porozumieniem Centrum, uważam, że urząd Prezesa NIK pełnił niezależnie.

J.K.: – *A Marek Jurek daje rękojmię niezależności?*

T.Z.: – Nie zauważyłem, by zachowywał się w sposób nieodpowiedni.

J.K.: – *Polska zabiega o jak najszybsze przyjęcie do Unii Europejskiej. Czy powinniśmy się z tym spieszyć?*

T.Z.: – Ciągłe brak konkretnych terminów, w jakich nastąpić by miała nasza integracja z Unią. Wypowiedź Kanclerza Helmuta Kohla o możliwości wejścia Polski do UE jeszcze w tym wieku, stanowi chlubny wyjątek. Jednak nie tempo integracji jest moim zdaniem najistotniejsze, lecz warunki, na jakich to nastąpi. Do dziś nikt też nie zbilansował kosztów przystąpienia Polski do Unii. Niedawno czytałem artykuł o rozczarowaniu Austriaków z powodu wstąpienia do Unii i związanych z tym wyrzeczeniach.

J.K.: – *A Polacy z jakimi wyrzeczeniami muszą się liczyć?*

T.Z.: – W zakresie świadczeń socjalnych konieczne będą da-

leko idące ograniczenia, bowiem będziemy musieli dostosować poziom inflacji do wymogów Unii. Z tego obywatele niekoniecznie muszą zdawać sobie sprawę, dlatego potrzebne byłoby referendum w sprawie wstąpienia do Unii.

J.K.: – *Politycy prawicy twierdzą, że Polska zawsze była w Europie, więc nie ma powodu, żeby się tam wpraszać.*

T.Z.: – Coś na rzeczy tu jest. Do Unii musimy wejść godnie jako partner, a nie jak petent. Widziałbym Polskę jako kraj przyjęty z otwartymi ramionami, jako kraj, który Unii coś daje.

J.K.: – *A co my możemy dać Unii?*

T.Z.: – Nasz rynek może być atrakcyjny. Nasze położenie geograficzne na linii wschód-zachód i północ-południe musimy eksponować jako atut. Ale jednocześnie mamy zacofane i niekonkurencyjne rolnictwo.

J.K.: – *Ale mimo to Unia broni się przed naszym rolniczym eksportem.*

T.Z.: – Ja się przyznam, że polskie jedzenie lepiej mi smakuje niż to zachodnie.

J.K.: – *Powróćmy do naszych stosunków z Rosją. Co zrobić by przełamać sprzeciw Rosji wobec naszego wejścia do NATO?*

T.Z.: – Stosunki z Rosją powinny być jak najlepsze, ale nie za cenę ograniczania naszej suwerenności. Polska racja stanu przemawia za naszym przystąpieniem do Sojuszu i tu nie możemy oglądać się na Rosję. Destrukcyjną rolę w naszych stosunkach odgrywają wciąż wzajemne stereotypy pogłębiane przez nurty nacjonalistyczne w obu krajach. Są jednak z naszej strony pewne – być może drugorzędne działania, które mogą drażnić Rosję. Mam na myśli trochę rozdęte krzątanie się wokół Katynia. Jakoś bardzo dużo tego, a Rosja jest usiana grobami. W Rosji było wielkie ludobójstwo. Ekspozowanie przez nas Katynia nie może być tam dobrze widziane. Czy to jest tak potrzebne?

J.K.: – *Przez 50 lat nad tą sprawą unosiło się odium kłamstwa. To chyba zrozumiale.*

T.Z.: – Tak, ale powtórzę słowa, które padły po zabójstwie Narutowicza: Ciszej nad tymi trumnami. Nie dlatego, żeby nie drażnić „rosyjskiego niedźwiedzia”, lecz by zachować umiar.

J.K.: – *Nie budzi Pana obaw wzrost imperialnych nastrojów w Rosji: wojna w Czeczenii, rosyjscy celnicy na granicy polsko-białoruskiej?*

T.Z.: – To niepokoi. I z tego punktu widzenia nasze wejście do NATO ma uzasadnienie. Nasze stosunki z Białorusią i Ukrainą powinny być priorytetem polskiej polityki zagranicznej. Powinniśmy energicznie wspierać europejskie aspiracje tych krajów, podobnie jak krajów bałtyckich – zwłaszcza Litwy. Na Litwie byłem w styczniu. Przyjął mnie prezydent Brazauskas (prezydent Wałęsa nie przyjął mnie nigdy, mimo że o to zabiegałem). Spotkałem się z marszałkiem Sejmu – Juršenasem oraz z Polakami na Litwie. Zorientowałem się, że stosunki między Polakami a Litwinami mogą się dobrze ułożyć.

J.K.: – *Jakie Pan widzi błędy w naszej polityce wschodniej?*

T.Z.: – Po 1989 roku nastąpił demonstracyjny zwrot naszej polityki na Zachód, zwłaszcza na Stany Zjednoczone. A czy to się podoba, czy nie, w polityce zagranicznej powinna obowiązywać zasada, że przyjaciół szuka się blisko. Wybieram się na Białoruś, tam nie ma Rzecznika Praw Obywatelskich, więc może od tej strony udałoby się im coś zaproponować. Podobnie myślę o Ukrainie. Niestety wszelkie rewizjonistyczne głosy są niesłychanie szkodliwe. Ja rozumiem ból niektórych Polaków po utracie Wilna i Lwowa. Pamiętam, że w Senacie podejmowano uchwałę, że już nigdy te miasta do Polski nie wrócą. Ja byłem tym senatorem, który powiedział: „nie piszmy nigdy”, bo to będzie przykre dla naszych rodaków ze wschodu, a w polityce różnie się to układa.

J.K.: – *Co Pan ma na myśli?*

T.Z.: – Że w przyszłości narody, pod wspólnym niebem będą umiały żyć zgodnie w Europie bez granic.

J.K.: – *Czy Konkordat należy ratyfikować w obecnym brzmieniu, jeszcze przed uchwaleniem konstytucji?*

T.Z.: – Absolutnie konstytucja powinna być pierwsza. Konkordat nie może przesądzać o przyszłych zapisach konstytucji.

J.K.: – *Jakich to?*

T.Z.: – Chodzi o świeckość państwa. Opowiadam się za rozdziałem Kościoła od państwa. Jest to formuła merytorycznie trafna, bo chodzi o rozdzielenie funkcji państwowych od kościelnych oraz ustrojów państwa i Kościoła. Natomiast Kościół i państwo mogą działać razem na rzecz dobra wspólnego na zasadach poszanowania swej autonomii. W tej części jestem za konkordatową formułą. Nie ukrywam swego zgorznienia tym, że do tej pory nie uchwalono nowej konstytucji. Już w pierwszym tzw. kontraktowym parlamencie mówiliśmy o sobie, że jesteśmy konstytuanta. Od tego czasu minęło sześć lat.

J.K.: – *Czy w Polsce potrzebna jest dekomunizacja życia publicznego?*

T.Z.: – Nie mam żadnych wątpliwości, że musimy usunąć wszystkie relikty państwa komunistycznego: w prawodawstwie, gospodarce itd.

J.K.: – *A w aspekcie personalnym?*

T.Z.: – Tu mam wątpliwości. Teczki w Polsce przez sześć lat przeszły przez wiele rąk, część z nich zniszczono, np. dokumenty dotyczące działaczy katolickich. Boję się, że pełna lustracja przyniosłaby więcej szkód niż zysków. Natomiast wielokrotnie twierdziłem jako Rzecznik, i mógłbym powtórzyć to jako prezydent: jeśli parlament zdecyduje się na lustrację i zagwarantuje ludziom podejrzany pełne prawo do sądowej obrony, to jako prezydent takiej ustawy bym nie zawetował. Uważam, że trzeba patrzeć w przyszłość, ale nie tak

jak chce Aleksander Kwaśniewski: zaciągamy zasłonę na to, co było i idziemy do przodu. Jestem przeciw jakimś szaleńczym rozliczeniom z byłymi funkcjonariuszami aparatu partyjnego. Ja nigdy do partii nie należałem. Były takie szalone pomysły, żeby wszystkich ludzi poczynając od I-szych sekretarzy, gdzieś tam w niskich komórkach partyjnych pozbawić możliwości awansowania. Tym ludziom po prostu trzeba dać szansę.

J.K.: – *Dziś ci ludzie mają aż nazbyt dużo szans.*

T.Z.: – To prawda, to prawda.

J.K.: – *Jaką politykę Polska winna prowadzić wobec mniejszości narodowych?*

T.Z.: – Przede wszystkim zapewnić im równość wobec prawa. Miałem spotkanie z mniejszością niemiecką w Opolu, z senatorem Bartodziejem i posłem Henrykiem Krollem. Skarżyli się, że jako Niemcy są w Polsce dyskryminowani, ponieważ nie mają dostępu do wyższych stanowisk państwowych. Twierdzili, że w Urzędzie Wojewódzkim nie mają swoich przedstawicieli. Sprawa jest w trakcie rozpoznania.

J.K.: – *Co Pana zdaniem należy zrobić, by zapewnić minimum życiowe najuboższym warstwom społecznym?*

T.Z.: – Najpilniejsza jest zmiana systemu ubezpieczeń społecznych, który powinien opierać się na trzech filarach. Powszechne ubezpieczenie obowiązkowe w zamian za składki. Drugi filar, to ubezpieczenia dodatkowe dobrowolne, a trzeci to system oszczędzania. Gdybym został prezydentem to propagowałbym powszechny program oszczędzania – PPO. My w ogóle nie oszczędzamy. Jesteśmy marnotrawni.

J.K.: – *A z czego ludzie mają odkładać?*

T.Z.: – Raz że nie mają z czego, a dwa zostali okradzeni z wkładów na książeczkach mieszkaniowych. Potrzeba więc gwarancji państwa i zduśnienia inflacji.

J.K.: – *Jak więc wyobraża Pan sobie pomoc najuboższym?*

T.Z.: – Państwo winno pobudzać tworzenie nowych miejsc pracy. Potrzebny jest długofalowy program walki z bezrobociem. Do końca wieku siła robocza Polski wzrośnie o dwa miliony osób. Podatki powinny być uzależnione od liczby dzieci w rodzinie, a najniższy próg podatkowy powinien być na poziomie 17-18 proc. przychodów. Chciałbym, by państwo zapewniało: pracę, prawo i sprawiedliwość; pps – to moje hasło wyborcze.

J.K.: – *Dziękuję Panu za udział w ankiecie.*

Sierpień 1995

1. Podsumowanie tej Ankiety nie jest zadaniem łatwym.

Po pierwsze, odpowiedzi zostały nam przekazane w dwójakiej formie. Część w postaci wywiadów, mniej lub bardziej luźno kierujących się kolejnością i zawartością pytań kwestionariusza czyli intencjami autorów. Druga część nadeszła w postaci odpowiedzi zredagowanych na piśmie przez osoby zaproszone. Nie jest to tylko sprawa formalna: odpowiedzi zredagowane przez samych kandydatów mają bardziej uporządkowany charakter, w bardziej skrupulatny sposób trzymają się porządku i treści kwestionariusza. Wywiady są bardziej spontaniczne, pozwalają respondentom wyjść, nieraz daleko, poza ramy kwestionariusza. Obie te formuły mają swoje zalety, trudne są jednak do porównawczego zestawienia.

Po drugie, jakość i forma odpowiedzi różnią się znacznie, w zależności od doświadczenia, osobowości, specjalności, środowiska, no i zawodu odpowiadającego. Sędzia Sądu Najwyższego, Adam Strzembosz, czy Ewa Łętowska, były Rzecznik Praw Obywatelskich, kładą, każdy w formie odpowiadającej ich temperamentowi, nacisk na elementy natury prawnej; prezes Narodowego Banku Polskiego, Hanna

Gronkiewicz-Waltz, polityk świeżej daty, jest bardziej przekonująca w sprawach finansowych niż politycznych; Jacek Kuroń i Aleksander Kwaśniewski to „czyści”, zawodowi politycy, dbający zarówno o konkrety ich odpowiedzi co i, w większym niż inni stopniu, ich specyfikę, ich „ideologiczną” oprawę, osobisty wizerunek. Zachodzą też poważne różnice nie tylko w poglądach czy propagandzie, ale także w odniesieniu do faktów. Wystarczy porównać poglądy Onyszkiewicza i Olszewskiego na tak kapitalną dla Polski sprawę jak stosunki z Rosją.

Wreszcie, prawdziwe podsumowanie niosłoby ryzyko generalnej polemiki z wieloma tezami zawartymi w poszczególnych odpowiedziach, co, nie tylko ze względu na deontologię wywiadu i specyfikę Ankiety, ale choćby z uwagi na czas i miejsce, nie jest po prostu technicznie możliwe.

2. Naturalnie, należy podjąć próbę wysnucia kilku zasadniczych wniosków z Ankiety.

I tak, z jednej strony, Ankieta chociaż naturalnie nie mogła objąć całej przedwyborczej problematyki, przyniosła obfity plon. Wysiół redakcji i respondentów, naszym zdaniem, opłacił się. Ten numer *Kultury* ukazuje się w połowie października, czyli na niecałe trzy tygodnie przed pierwszą turą wyborów. Trudno nam przesądzić w jakiej mierze i w jaki sposób (z uwagi na zasięg *Kultury*), uda się nam dotrzeć do szerszego grona wyborców. Ale, wydaje się nam, że kapitał zawarty w odpowiedziach na Ankietę wart jest upowszechnienia i przemyślenia.

Z drugiej strony, Ankieta odzwierciedla normalne – w warunkach rozmaitej „jakości” kandydatów, ich pluralizmu intelektualnego i ideologicznego – rozbieżności w poglądach na sprawy nieraz nawet kluczowe dla przyszłości państwa polskiego i jego obywateli.

Nie ma np. zgody co do tekstu konstytucji. Jest rzeczą normalną, że pogląd Lecha Wałęsy na, powiedzmy, kwestie modelu urzędu prezydenta, różni się od poglądu Aleksandra Kwaśniewskiego. Podobnie jak mają oni całkowicie rozbieżne zamiary w kwestii kontroli prezydenta czy premiera nad kilku węzłowymi resortami.

Nie ma także jednolitego stanowiska – byłoby dziwne

gdyby takie było – na sprawę lustracji czy miejsca Kościoła w państwie, a w tym na ratyfikację konkordatu. Nie jest również niespodzianką, że pani Gronkiewicz-Waltz ma inny stosunek wobec Kościoła niż Jacek Kuroń czy inni respondenci, raczej krytycznie oceniający postępowanie i politykę Kościoła w obecnej sytuacji Polski. Warto dodać, że krytycyzm ten – naturalnie o różnym nasileniu – jest właściwie obecny we wszystkich odpowiedziach, z wyjątkiem pani Gronkiewicz-Waltz i Lecha Wałęsy, przy czym i te osoby zajmą, być może, bardziej sceptyczną postawę, kiedy Kościół będzie w końcu zmuszony do wskazania na jedną z nich jako na „swego” kandydata.

Trudno, wreszcie, powstrzymać się od stwierdzenia, że odpowiedzi na Ankietę cierpią na, ogólnie mówiąc, kilka podstawowych, ale bardzo charakterystycznych, braków. Oto one:

a) ogólnikowość i brak konkretów, ocierające się nieraz wprost o demagogię. I tak np. wszystkie właściwie wypowiedzi zgadzają się, że absolutnie niezbędna reforma (wszystko jedno: państwa, nauki, emerytur) zakłada skierowanie do omawianego sektora poważnych środków finansowych. Żaden jednak z respondentów nie wskazał, skąd te pieniądze i w jaki sposób zamierza wziąć, gdzie będzie ich szukać, jakim i czym kosztem (budżet przecież nie jest bez dna), zamierza wskazane przez siebie reformy finansować. Rolnictwo będzie musiało przejść – wszyscy są tego zdania – przez prawdziwą rewolucję, ale, jak mówi Kwaśniewski, „dopłacać do rolnictwa nie jesteśmy w stanie”. No, to co będzie?!

To samo dotyczy polityki zagranicznej. Wszyscy są zdania, że polityka zagraniczna powinna być jedna, nie podzielona na zachodnią i wschodnią, że należy starać się równolegle o zbliżenie do struktur zachodnich, o jak najlepsze ułożenie stosunków z Rosją, Ukrainą, Białorusią (czy nie za wcześnie na lament po jej utracie) i Bałtami. Właściwie żaden z kandydatów nie mówi jednak jak to zrobić. Żaden nie próbuje ułożyć jakiejś realnej listy priorytetów. Znamienna jest ogólnikowość sloganów o polityce wobec Rosji. Jak pisał niedawno Jerzy Marek Nowakowski w *Rzeczpospolitej*: „Stwierdzenie, iż chcemy żyć w przyjaźni ze wszystkimi państwami obszaru posowieckiego, ma wartość podobną do

konkluzji, że warto mieć czyste nogi. W dziedzinie polityki wschodniej potrzebne są konkrety”. Inaczej mówiąc: jaki model sąsiedztwa z Rosją? Na to pytanie, dla Polski kapitalne, żaden z respondentów nie przyniósł nawet zarysu odpowiedzi. Podobna refleksja nasuwa się przy lekturze odpowiedzi dotyczących stosunków z Zachodem. Odnosi się wrażenie jakby strachu przed powiedzeniem narodowi prawdy o historycznie, gospodarczo i politycznie opłaczalnych, ale kolosalnych kosztach integracji z Zachodem, oraz o ryzyku nadmiernego zaufania militarnego do zachodniego parasola ochronnego, jak wykazała Bośnia. Powiedzonko prof. Zielińskiego *à propos* rolnictwa i emigracji, że polskie jedzenie lepiej mu smakuje niż zachodnie, zdradza (podwójne) braki znajomości: kuchni francuskiej i ogromu problemu przed jakim stanie niedługo polska wieś i polskie państwo.

W tym kontekście nie można nie ubolewać nad lukami w prezydenckim „treningu” pani Gronkiewicz-Waltz, która na kilka podstawowych pytań mogła odpowiedzieć jedynie przez: „wolałabym nie odpowiadać”, „ja przy tym nie byłam”, „nie mogę odpowiedzieć bo nie wiem do końca jak to wygląda”, albo, naiwnie, jak w sprawie ministerstw prezydenckich: „trochę jestem przeciwna”. Na kilka tygodni przed wyborami...

b) Przemilczenia, omijanie raf. Trudno się było spodziewać samobiczowania w trakcie propagandy wyborczej, ale brak próby samooceny, samokrytyki, ociera się chwilami o hipokryzję. Wszyscy się zgadzają, że aparat państwowy nie powinien podlegać fluktuacjom politycznym. Ale nawet kiedy respondenci próbują zarysować granicę, na której powinny kończyć się kryteria polityczne a decydować wyłącznie kompetencje fachowe, nie widać przybliżonej choćby perspektywy praktycznej i ustawodawczej realizacji tej zasady. Niektóre odpowiedzi sprawiają wrażenie, jakby respondenci chcieli zapewnić sobie, na wszelki wypadek, możliwość manewru, to znaczy jak najszerze pole obsadzania stanowisk.

Jak, w tym samym kontekście, określić należy stanowisko Lecha Wałęsy, który bardzo słusznie mówi o sytuacji mniejszości w Polsce, ale nie wspomina nawet (nie tylko on zresztą) o antysemityzmie (choćby epizod ks. Jankowskiego), który tak bardzo popsuł jego własny, i Polski, obraz na świecie?

c) Rozbrat między teorią a praktyką, ocierający się chwilami o cynizm. Jesteśmy świadomi, że zarzut taki niesie z sobą ryzyko niesprawiedliwości, dotyczyć on wszak może w zasadzie wyłącznie tych kandydatów, którzy sprawują lub sprawowali władzę. Wydaje się nam jednak, że, w kontekście Ankiety, nie powinien zostać pominięty.

Najbardziej charakterystycznym przykładem jest tu sprawa wojska. Wszyscy respondenci zgadzają się, że wojsko powinno być apolityczne. Jak powiada, absolutnie słusznie, Lech Wałęsa: „armia nie może być politycznym podmiotem”, „nie może być przedmiotem żadnej manipulacji...” No, a Drawsko!? – można zapytać.

A w ogóle, „skromność” odpowiedzi na pytania o wojsko jest uderzająca i nasuwa wrażenie, że albo respondenci nie doceniają wagi problemu, albo rzeczywiście nie ma dziś w Polsce tego, co się określa jako myśl wojskowa, nie ma koncepcji jak powinno wyglądać wojsko w specyficznych warunkach państwa polskiego. „Wielką niemową” powinna być armia, a nie politycy.

Inni też, np. Aleksander Kwaśniewski, pozostają w sprzeczności z ich własną praktyką. Chodzi tu o to, co Gremek nazywa „rekomunikacją z ludzką twarzą”: postkomuniści ostro negują powrót do „republiki kołosiów”, ale wystarczy tu przypomnieć los wojewodów pod rządami SLD-PSL. W tym samym rejestrze, mocne powoływanie się Kwaśniewskiego na „wartości” traci na wiarygodności na tle mało przekonującego tłumaczenia się z „błędu” w sprawie Sekuły.

3. Nie jest to, naturalnie, wszystko co można o tej Ankiecie powiedzieć. Gdyby chcieć najkrócej streścić wrażenia odniesione z lektury Ankiety, można by powiedzieć że:

a) Mimo bogatego plonu Ankiety nie jesteśmy zdania, że można by na jej podstawie sformułować koherentny i wyczerpujący program „idealnej” lub choćby przekonywującej prezydentury RP. Być może, „ostatnia prosta” kampanii przedwyborczej (np. dokumenty w rodzaju raportu o stanie państwa przygotowanego przez Kuronia i mającego stać się punktem wyjścia do ogólnonarodowej debaty) potrafi takie elementy jeszcze wnieść.

Nie można także, w oparciu o Ankiety, „złożyć” z kandydatów sylwetki „idealnego” prezydenta. Tylko pani Gronkiewicz-Waltz miała „odwagę” ją zarysować. Uznała mianowicie, że „potrzeba ludzi nie obciążonych tak do końca działalnością opozycyjną...”. A ponieważ, jak sama twierdzi, celem jej kandydatury jest zagrozenie drogi także komunistom, to można się domyślać, że ze wszystkich kandydatów, tylko jej „sylwetka” pasuje... To nieco za mało.

Gdyby więc posłużyć się dostępnymi dla nas elementami, można by powiedzieć, że prezydent RP powinien mieć charyzmę (poprzedniego) Wałęsy, inteligencję Kwaśniewskiego, fachowość Strzembosza, spontaniczność Łętowskiej, znajomość polityki zagranicznej Onyszkiewicza, tolerancyjną świeckość Zielińskiego (jego „celebra” powinna wejść do antologii), zwięzłość Olszewskiego, pozorną naiwność Gronkiewicz-Waltz, no i sens kompromisu, wrażliwość ludzką, oraz, gdyby ta formuła nie miała tak koszmarnego rodowodu, „instynkt państwowy” Kuronia.

To, naturalnie, marzenie. W rzeczywistości, żaden z kandydatów właściwie „nie dał więcej niż ma”, nie wyszedł poza to, czego się po nim można było spodziewać. Niektórzy znaleźli się nawet poniżej tej poprzeczki. Żaden nie dysponuje, i tego też można się było spodziewać, jakąś rewolucyjną, porywającą wizją przyszłości.

b) W tym sensie, można uznać przynajmniej na podstawie analizy ich wypowiedzi – że wybór Lecha Wałęsy czy też któregośkolwiek z jego przeciwników nie spowoduje trzęsienia ziemi, nie przyniesie Polsce ani perspektywy jakiegoś cudownego skoku naprzód, ani widma katastrofy. Co nie znaczy, naturalnie, że obywatele RP powinni zlekceważyć wybory. Odwrotnie, byłoby klęską demokracji oraz poważnym i kosztownym błędem politycznym, gdyby frekwencja, jak to niektórzy proponują, okazała się bardzo niska. Wystarczy przeczytać Ankiety, aby zrozumieć, że jednak jest w czym wybierać, że jak powiadają Francuzi, „diabeł jest w szczegółach”, i że głosując tak czy inaczej, każdy wyborca, w jakimś stopniu, współdecyduje o swojej własnej przyszłości.

Posługując się końcową formułą Kwaśniewskiego można powiedzieć, że jakkolwiek będzie wynik wyborów „nie będzie nieszczęścia”. Dodajemy od siebie, że jak wynika z lektury

Ankiety, szczęścia także nie będzie. „Nie oczekuję cudów” – powiada. Słusznie.

Kultura składa podziękowanie uczestnikom Ankiety. Redakcja ma nadzieję, że w pewnej mierze, w stopniu odpowiadającym jej zasięgowi, Ankieta „Jaka Polska na XXI wiek?” przyczyni się do oparcia obywatelskiego wyboru w dniu 5, a potem, prawdopodobnie, także 19 listopada, o maksymalnie racjonalne przesłanki. Takie właśnie były nasze intencje.

Redakcja „Kultury”

Wywiady w Warszawie prowadzili: Jarosław Kurski (Jan Olszewski, Janusz Onyszkiewicz, Tadeusz Zieliński) i Krzysztof Wolicki (Hanna Gronkiewicz-Waltz, Aleksander Kwaśniewski, Jacek Kuroń).

W przygotowaniu Ankiety i jej opracowaniu uczestniczył Leopold Unger.

Archiwum polityczne

Notatki rosyjskie

Na pierwszej stronie *Herald Tribune* czytam: „Ignorując Rosję, NATO nadal bombarduje pozycje serbskie”. Trafne sformułowanie, znak nowych czasów, wyraz zmiany w stosunkach międzynarodowych. Czytałem już: „Nie zważając na pogróżki Rosji, rzucając wyzwanie Rosji...” Dziś z kolei: „Nie zwracając najmniejszej uwagi na...”

Takie jest nieubłagane prawo polityki: ponieważ o wszystkim decyduje stosunek sił, wczorajsze wielkie mocarstwo znalazło się na bocznym torze. Do stołu, przy którym decydują się losy wojny jugosłowiańskiej, Moskwy nie zaproszono.

Po niespodziewanym zarówno dla jego wyznawców jak i dla wrogów upadku ustroju komunistycznego skończyła się epoka złudzeń. Skończyły się kretyńskie rozważania o „końcu historii i nadejściu czasów, kiedy wilki i owce będą razem skubać trawę”, skończyły się nadzieje, że Rosja przekształci się z dnia na dzień w demokratyczne, kapitalistyczne państwo, które można będzie zaprosić do współpracy w charakterze młodszego partnera. Były to zachodnie mrzonki. W Rosji też się łudzono, przede wszystkim wierząc, że w nagrodę za porzucenie komunizmu kapitalistyczny Zachód obrzuci Rosję dolarami i postawi na piedestale.

Koniec „zimnej wojny” nie rozgrzał serc działaczy politycznych i państwowych. Nielegalny sowiecki milioner Ostap Bender, który znał się na polityce, mawiał: „Życie dyktuje nam surowe prawa”. W rzeczy samej. Dziś łatwo Rosję lekceważyć, bo wiadomo, że jest słaba. Wojna w Czeczenii jest tego koronnym dowodem. Przy jej okazji wyszła na jaw niesprawność głównego elementu, decydującego o imperialnym statusie Związku Sowieckiego – mianowicie armii. Mam na myśli rzecz jasna nie wojska lądowe, które

przez pół roku zmagaly się z partyzantami Dudajewa, tylko sam rdzeń rosyjskich sił zbrojnych, znane pod skrótem SJaS – strategiczne siły jądrowe. „Miejmy odwagę przyznać – wyznaje kontradmirał Aleksiej Owczarenko – że Rosja nie jest w stanie utrzymać takich SJaS, na jakie mógł sobie pozwolić Związek Sowiecki...”

Nie ma SJaSa, a my plujemy na ciebie... Tak można by – w niedyplomatycznym języku – sformułować dzisiejszą zasadę stosunków międzynarodowych. Rzecz jasna, że SJaS SJaSem, a wszyscy wiedzą, że Rosja ma jeszcze dość rakiet nuklearnych (nawet jeśli zardzewiałych), żeby wysadzić świat w powietrze. Broń ta, pod nieobecność autorytarnego centrum, nie jest, jak dawniej, źródłem prestiżu, lecz anarchicznym niebezpieczeństwem i źródłem nieufności świata wobec słabego ośrodka rosyjskiej władzy.

Tłumacząc w telewizji, dlaczego zdecydował się na wznowienie francuskich próbných wybuchów nuklearnych, Jacques Chirac powołał się w pierwszym rządzie na zagrożenie ze strony rosyjskich SJaS, które łatwo mogą trafić do rąk „ekstremistycznej prawicy”. Stanowisko nowego prezydenta Francji różni się gruntownie od polityki Mitterranda: koniec z sympatiami wobec Serbów, Francja kocha teraz ich przeciwników. Niespodziewana determinacja Clintona – po dwóch latach wahań – wynika, podobnie jak wolta polityki francuskiej, z faktu, że państwa te uświadomiły sobie słabość Rosji. Wobec tego uznały, że nie ma powodu liczyć się z tą figurą na bałkańskiej szachownicy politycznej.

W szczęśliwych sowieckich czasach nikt o polityce zagranicznej nie dyskutował: skoro Biuro Polityczne ją uchwaliło, a generalny sekretarz uchwałę podpisał, mogła być tylko słuszna. Fakt, że może istnieć wiele – i co gorsza różnych! – koncepcji polityki zagranicznej jest jednym z największych, zatrważających odkryć doby postkomunizmu. W ślad za nim idą spory i dyskusje: co robić? Kto jest winien?

Okazało się, że najprzyjemniej dyskutuje się o polityce zagranicznej podczas kampanii wyborczych. Kandydaci często słabo się orientują w sprawach wewnętrznych, drogę do kapitalizmu wyobrażają sobie mglisto, natomiast doskonale znają się na polityce międzynarodowej. Wszyscy wiedzieli – i wiedzą nadal! – że Rosja jest wielkim mocarstwem, że co złe, to Amerykanie i syjoniści, że z Zachodem należy rozmawiać ostro (Stalin to potrafił!, wspominają tęsknie liczni specjaliści od spraw międzynarodowych).

Bombardowanie bośniackich Serbów nastąpiło w samą porę – walka wyborcza do Dumy rosyjskiej jest w pełnym toku. Chcąc uprzedzić przeciwników, Borys Jelcyn wystąpił w telewizji i zapewnił, że jest zdrow, pełen sił i nikogo się nie boi. Zachód zaś ostrzegł, że decydując się na bombardowanie bośniackich Serbów bez uzgodnienia z Rosją, wszedł na drogę wojny. Wobec takiego postępowania Zachodu ukryty cel planowanego rozszerzenia NATO poprzez włączenie do niego okalających Rosję krajów okazał się jasny jak słońce. Rozszerzenie NATO równa się przybliżeniu linii frontu do granic Rosji.

Borys Jelcyn powiedział swoje, a następnego dnia zebrała się Duma. Temat był ten sam. Ponieważ prezydent wystrzelił już wszystkie naboje, Dumie pozostało tylko powtarzanie. Stosunek do świata posłowie Rosji wyrazili następującą rekomendacją: odwołać ministra spraw zagranicznych Kozieriewa, który „zaprzedał się Amerykanom, syjonistom i przybyszom z kosmosu”.

Borys Jelcyn pozbędzie się Kozieriewa. Nie dlatego, że był urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSSR nie zdradzał żadnych talentów, i nie dlatego, że Duma go nie lubi, a dlatego, że zmienia się polityka zagraniczna Rosji.

Substancja pozostaje ta sama: Rosja jest dziś za słaba na to, by prowadzić aktywną politykę zagraniczną sięgającą dalej niż granice byłego ZSSR. Zmienia się natomiast ton: propaganda znowu przedstawia świat jako teren, na którym Rosji nie lubią i grożą jej ze wszystkich stron. Świat jest wrogi, pełen złych intencji: a czyż nie Rosja (Związek Sowiecki) zbawiła go od Hitlera? Czyż nie Rosja (Związek Sowiecki) dobrowolnie przyniosła wolność ludom, godząc się na obalenie muru berlińskiego? Czyż nie Rosja położyła kres zimnej wojnie i otworzyła wrota pokojowi i przyjaźni? W podzięce za to wszystko wygnano ją z klubu wielkich mocarstw i Zachód decyduje o wszystkim tak, jak chce Ameryka.

Dyskurs ten ma wiele znaczeń. Przede wszystkim chodzi o pocieszenie obywateli Rosji, którzy pamiętają jeszcze czasy dawnej świetności. Po drugie pora już przechwycić w swoje żagle hasła, pod którymi idą do wyborów partie, liczące na zwycięstwo. Kampania wyborcza nabiera rozmachu i stała się ważnym czynnikiem rosyjskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej.

Instytut pod nazwą „Opinia Publiczna”, na którego czele stoi Igor Klamkin, opublikował wyniki badań rozmaitych

grup społeczeństwa rosyjskiego. Prowadzono je od marca 1993 do lutego 1995. Analitycy Instytutu doszli do wniosku, że nie ma na razie podstaw, by mówić o zmianie ogólnego kursu politycznego i gospodarczego albo o zmianie charakteru władzy. „Nie odwołano na razie daty wyborów władz federalnych i terenowych, nadal istnieje względna wolność prasy i organizacji politycznych, można mówić o specyficznym połączeniu autorytaryzmu z demokracją (z przewagą pierwszego)...” Broszura, w której ogłoszono wyniki sondażu, nie bez kozery nazywa się „Między autorytaryzmem i demokracją”.

Wyniki grudniowych wyborów do Dumy mogą przynieść środek ciężkości w kierunku autorytaryzmu. Prognozy przepowiadają większość komunistom, blokowi partii chłopskich i „liberalnym demokratom” Żyrynowskiego. Borys Jelcyn stwierdził w lipcowym przemówieniu, że blok pod nazwą „Nasz Rosyjski Dom” (pod przewodnictwem premiera Czernomyrdina) zbierze nie więcej niż 8-12% głosów. Należy do nich dodać głosy, które padną na blok Jegora Gajdara „Demokratyczny Wybór Rosji”, na partię Grigorija Jawlińskiego i niektóre inne ruchy, które opowiadają się za kontynuacją reform i demokracją. Więcej wyborców zamierza jednak – jeśli wierzyć prognozom – głosować na „lewicę”.

Borys Jelcyn nie wyraził szczególnego niezadowolenia ni trwogi w związku z zapowiadającym wzrostem liczebności „lewych” w Dumie – i dziś ich tam nie brakuje. Spokój prezydenta wynika z faktu, że konstytucja bardzo ogranicza możliwości Dumy, czyli niższej izby parlamentu rosyjskiego. Nie znaczy to rzecz jasna, że opinia Dumy w ogóle nie ma znaczenia. Ma. Ma tym większe, że na lato 1996 roku przewidziane są wybory prezydenta, a nowy prezydent będzie posiadał prerogatywy, które pozwolą mu – o ile zechce – zmienić charakter władzy w Rosji oraz jej politykę.

Wśród kandydatów do Dumy widnieje Aleksander Lebied', który niedawno oświadczył, że zamierza kandydować również na stanowisko prezydenta. Dymisjonowany generał kandyduje w Tule, jednym z najważniejszych ośrodków sowieckiego przemysłu zbrojeniowego. Zostanie naturalnie wybrany. Tym bardziej, że wśród kandydatów wystawionych przez Zjazd Wspólnot Rosyjskich figuruje on na drugim miejscu, zaraz po przywódcy partii, Juriju Skokowie. Duma udzieli Aleksandrowi Lebiedowi wysokiej trybuny, z której popróbuje uwieść wyborców.

Niejedną raz pisałem o Juriju Skokowie. Figura ta znika

od czasu do czasu z firmamentu politycznego, by znów wypłynąć na szczycie fali. Z reguły nie udziela wywiadów. I oto w lipcu zebrał wpływowych dziennikarzy i podzielił się z nimi myślami o przyszłości Rosji. Szczególne zainteresowanie wzbudziły jego wypowiedzi o premierze. Nazwał mianowicie Wiktora Czernomyrdina „głównym mafioso kraju” i dużo mówił o „Gazpromie”, monopolistycznym właścicielu gazu rosyjskiego. Uwagi Skokowa są tym ciekawsze, że Czernomyrdin uznał za konieczne odpowiedzieć mu na łamach prasy. Polemikę tę można uważać za pierwsze strzały w przyszłej kampanii prezydenckiej. Na razie – w prognozach – Zjazd Wspólnot Rosyjskich (Skokow) nie zbiera więcej głosów aniżeli „Nasz Rosyjski Dom” (Czernomyrdin).

Na politycznej mapie Rosji specjalne miejsce zajmują „agrarnicy”, którzy spodziewają się wprowadzić do Dumy taką liczbę posłów, która pozwoli im – w bloku z komunistami – zdobyć większość. Blok „agrarników” reprezentuje interesy przewodniczących kołchozów i dyrektorów sowchozów, którzy występują w imieniu „chłoptwa”. „Kwestia chłopska” jest problemem, którego rozwiązanie – lub pozostawienie bez rozwiązania – wywiera duży wpływ na życie kraju i jego rozwój. Pod koniec XX wieku „kwestia chłopska” nie wykracza w Rosji poza XIX-wieczne ramy. Jeden z przywódców dzisiejszych rosyjskich „agrarników”, Wasilij Starodubcew, komunista i członek GKCzP, stworzonego w 1991 roku dla organizacji puczu, tak wyklada swe credo latem 1995 roku: „Prywatna własność ziemi nie powinna istnieć. Ziemia nie może być przedmiotem kupna ani sprzedaży”. Aleksander Prochanow, który przeprowadzał wywiad ze Starodubcewem, dodaje: „Ziemia jest własnością Boga, ziemia jest własnością narodu, ziemia – to rzecz niczyja, rzecz państwowa, rzecz święta, w nią się człowiek obraca...”

Te same argumenty – dosłownie – wytaczano w 1861 roku, kiedy Aleksander II wyzwolił chłopów z poddaństwa, ale nie ustanowił prywatnej własności ziemi. Te same argumenty wytaczano, kiedy w 1906 roku Stołypin wywalczył ustawę o kupnie i sprzedaży ziemi. Tymi samymi argumentami – „ziemia należy do państwa” – postugiwał się Stalin.

Nie rozwiązana kwestia rolna, tak jak dawniej powoduje, że rosyjskie rolnictwo jest najcięższą kulą u nogi gospodarki. Nieurodzaj 1995 roku zaostrzy „kwestię chłopską”. W lipcu wicepremier Rosji Aleksander Zawierucha oświadczył, że tegoroczne zbiory będą w granicach 75-78 milionów ton,

poniżej średniej, ale nie katastrofalne. We wrześniu amerykańskie Ministerstwo Rolnictwa podało inne liczby: 62,8 milionów ton zboża. To już prawie katastrofa.

Jednym z powodów rewolucji rosyjskiej był mit, że ziemią rosyjską zawładnęli obszarnicy, pozbawiając jej chłopów. W rzeczywistości chłopci mieli dość ziemi – choć więcej nigdy nie zaskodzi. Problemem była zastraszająco niska wydajność chłopskich pól. Problem ten przetrwał przez sowieckie czasy do dziś. Skoro ziemia jest niczyja, ani chłopci ani kołchoźnicy nie widzieli powodu, by troszczyć się o zwiększenie jej wydajności.

Między uwłaszczeniem chłopstwa i reformą Stołyпина upłynęło czterdzieści pięć lat. Gorbaczow zaczął reformy w 1985 roku, czyli obecny proces reform trwa dziesięć lat i daleko mu do końca. Czy rozwiązanie „kwestii rolnej”, czyli przekształcenie ziemi w towar, potrwa kolejnych trzydzieści pięć lat, nie sposób przewidzieć. Wypada natomiast przypomnieć, że niemal równocześnie z Rosją rozpoczęła modernizację Japonia. Rosja w roku 1861, Japonia w 1868. Pierwszą japońską reformą było ustanowienie prywatnej własności ziemi.

Lato 1995 obfitowało w wydarzenia. Nie wiem, czy wydanie w Pradze po czesku książki Michaiła Gorbaczowa i jego starego druha Zdenka Mlynarza, zatytułowanej „Reformatory szczęśliwi nie bywają”, można zaliczyć do „wydarzeń”. Sądząc po tytule, autorzy znają się na psychologii. Mają zresztą rację. Rzecz tylko w tym, że ludzie szczęśliwi nie zabierają się do reform, bo i bez tego im dobrze. Natomiast kiedy nieszczęśliwcy przystępują do reform pod przewodnictwem takich działaczy, jak dwaj sekretarze partii komunistycznych, nie ma dwóch zdań co do tego, że jak byli nieszczęśliwi, tak i będą.

Michaił Gorbaczow przyznaje, że działalność reformatorska szczęścia mu nie przyniosła, ale uspokaja czytelników: „Do tajgi się nie wybieram, zostaję przy polityce”. Najwidoczniej, nie dając szczęścia, polityka daje jednak uczucie zadowolenia.

14.9.1995

Adam KRUCZEK

Polska wobec Zachodu – partner czy klient?

Stan naszej gospodarki skłania do pesymizmu. Wynika on oczywiście głównie z dziedzictwa komunizmu. Majątek produkcyjny jest zacofany technicznie i technologicznie a jego struktura wadliwa, bo ukształtowana bez rachunku ekonomicznego. Odzyskanie suwerenności politycznej stworzyło warunki dla zasadniczej przebudowy naszej gospodarki i wyboru polityki gospodarczej. Niestety jednak z interesującego nas punktu widzenia, rezultaty prowadzonej polityki gospodarczej transformacji sytuacji naszej nie poprawiły. Liberalne doktrynerstwo pierwszej fazy transformacji wykluczało podjęcie przez państwo polityki strukturalnej (słynna teza min. Syryjczyka, że najlepszą polityką przemysłową jest jej brak). Polityki strukturalnej nie wdrożono do dziś. Zauważmy tutaj, by uniknąć nieporozumień, że istotą polityki strukturalnej czy też przemysłowej nie jest podtrzymywanie nierentownych dziedzin produkcji lecz ochrona tych dziedzin, które mają szansę stać się konkurencyjne na rynku światowym.

W wyniku nadmiernego spadku produkcji i bankructwa wielu przedsiębiorstw nastąpiło obniżenie dochodów budżetowych przy równoczesnym zwiększeniu obciążenia budżetu wydatkami socjalnymi, co zmniejszyło możliwości zastosowania skutecznych finansowych instrumentów przebudowy strukturalnej.

Inwestycje zagraniczne są bardzo małe jeśli mierzyć je międzynarodowymi wskaźnikami porównawczymi, a już zupełnie znikome biorąc pod uwagę, że tylko niewielka ich część to inwestycje realne. Zakupy fabryk przez inwestorów zagranicznych to dochody budżetowe.

Inwestycje zagraniczne kierowane są do najbardziej lukratywnych segmentów naszego rynku wewnętrznego: przemysły celulozowy, słodocy, meblarski, detergentów, przetwórstwa spożywczego, napojów, telekomunikacji, elektroniki użytkowej, a także reklama i media (np. pisma kobiece najbardziej dochodowa część rynku prasowego) w dużej części opanowane są już przez kapitał obcy. Szybko zwiększa się udział kapitału zagranicznego w handlu detalicznym. Coraz

większy jest udział obcych firm w ubezpieczeniach.

W najbliższym czasie zaczniemy prywatyzować przemysły paliwowy i tytoniowy. Czy będziemy potrafili wynegocjować korzystne dla nas umowy? Największa dotychczas umowa kapitałowa – tj. umowa z Fiatem, który zyski z produkcji w Polsce realizuje za granicą – jest przestrożą. Podobnie umowa z Thompsonem w Polcolorze. Złe to wszystko rokuje jeśli chodzi o kształtowanie salda przepływów kapitałowych w najbliższej już przyszłości. Do pesymistycznej oceny stanu i perspektyw naszej gospodarki tj. szansy na zwiększenie wewnętrznych źródeł rozwoju skłaniają też i inne obserwacje.

Bardzo niski jest udział eksportu w produkcji globalnej. Znikomy nasz udział w eksporcie światowym. Pogarsza się struktura towarowa naszego eksportu. I tak np. udział w eksporcie do UE produktów zaawansowanych technologicznie, aparatury badawczej, instrumentów i przyrządów specjalistycznych, który w 1991 r. wynosił 1,3%, w 1992 spadł do 0,6% a w 1993 do 0,4%. Nadmierna liberalizacja w pierwszej fazie transformacji szczególnie dotkliwie ograniczyła możliwości rozwojowe właśnie dziedzin najbardziej zaawansowanych technologicznie. Wszystko to świadczy o małej międzynarodowej konkurencyjności naszej gospodarki.

I jeszcze jeden element oceny naszej kondycji gospodarczej. Poziom płac w polskim przemyśle szacuje się na 10% poziomu płac w Niemczech przy wydajności o połowę niższej. Obecnie nasz Produkt Krajowy Brutto *per capita* wynosi poniżej 10% średniego wskaźnika w krajach Unii Europejskiej. Nawet porównując przy pomocy tzw. parytetu siły nabywczej, który lepiej odzwierciedla różnice w poziomie życia, wskaźniki dla krajów UE są średnio pięciokrotnie wyższe.

Relacje te świadczą o płytkości naszego rynku wewnętrznego i niemożności istotnego zwiększenia stopy oszczędzania. Niskie płace zachęcają inwestorów zagranicznych, ale płytkość rynku wewnętrznego poważnie obniża ich zainteresowanie w zwiększaniu nakładów. Na większe inwestycje w przemyśle konsumpcyjnym możemy liczyć dopiero wówczas, gdy będzie rosła siła nabywcza szerokich rzesz polskich konsumentów. Dochody jednak mogą rosnąć tylko dzięki szybkiemu wzrostowi wydajności pracy, a to wymaga zwiększenia naszej zdolności do absorpcji zaawansowanej technologii. I tu już ostatnie liczby. W Polsce stopa skolaryzacji na poziomie wyższym wynosi około 22%. W krajach

Unii Europejskiej jest średnio o ponad połowę wyższa. Czy wszystko to oznacza, że w dłuższej perspektywie jesteśmy skazani na peryferyjne miejsce w Europie z półkolonialnym statusem? Co zatem musimy zrobić, by zapobiec takiej perspektywie?

Odpowiedź wymaga uwzględnienia nie tylko wniosków wyływających z przedstawionej diagnozy naszej sytuacji gospodarczej, lecz także warunków podjęcia koniecznych działań.

Po pierwsze: ocena szokowej koncepcji uruchomienia transformacji, niektóre jej negatywne skutki przedstawiłem, jest już przedmiotem sporu historycznego. Zastosowana liberalna koncepcja przebudowy narzuca jednak w pewnym zakresie konieczność kontynuacji jej zasad w polityce gospodarczej.

Po drugie: ani przed 5 laty ani teraz nie można wzorować głównych zasad polityki gospodarczej na doświadczeniach dwu azjatyckich tygrysów Korei i Tajwanu. A to ze względu na zupełnie inne warunki zewnętrzne i wewnętrzne. Mam tu na myśli przede wszystkim wymuszanie wysokiej akumulacji i pełną ochronę rynku wewnętrznego. Z jednym wszakże wyjątkiem, a mianowicie priorytetu dla oświaty i nauki.

Po trzecie: Polska leży na granicy jednego z trzech głównych centrów cywilizacyjnych świata i oczywiście w naszym interesie jest stanie się jego integralną częścią. Zawierając umowę stowarzyszeniową z Unią Europejską występowaliśmy jako klient. Stąd też nasz wpływ na jej treść był ograniczony. Niemniej jednak trzeba zauważyć, że ucieka nam czas i wielu możliwych instrumentów polityki strukturalnej i ochronnej, na które umowa ta nam zezwala nie wykorzystaliśmy.

Po czwarte: członkostwo Unii zapewne uzyskamy, jednak nasz status w UE, nasza sytuacja szczególnie w pierwszym okresie członkostwa nie będzie podobna do sytuacji Grecji, Hiszpanii, Portugalii po ich przystąpieniu do EWG. W funkcjonowaniu Unii nastąpią zasadnicze zmiany. Pomoc Unii dla przebudowy naszej gospodarki będzie relatywnie znacznie mniejsza od pomocy, jaką otrzymywały i otrzymują wymienione kraje. Dotyczy to szczególnie rolnictwa i regionów zacofanych.

Po piąte: ograniczenia głównie czasowe dla naszej polityki gospodarczej przynoszą także postanowienia układu o Światowej Organizacji Handlowej.

Wnioski dla polityki zmniejszenia naszej gospodarczej

zależności trzeba formułować z uwzględnieniem tych właśnie warunków. Jest oczywiste, że powinniśmy się domagać aby uwaga rządu skupiona była na jak najszybszym sformułowaniu i wdrożeniu polityki przekształceń strukturalnych przy pełnym wykorzystaniu wszystkich klauzul przejściowych umowy stowarzyszeniowej z UE oraz umowy o Światowej Organizacji Handlowej. Ważnymi elementami tej polityki muszą być zarówno zachęty dla inwestorów zagranicznych jak i ochrona naszych interesów.

Przed wszystkim jednak musimy pamiętać, że najważniejszymi czynnikami rozwoju we współczesnym świecie są nauka i wykształcenie, a najważniejszym czynnikiem funkcjonalnym gospodarki jest nowoczesna infrastruktura informatyczna. Inwestowanie w te dwie dziedziny powinno zatem stać się rzeczywistym, bezwarunkowym priorytetem naszej polityki gospodarczej.

I to jest wniosek o wadze zasadniczej, gdyż jego realizacja w długim okresie pozwoli zrekompensować obecne błędy naszej polityki gospodarczej.

Jeśli polska nauka dostarczać będzie nowych technologii a ich wdrożenie będzie można powierzyć dobrze wykształconym, wydajnym polskim inżynierom, ekonomistom i robotnikom, to zainteresowanie zagranicznych inwestorów będzie stale wzrastać, gdyż lokowanie inwestycji w Polsce pozwoli im być konkurencyjnymi na skalę światową.

Od własnej technologii i poziomu wykształcenia zależeć będzie także efektywność małych i średnich firm krajowych oraz szansa na ich ekspansję.

Tylko w ten sposób nasza gospodarka może stać się konkurencyjna. I tylko w ten sposób zachowamy wysoki stopień autonomii państwowej i potrzebną przestrzeń swobody politycznej.

Jędrzej KRAKOWSKI

Kronika kulturalna

Dziennik pisany nocą

Neapol, 25 maja

W *Tygodniku Powszechnym* ukazała się w połowie maja nota pod groźnym tytułem *Insynuacja*. Napisał ją senator Krzysztof Kozłowski, minister spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, polemizując zirytowanym tonem z zapisem w moim dzienniku, krytycznym wobec ministra Milczanowskiego. Odpowiedziałem w numerze z tego tygodnia możliwie spokojnym tonem, że b. minister i senator nie potrafi czytać cudzych tekstów, albo też nie jest w stanie zapamiętać nad swoimi napiętymi nerwami. Tylko część mojego zapisu dotyczyła następcy senatora na ministerialnym fotelu. Celowo nie wnikałem głębiej w meritum owej *Insynuacji*; wspominałem za to jej autora, gdy rok temu w Krakowie, na prośzonej kolacji, usiłował biesiadników przekonać, tokując bez przerwy, że powinni zmienić zdanie o generale Kiszczaku, jeśli jest ono „przypadkiem” niezbyt pochlebne. Powstał nowy związek zawodowy (afiliowany do OPZZ) ministrów spraw wewnętrznych?

Dziś przyszedł list z Warszawy od mojego przyjaciela, którego bardzo wysoko cenię; i do którego mam zaufanie. Piśsze (przed przeczytaniem mojej odpowiedzi): „W *Insynuacji* Kozłowskiego odnajdziesz w stanie krystalicznym mentalność i moralność twórców Grubej Kreski. Kozłowski określa tajnych współpracowników SB jako ‘mających luźny związek ze sprawą (Pyjasa)’. Ten luźny związek dwadzieścia lat temu polegał na zamordowaniu Pyjasa, a dzisiaj z kolei polega na niemożności ujawnienia nazwisk morderców i ich mocodawców. Wielka

szkoda, że nie nagrałem na kasecie rozmowy prof. Strzembosza i mec. Bednarkiewicza, którzy mówili o przyczynach nieukarania nikogo za zbrodnie popełnione w PRL, m.in. o bezwstydnym przewlekaniu tych spraw przez niektórych sędziów, np. w wypadku zabitych górników w kopalni Wujek. Ale Kozłowski jak lew broni ich dobrego imienia”.

„Nie na tym koniec – ciągnie mój korespondent. – Kto został szefem zespołu doradców Oleksego? Major SB Andrzej Anklewicz, który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych miał wielkie i nadzwyczajne sukcesy w inwigilowaniu i tropieniu opozycji. Co na to senator Kozłowski? Będę go zawsze bronił (mówi o majorze), to wspaniały fachowiec, zwerifikowaliśmy go pozytywnie (czyli zostawiliśmy w SB po 1989) ze względu na jego zasługi”. Zasługi dla kogo?

Może już czas żeby się nad tym wszystkim zastanowić, zamiast połykać jak głupia gęś tuczna coraz to nowe kluski ze znakiem Grubej Kreski. Nawet jeśli „ludzie mający luźny związek ze sprawą Pyjasa” oraz im podobni staną w końcu przed sądem, szkoda została już dokonana. Nawet jeśli major Anklewicz i jego podwładny Andrzej Drawicz („doradca premiera ds. problematyki wschodniej”) zdołają przez jakiś czas szeptać na ucho Oleksemu swoje „fachowe” rady, wśród ludzi rozumnych pozostanie uczucie, że kraj brnie w złym kierunku, że „coś pękło, coś się skończyło” (używając zwrotu Jacka Żakowskiego).

I pomyśleć; Krzysztof Kozłowski, autor *Obrazu Tygodnia*, drugiej obok felietonu Kisiela kolumny *Tygodnika Powszechnego*.

28 maja

Pamiętam rozmowę w cztery oczy z Tadeuszem Mazowieckim w czasie jego pierwszej wizyty zagranicznej w Rzymie, po nominacji na premiera. Ledwie skończyło się spotkanie w Ambasadzie z polskimi mieszkańcami Włoch (gdzie znakomicie przemówił), zaprosił mnie do ambasadzkiego ogrodu. Na osobności, przez nikogo nie niepokojeni, mogliśmy pół godzinki pogwarzyć.

„Dlaczego – zapytałem między innymi – mianował pan

Drawicza szefem telewizji, zamiast posłać go natychmiast do Moskwy na stanowisko *attaché* kulturalnego? Przecież nikt tak jak Drawicz nie jest równie dobrze zdomowiony w moskiewskim środowisku kulturalnym”. Okazało się z odpowiedzi premiera, że Drawicz był dziewiątym kandydatem na szefa telewizji, ośmiu przed nim odmówiło. Temat automatycznie upadł.

Jeszcze dziś Drawicz byłby idealnym *attaché* kulturalnym w Moskwie. Ale doradcą premiera ds. problematyki wschodniej? Pierwszy powinien był opanować *gotowokrużenije ot uspiecha* po usłyszeniu tej propozycji. Więc to Drawicz ma teraz pomagać w wytyczaniu polityki Polski wobec Rosji? Delikatny uśmiech Geremka w rozmowie z dziennikarzami *Tygodnika Powszechnego* jest najlepszą odpowiedzią na to pytanie. Ale Oleksy (a także, niestety, Bartoszewski) mają widocznie słabe poczucie humoru.

Przeczytałem właśnie kilka wypowiedzi Drawicza w nowej roli. Nie wychodzi w nich poza pocziwe banały, że powinniśmy być wobec Rosji „racjonalni” i „czujni bez strachu” etc. Trudno o mglistą „racjonalność” i „czujność bez strachu” wobec perspektywy zwycięstwa w wyborach Żyrynowskiego, Ziuganowa i Ruckiego; i wobec postępów *delirium tremens* Jelcyna w męskim uścisku Graczowa. W długim *Dekalogu polsko-rosyjskim* Drawicza i Popowskiego nie ma ani słowa o naszych wschodnich sąsiadach oddzielających nas od Rosji; oraz o naszych prawdziwych sprzymierzeńcach w Rosji. No ale Drawicz uważa „ponadpartyjny sojusz ludzi rozsądnych (ach jak partyjni, dawni lub obecni, lubią ostatnio ponadpartyjność!) za najbardziej właściwy rodzaj działalności politycznej w Polsce”. Czyli na całe szczęście będzie w praktyce „doradcą premiera ds. problematyki księżycowej”.

31 maja

W maratonie (blisko 700 stron!) rozmów „między Panem (ksiądz Tischner) a Plebanem (Adam Michnik)”, z udziałem sprawnego moderatora Jacka Żakowskiego, jestem prawie primadonną jednego rozdziału. Zatytułowany on jest *Elastyczny fundamentalizm*. Na zakończenie zapisu pozwolę sobie

zapropionować lepszy tytuł, ale chwilowo dam się pochłonać rozkoszom primadonny w świetle kinkietów.

Pomijam pierwszą część rozdziału, w której Pan (ksiądz Tischner) rozpacza przed Plebanem (Michnikiem) kuszące zestawienia z Heglem i Sokratesem, oraz stara się interpretować, w duchu usprawiedliwienia i rozgrzeszenia, potknięcia czy omyłki w jego myśleniu i działaniu. Pędzę próżny do miejsca, w którym pojawiają się na scenie ja. Skąd ten honor? Stąd, że zdaniem Plebana „postawiłem pod pręgierzem” Wałęsę za przemilczenie nazwiska Sacharowa w podziękowaniu za Nagrodę Nobla. „Jest bardzo wygodnie siedzieć w Neapolu i wystawiać stopnie ze sprawowania ludziom, którzy próbują przejść ponad przepaścią po naprawdę bardzo cienkiej kładce”. Dajmy spokój temu „wygodnemu siedzeniu w Neapolu”, bo tu „cios” jest nie tylko głupi, ale wręcz wulgarny, zważywszy że moje „wygodne siedzenie w Neapolu” nieraz w przeszłości przynosiło Michnikowi i jego kolegom pewien pożytek. Przejdźmy do sedna sprawy. Wyobraźmy sobie, że w przemówieniu Wałęsy (odczytany przez żonę) pojawiło się zdanie: „Jestem dumny, że otrzymuję nagrodę, której laureatem był profesor Andrej Sacharow”. I co się dzieje? Pęka „cienka kładka”, Wałęsa spada w przepaść, generał Jaruzelski (zacierając ręce) piętnuje ze świętym oburzeniem mieszanie się przywódcy „Solidarności” do wewnętrznych spraw naszego potężnego (i bratniego) sąsiada, Geremek i Mazowiecki (gdyż to oni od początku byli przeciwni wymianianiu Sacharowa w imię „ponawiania za wszelką cenę oferty dialogu w języku dla komunistów możliwym do przyjęcia”) zostają zawiadomieni poufnymi kanałami, że w tej sytuacji o dialogu nie może już być nawet mowy. To jest jeden scenariusz, „etyka” króluje w nim ze szkodą dla „takyki”. W drugim „takyka” bierze górę nad „etyką”, elastyczny taktyk Wałęsa posuwa się ostrożnie kroczonek po kroczonek „po naprawdę cienkiej kładce ponad przepaścią” do upragnionego celu. I dociera doń w końcu. W tym samym plus minus czasie nieelastyczny Sacharow, pod rozwiniętym sztandarem „etyki”, wraca triumfalnie z zeszłości do Moskwy i staje na czele rosyjskiej opozycji. Gdyby nie był człowiekiem o anielskim charakterze, mógłby powiedzieć co myślał – siedząc niezbyt wygodnie w mieście Gorki – o ozdobionej laurem głowie Wałęsy...

Rozdział o „elastycznym fundamentalizmie” kończy się opowieścią Michnika o spotkaniu z ukrywającym się Bujakiem. „Ty Zbyszek – mówi – musisz siedzieć pod ziemią, ty musisz być jak skała, bo jesteś symbolem”. Czyli dzielny Bujak „skała i symbol”, a biedny Wałęsa „kładka nad skalną przepaścią” daleka od symbolu. Nazywa się to „podziałem ról”, a jest w istocie bezustannym zaprzeczaniem rzeczom, powiedzianym zaledwie parę stron wcześniej. Celuje w tym Michnik, książd profesor usiłuje ratować resztki logiki, co go często skłania do apelu by „skończyć dyskusję”.

Podobno pewien polski psychiatra, wezwany przez sąd do postawienia diagnozy o stanie umysłowym podsądnego w wytoczonym mu procesie, orzekł po kilku badaniach: „Pomroczność jasna”. Orzeczenie uznano za dość enigmatyczne, ja natomiast uważam za nadzwyczaj trafne i wpisuję je niniejszym na listę nowych polskich cech narodowych; oraz doradzam Panu i Plebanowi jako lepszy tytuł rozdziału o „elastycznym fundamentalizmie”.

Dragonea, lipiec

O północy psy podwórzowe szczekają i szarpią się gwałtownie, nawet z daleka pobrzękują prawie w ich głosach łańcuchy; szczekają na spóźnionych przechodniów, lub na księżyc grożący lada chwila upadkiem między dom i budę. Przed świtem szczekanie zamienia się w jęklliwe, urywane ujadanie, donośne ale podszyte lękiem. Noc odganiana przez wschodzące powoli słońce budzi widocznie zjawy, które przemykały się cicho, jak cienie, w psich snach.

Podczas pierwszego lata w Dragonei psy powiązały mnie z berezowskim chłopięctwem. Jakby odezwały się nagle, po tylu latach, by zerwać mnie na nogi i pchnąć do szybkiego marszu przez las na suchedniowską stację, na jedyny pociąg, który pozwalał z wybicciem ósmej wbiec z bładą od zziąwania twarzą do szkoły w Kielcach.

Ta dragonejska „magdalenka” zakorzeniła mnie wtedy natychmiast w świeżo kupionym domku, położonym na ubo-
czu lecz znanym we wsi (miasteczku?) pod nazwą *Casa Rossa*. Następnym etapem zakorzeniaenia były okresowe

przyjazdy z Warszawy, na całe lato, mojej siostry i jej męża. Czerwony Dom stawał się na dwa miesiące domem polskim: nocne rozmowy na tarasie, rodzima kuchnia, wesołe śmiechy, ciągła gra ech (w wypadku nas trojga „ech leśnych”). Potem los urwał te wizyty. Po śmierci mojej siostry uznałem szczęśliwy okres dragonejski za zamknięty definitywnie, choć rok wcześniej (czyli jeszcze za jej życia) miesięczny pobyt Ireny i Jerzego Morawskich zdawał się próbą odsunięcia końca. W tym roku przyjechali na trzy tygodnie Włodzimierz Bolecki i jego żona Anna. I znowu Czerwony Dom ożył.

Włodzimierz Bolecki jest świetnym krytykiem literackim, według mnie najlepszym dziś w Polsce, na miarę mojego mistrza Ludwika Frydego i mojego nigdy nie dość oplakiwanego przyjaciela, Kota Jeleńskiego. Anna Bolecka napisała śliczną opowieść *Biały kamień* i wydaje mi się ozdobą „fali” prozatorskiej z jej (plus minus) pokolenia.

Ich przyjazd nie był tylko wyprawą turystyczną i odwiedzinami przyjaciela. Z Boleckim miałem umówioną od dawna serię rozmów do książki, którą zaprojektował był Jan Chodakowski, dyrektor *Pulsu*. Nie chodziło o modne ostatnio i tak poczytne (słusznie) relacje autobiograficzne „na cztery ręce”. Autor dwóch książek o moim pisarstwie – *Ciemnego Stawu* i studium o *Innym Świecie* – zamierzał w dialogu ze mną zanalizować i przedyskutować wszystko, co w kolejnych tomach *Pism Zebranych* wydaje od zeszłego roku *Czytelnik* (w opracowaniu Zdzisława Kudelskiego).

Codziennie rano trzy godziny przeznaczaliśmy na nagrywaną rozmowę. Z dnia na dzień rósł mój podziw dla inteligencji, wiedzy, dla oka i słuchu mojego rozmówcy. Przypominał mi często Kota Jeleńskiego, „chwytającego w lot” (według wyrażenia Gombrowicza) czytane teksty, wrażliwego na dalekie asocjacje, twórczego w nieustannym podsumowywaniu całości, w pilnowaniu ogólnej perspektywy. Wraz z podziwem rosła zwykła przyjemność. W każdym utworze kryje się niewidoczna lecz dobrze wyczuwalna dla czytelnika zasada kompozycji, gra wyobraźni i praca myśli. Jedynie wytrawny i mądry krytyk wykłada od razu na stół swoje karty, oczekując partnerskiej kontrybucji ze strony autora.

Nie zaniedbaliśmy wycieczek w dalsze i bliższe okolice. Któryż to raz byłem w Paestum? Przed czterdziestu laty krążyło nad świątyniami stado kruków, jakby z zeszłego stulecia przywlokły w nasze stulecie malaryczne powietrze wykopaliska i pęd zagranicznych turystów do samobójstw w romantycznych dekoracjach. Nie pamiętam, kiedy dokładnie stado kruków ulotniło się bez śladu. Od chwili ich zniknięcia zapanały niepodzielnie nad Paestum świerszcze (latem oczywiście) i jaszczurki w rowkach greckich kolumn. Niektóre świątynie otoczono rusztowaniem, z tymparów sypią się kamienie. Czyżby to oznaczało, że nad Paestum zawisła groźba podobna do zagrożenia Wenecji? Turner namalował *Burzę nad Paestum*, cudowną akwarelę, w której światło rozjaśnia posępny krajobraz; boska siła (piszą krytycy) wzięła w obronę wystawiony na niebezpieczeństwo nawałnic i wzbierającego morza skarb z dziesiątego wieku przed Chrystusem. Teraz moje kraczące usposobienie katastroficzne każe raczej spodziewać się powrotu stada kruków.

W Amalfi, w kawiarni u stóp wysokich wzbronionych mi schodów prowadzących do katedry, czekałem na Boleckich opanowany powtórnie katastroficznymi, dość szalonymi obawami. Może dlatego, że główna ulica Amalfi, od Placu Katedralnego do portu, przypominała mi do złudzenia fragment Dubrownika. A jeśli to arcydzieło inkrustowanego frontonu i kampanili na tle gór przyciągnie nowych barbarzyńców w strupieszalej, trzęsącej portkami Europie, która utraciła już nawet zdolność doświadczenia wstydu?

Neapol, 7 sierpnia

„Często mówię, że Gustaw Herling-Grudziński, od tak dawna przez nas kochany, to mój przybrany syn”. Przepisuję to zdanie z *Spojrzenia wstecz* Lidii Ciołkoszowej, tomu rozmów prowadzonych z wielką inteligencją, umiejętnością i znajomością rzeczy przez młodego historyka Andrzeja Friszke (o którym myślę serdecznie, ilekroć wspominam zeszłoroczne spotkanie z redakcją *Więzi* w Warszawie). Czy przybrany syn ma prawo pisać o książce przybranej matki? Pierwszą reakcją, po pierwszej lekturze, było: nie. Potem rzuciłem w kąć kon-

wencjonalne zahamowania, zachwycony *Spojrzeniem wstecz*. Stawiam je bez wahania obok *Autobiografii na cztery ręce* Jerzego Giedroycia. Takich autobiograficznych książek o „sprawie polskiej” jeszcze nie było i pewnie nie będzie, bo odchodzą już tacy Polacy, nic zaś nie wskazuje na to, że opróżnione miejsca zajmą ich spadkobiercy.

Stopić w jedno, w czysty stop bez fałszywych tonów, dwa wątki: raport z przeszło siedemdziesięcioletniej działalności politycznej w Polsce przed wojną i na emigracji w Londynie, oraz opowieść osobistą o sobie; potrafiła to zrobić Lidia Ciołkoszowa. A potrafiła dlatego, że oba wątki zbiegały się nieustannie, zrastały się z biegiem czasu nierozdzielnie. Precyzyjna i rzeczowa, prawdomówna i uczciwa, sprawiedliwa i mądra, Lidia żyła dzień po dniu, we wszystkim co robiła, miłością do Adama i Andrzeja. Kiedy się siedziało i rozmawiało przy stole w kuchni na Balmuir (już po śmierci Andrzeja), mając naprzeciw Adama a z boku Lidię, zdumiewało absolutne współbrzmienie obojga. Bywałem niekiedy sam na sam z Adamem, a gdy odszedł – sam na sam z Lidią. I widziałem, jak głęboko sięgało ich porozumienie, jak słuszne było określenie Czapińskiego „jedno serce, jeden mózg”. W ważnych, zasadniczych kwestiach przemawiali w dwójkę jednym głosem, i – co osobliwe – nie dziwiło to nikogo, było najzupełniej naturalne. Po śmierci Adama miewałem często wrażenie, że żyje w niej dalej. *Spojrzenie wstecz* jest pomnikiem PPS i trzech osób: pochłoniętych polityką „najlepszych rodziców” i ich apolitycznego, uroczego syna Andrzeja. Najbardziej podziwiałem w Adamie, i podziwiam wciąż w Lidii, niezwykłą, odruchową, chciałoby się powiedzieć: fizjologiczną, prostotę i autentyczność, z jaką umieli zawsze nadawać szlachetny dźwięk nadużywanemu przez narodowych retorów słowu „patriotyzm”; i nadużywanemu przez społecznych fanatyków słowu „socjalizm”.

Na marginesie tej pięknej książki mam ochotę wtrącić pozorną jedynie dygresję. Lidia doktoryzowała się na UJ pracą o Żeromskim, spała w panińskim pokoju pod jego portretem. Istniał kiedyś i dogorywa stopniowo szczególny polski gatunek ludzki „żeromszczyków”. Zaliczam do nich, prócz Ciołkoszowej, Jerzego Giedroycia, Juliusza Poniatowskiego i z młodszego pokolenia samego siebie (choćaby jako

urodzonego w rejonie świętokrzyskim absolwenta gimnazjum kieleckiego, do którego uczęszczał autor *Szyzyfowych prac*). Kilka dni temu przeczytałem na nowo, po półwieczu, *Przedwiośnie*. Byłem przerażony historyczną, okrutną, sadystyczną niemal demagogią uwielbianego niegdyś Baryki (jeszcze podczas wojny pochwalny szkic o Broniewskim wydrukowałem w jerozolimskim dwutygodniku Wiktora Weintrauba *W drodze* pod tytułem *Powrót Cezarego Baryki*). Resztki ginącego plemienia „żeromszczyków” powinny sobie nareszcie przypomnieć, że ich prawdziwym, skromnym i rozumnym, bohaterem był, z różnymi odcieniami i akcentami, Gajowiec. Zaświadczyli o tym całym swoim życiem, nierzadko jednak ulegali czarom Czarusia kosztem „szarego pocziwca”, który wiedział lepiej jaką należy iść cierpliwie, krok po kroku, drogą.

10 sierpnia

Dziennikarz włoski, któremu duża i bogata gazeta prowincjonalna powierzyła przegląd krajów Europy środkowo-wschodniej „w sześć lat potem”, z Warszawy i Pragi przyjechał do Neapolu przed drugą turą Budapeszt-Bukareszt-Sofia-była NRD. Otworzywszy gruby notatnik, zapytał mnie o główne niebezpieczeństwo wewnętrzne, stojące dziś przed Polską. Dwa, odparłem bez chwili wahania, wypowiadając głośno moje ostatnie, milczące refleksje.

Pierwszym jest wybór Prezydenta R.P. Złe są obie kandydatury o największych szansach: Wałęsa i Kwaśniewski. Wałęsa okazał się Prezydentem nieudolnym, nieobliczalnym, umysłowo ograniczonym, zapatrzonym we władzę jak sroka w kość, traktującym Pałac Namiestnikowski, Rząd i Sejm jak boiska do gry w palanta czy w piłkę nożną. Za dokonania w przeszłości zasługuje na wszelkie możliwe ordery i honorowe godności, ale nie na ważny dla nas urząd, którego istoty nie jest po prostu w stanie zrozumieć.

Kwaśniewski (cokolwiek by sam o tym mówił) należy do politycznej formacji, szukającej powrotu i odzicia w mniej lub więcej zamaskowanych postaciach. W razie jego zwycięstwa wyborczego ukoronowaniem tego procesu będzie za kilka lat wręczenie Jaruzelskiemu buławy marszałkowskiej, czyli akt

ostatecznej „rehabilitacji” starego reżymu. Zmartwychwstanie pogrzebanego rzekomo trupa PRL postawi przed Polakami ostre i dramatyczne dylematy. Albo nie postawi, co stanie się także swoistą, wymowną pieczęcią...

Jeszcze większe jest drugie niebezpieczeństwo, niepojęta decyzja Kościoła przejścia od zrozumiałego triumfalizmu z okresu panowania komunizmu i jego upadku do absolutnie dętego „męczeństwa”, pozy „prześladowanych” dzisiaj. Nie chodzi o płotki, o obłąkanego księdza z Gdańska czy jego towarzysza w obłądzie z Radia Maryja. Poza dotarła na szczyt nad szczytami. W Skoczowie Jan Paweł II powiedział „Zauważa się tendencje do spychania ludzi wierzących na margines życia społecznego, ośmiesza się ich i wyszydza to, co dla nich stanowi nieraz największą świętość”. Gdzie, jak? List Jana Pawła II do Turowicza, z okazji jubileuszu *Tygodnika Powszechnego*, zranił głęboko wszystkich admiratorów jego wielkiego pontyfikatu. Opowiadano mi, że na polskiej kolacji w Watykanie biesiadnicy robili wymówki papieżowi, że ciągle czyta *Tygodnik Powszechny*. „To są moje korzenie”, uciał tytułem wyjaśnienia. Trzeba się obecnie tłumaczyć, i to na papieskim tronie z niestosownych lektur? Trudno o jaskrawszy przykład absurdalnej sytuacji na obrzeżach „męczeństwa” i „prześladowań”.

Taka polityka przygotowuje stopniowo grunt dla psychologicznej wojny domowej, podziału Polski na dwa bloki, dwa obozy, kościelny i świecki. Ostatnia to, niebezpieczna w najwyższej mierze rzecz, na jaką Polska mogłaby sobie pozwolić nazajutrz po odzyskaniu niepodległości.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

90-lecie urodzin Tymona Terleckiego

Młodszej o dwa lata od Jubilata trudno ślać życzenia *ad multos annos*, gdy się czuje raczej ciężar niż uroki życia a snucie planów nie ma sensu. Starcze nawroty wspomnień podsuwają obrazy z tajemniczych względów wydobywające się z zakamarków mózgu. Często dotyczą „polskiego Londynu” czasu wojny i właśnie Tymona Terleckiego – w „wieku średnim”, poniżej czterdziestki, w mundurze, w redakcji *Polski Walczącej*. Nawiazane wtedy kontakty rozbudują się szeroko, by osłabnąć po jego wyjeździe na amerykańskie „saksy” w 1964 i nasilić się znów między Portugalią i Anglią i przerodzić w korespondencyjną zżyłość w nowych, na pewien sposób podobnych, rozdziałach biografii.

Przelotna znajomość z Warszawy i pierwszej zimy wojennej we Francji przeobraziła się w bliską współpracę, gdy w jesieni 1942 spotkałam się z Terleckimi w Londynie. Naprzód była to pisanina na zamówienie Redakcji *Polski Walczącej* – wspominam ją bardzo mile, bo pismo było żywe a odzew czytelników natychmiastowy i świadomość sensu pracy oczywista. Drugą platformą współpracy był Fundusz Kultury Narodowej, odtworzony nad Tamizą pod kierownictwem Jana Hulewicza, przyjaciela i współmieszkańca Terleckiego, kolegi szkolnego z Przemyśla. Gdy po dotarciu do Londynu w 1942 pracować mi wypadło właśnie w biurze Funduszu, znalazłam się od pierwszej chwili w kręgu aktualnych spraw krajowych, kontaktów kurierskich, najświeższych wiadomości o losach ludzi, w atmosferze troski o szczególne zagrożenie mienia kulturalnego. Tajnymi drogami przychodziły raporty Wacława Borowego, kurierzy dyplomatyczni przywozili ze Szwajcarii pokwitowania na wysyłane z ramienia Funduszu paczki. Z okrucich wiadomości staraliśmy się wspólnymi siłami odzwiercać losy uczonych, pisarzy, ludzi z kręgu przedwojennych spraw i zatrudnień. Wysyłaliśmy z Lizbony i Sztokholmu paczki na zdobyte z trudem adresy, wspólnie cieszyliśmy się każdą pomyslną wiadomością a – częściej – wpisywaliśmy nowe nazwiska do rejestrów strat kultury.

Wychowanek Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie,

autor monografii Ryszarda Berwińskiego, wcześniej stał się przede wszystkim teatrologiem i ta właśnie dziedzina jego działalności jest najbardziej zauważana i doceniona. W latach powojennych, do r. 1964, był „szarą eminencją” Londynu w dwojakiej roli: wieloletniego prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i niezmiernie czynnego współpracownika i organizatora audycji Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Tu spotkaliśmy się znowu. Żywo reagujący na meandry polityki emigracyjnej, blisko związany z NID-em, w doborze współpracowników stosował kryteria obiektywnych możliwości poszczególnych jednostek i na ogół trafnie wydobywał z cienia potencjalnych uczestników dyskusji „okrągłego stołu” i programów rocznicowych. Dbały o poziom firmowanych przez siebie przedsięwzięć dawał z siebie bardzo wiele, rozmięniał się na prace przygotowawcze, próby, przeróbki, korekty i z trudem znajdował czas na własną twórczość. Mówiono: jest „pisarzem bez książek”. Dorobek z lat najwyższej jego działalności utonął w pismach i dobrze jeśli był utrwalony na taśmach audycji radiowych. Jednym z licznych przykładów są zagajenia wieczorów literackich i dorocznych audycji o „książkach roku” oraz uzasadnienia wyboru laureatów nagród literackich, często przez niego stworzonych i wydeptanych.

Już w latach wojennych rozpoczęła się działalność Terleckiego jako inicjatora ważnych, pomyślanych na „po wojnie” wydawnictw. Szereg ich otwierają dwutomowe „Straty kultury polskiej” (1945), kontynuują „książki żywe” a koronuje „Literatura polska na obczyźnie, 1940-1960” (1965).

Z Terleckim wiąże mnie nie tyle przyjaźń ile długie lata bliskiej współpracy w polskim Londynie. A także wdzięczność za zrozumienie potrzeb i racji istnienia Biblioteki Polskiej w Londynie. W najczynniejszym dwudziestoleciu życia upamiętnionym konfliktami pokoleń, sam w tzw. średnim wieku, wojował z seniorami a z rezerwą odnosił się do „młodych”. Był uczynnym i wiernym przyjacielem Skamandrytów; rozmiary ich powiązań ujawnia korespondencja, której próbki zaczynają się pojawiać.

Na starość złągodniał, ale w sile wieku był nieraz trudny w stosunkach, gdyż bojowo narzucał swój punkt widzenia, apodyktyczny, niecierpliw – a przy tym imponujący uporem w realizowaniu celów. Spod ziemi wydobywał fundusze na stypendia, nagrody, wydawnictwa. Z wielu publicznych jego wypowiedzi najsilniej utrwalił mi się w pamięci artykuł pt. „Alle Juden raus”, w nrze 191 londyńskich *Wiadomości* z

1943, pisany pod silnym wrażeniem wczesnych relacji z Kraju. Bliska współpraca z Grydzewskim znajdowała wyraz w codziennych kontaktach telefonicznych – *Wiadomości* były jego pismem.

Zanim scenę literacką zdominowały nazwiska Gombrowicza i Miłosza Terlecki reprezentował piśmiennictwo emigracyjne na obczyźnie a w dużym stopniu w Kraju. Wydane dotąd dwa tomy pism zebranych: „Rzeczy teatralne” (1984) i „Szukanie równowagi” (1985 i 1988) domagają się dalszego ciągu i zasługują na czujniejszą uwagę krytyki. Szuflady w Oxfordzie kryją zapewne niejedną tekst czekający na ujawnienie. Oby znalazła się w nich autobiografia!

Feijó, 6.VIII.95

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie

Legenda głosi – może niedokładnie, jak to z legendami bywa, więc nie ma obowiązku, by jej wierzyć – że Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie, który odbył się w sierpniu w Londynie, był owocem frustracji przedstawicieli londyńskiej emigracji, zamienionej w Polonię.

Od 1989 roku londyńscy prominenci spodziewali się, że lada chwila będą wezwani do Polski, by na podstawie swego doświadczenia, zasług i historycznych dokonań otrzymać należne im godności i tytuły i pouczyć kraj jak powinien się rządzić. Nie doczekawszy się, zrobili Kongres, żeby pokazać „albośmy to jacy tacy”.

Do Londynu zjechali z kraju zaproszeni goście, na pewno nie dlatego, że Kongres finansował ich wycieczkę do Anglii, ale ze szczerzego zainteresowania sprawami emigracji. Z tytułowej „obczyzny” zabłąkało się też paru przypadkowych turystów o nieznanym nazwiskach.

W ambitnym programie Kongresu znalazła się cała histo-

ria polityczno-wojenna półwiecza (często zahaczając o poprzednie wieki), rola partii politycznych na uchodźstwie, działalność na terenie międzynarodowym, pomoc dla kraju, zagadnienia techniczne, społeczne, ekonomiczne i parę innych. Poza oficjalnymi przemówieniami na początek i koniec Kongresu przewidziano dziesiątki referatów z zastrzeżeniem, że nie mogą przekraczać 15 minut i rzeczywiście żaden nie trwał dłużej niż godzinę.

Po tłumnym otwarciu Kongresu w POSKu, by spotkać w kularach znajomych i wymienić plotki, na referaty przychodziło 20-30 słuchaczy, bliska rodzina i ci, którzy spodziewali się, że będzie coś o nich. I cierpliwie słuchali jak mówca przypominał im – nie zawsze dokładnie, ale przecież trudno wszystko spamiętać – to co już znalazło się w setkach książek i w milionach dziennikarskich słów. W dyskusjach, które odbywały się na polskiej zasadzie, że nie po to pytam, by słyszeć odpowiedź, tylko by powiedzieć co ja o tym myślę, czasem zdarzała się oryginalna myśl, jak np. gdy ktoś z kraju chciał wyjaśnienia „jaką rolę odegrały partie polityczne na emigracji w oddaniu Rosji ziem wschodnich”. Prawda, że można było dowiedzieć się i czegoś nowego. Na przykład, że najważniejszym pismem emigracji była *Rzeczpospolita* – miesięcznik b. „Zamku”, wydawany przez rządowych działaczy o działaczach, dla działaczy. Wypełniony przemówieniami i wypowiedziami tychże działaczy jakoś uszedł uwagi ogółu emigracji. W czasie porządków przed sprzedażą „Zamku” wynoszono worki z niepotrzebnymi papierami, w tym z egzemplarzami *Kultury*, *Wiadomości* i innych pism w nienaruszonych opakowaniach pocztowych, więc „Zamek” naturalnie mógł nie wiedzieć o ich istnieniu.

Tytułowa „kultura na obczyźnie” też znalazła na Kongresie swój kącik. Pokazano sztukę krajowego autora z lat 70-tych z częścią aktorów z kraju; był wieczór poezji, skrzętnie wybranej, by nie wyróżniać czołowych poetów; był koncert i skromne wystawy: książek, sztuki i numizmatyki. Biuro informacji miało w pierwszych dniach duże kłopoty ze wskazywaniem drogi po labiryntach POSKu, więc o numizmatach trudno coś powiedzieć poza tym, że jeśli była taka wystawa, to może ona jedna w całym programie sięgnęła dalej w przeszłość niż pamięć organizatorów Kongresu, cierpiących zbiorowo na amnezję. Granica ich zainteresowań zaczynała się i kończyła tam gdzie sami wstąpili w emigracyjną szranki.

Na wystawie książek, schowanej w Bibliotece Polskiej, do której niełatwo trafić bez wytrawnego przewodnika, upchano w ostatniej chwili w kilku gablotkach kilkadziesiąt książek i naddbitek z druków, jako obraz półwiecznej działalności licznych wydawnictw emigracyjnych. I tak np. Instytut Literacki w Paryżu (kilkaset tomów) reprezentowały „Szkice o literaturze emigracyjnej” Marii Danilewiczowej. Znalazło się natomiast miejsce na odbitą na powielaczu pracę pt. „Instalacje elektryczne”.

Sama Danilewiczowa, która Bibliotekę zorganizowała, gdy rząd polski w Londynie założył ją w 1942 r. i kierowała nią przez 30 lat, należała do tłumu nieobecnych na Kongresie.

Przez cały tydzień nad referentami unosiły się duchy, czekając kto sobie o nich przypomni. W Kongresie reprezentowane były najważniejsze instytucje kulturalne emigracji, które – jak mogłoby się wydawać – powstały samorodnie. Nie było mowy o protoplastach. A niemal wszystko co trwa dziś im zawdzięcza swe istnienie.

Z wybuchem wojny kilkudziesięciu profesorów polskich uniwersytetów uratowało się, znalazłszy się za granicą. I nie czekając długo, zaczęli myśleć o zabezpieczeniu polskiej kultury. Polski Uniwersytet na Obczyźnie zainaugurował już z końcem 1939 r. w Bibliotece Polskiej w Paryżu prof. Oskar Halecki, a Lechoń zaczął w nim wykłady o literaturze polskiej. Polskie Towarzystwo Naukowe, pod którego egidą odbywał się Kongres, powstało w Londynie w 42 czy 43 roku z prezesem prof. Tadeuszem Brzeskim, b. rektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Założycielem Polskiego Towarzystwa Historycznego był prof. Marian Kukiel. Prof. Eugeniusz Jarra prowadził polski wydział prawa w Oksfordzie; na wydziale lekarskim w Edynburgu, z którego wyszły zastępy polskich lekarzy, wykładało szereg polskich profesorów, wydział architektury w Liverpoolu wykształcił licznych architektów, którzy zostawili po sobie wielki dorobek w Anglii (i nie tylko w Anglii). Pracowali tu też młodszy architekci, wykształceni jeszcze w Polsce, wśród nich twórcy cmentarza na Monte Cassino Skolimowski i Hryniewicz.

Związek Pisarzy Polskich został założony tuż po zakończeniu wojny przez prof. Stanisława Strońskiego, poetę-pułkownika Antoniego Bogusławskiego i pisarkę Herminię Naglerową. To oni zakupili dom, gdzie znaleźli dach nad głową pisarze z wojska i z obozów, gdy znaleźli się w Anglii. Kapitał po sprzedaży Domu Pisarza, gdy po 25 latach przestał

być potrzebny, jest do dzisiaj podstawą działalności Związku Pisarzy.

W tym samym czasie grupa artystów, również zapomnianych na Kongresie, założyła związek plastyków. W obecnym okresie wojennych rocznic jest okazja przypomnieć nazwisko znanego przedwojennego rzeźbiarza Mieczysława Lubelskiego, który po uwolnieniu z obozu przybył do Anglii i był twórcą Pomnika Lotników w Northolt.

Twórcą ZASPU w czasie wojny był Zygmunt Nowakowski, pisarz, aktor, b. dyrektor teatru w Krakowie, przy udziale jedynej wtedy w Anglii zawodowej aktorki warszawskiej, Mili Kamińskiej.

W Kongresie, poświęconym „kulturze na obczyźnie” nie znalazł się żaden z żyjących jeszcze wybitnych pisarzy emigracyjnych, zamieszkałych w różnych krajach Europy, w Stanach i Kanadzie, tych, którzy mają wielki dorobek literacki, z których wielu wciąż pisze, których kraj zdążył poznać. W programie koncertu był naturalnie Chopin, (prawda, że emigrant) i m.in. Bądarzewska, muzyczny odpowiednik Mniszkówny, znana naszym prababkom ze sławnej „Modlitwy dziewicy”. Ale nikt nie usłyszał Panufnika (Anglia), Szałowskiego (Paryż), Palestra (Monachium i Paryż). Nie pomyślano o zrobieniu osobnej, retrospektywnej wystawy licznych nieżyjących już artystów, których prace znalazły się w muzeach w Anglii i poza nią (Czapski), o których ukazywały się książki. Nie było mowy o zastępach profesorów na zagranicznych uniwersytetach, wielki temat, zasługujący na ciekawą pracę. Czy w teatrze nie można było wystawić Mrożka, Gombrowicza, Pankowskiego, Pietrkiewicza, albo choćby jedną z popularnych, bezpretensjonalnych komedii np. Sądka, Kiersnowskiego czy Budzyńskiego, reprezentujących codzienne życie emigracyjne?

Największym błędem Kongresu było, że nie wiedział czym jest. Nazwał się „kongresem kultury”, ale zajął się nią fragmentarycznie i selektywnie, niewiele o niej wiedząc, kierując się lokalnymi sympatiami i umniejszając w ten sposób jej znaczenie. W tytule była „obczyzna” – co oznacza więcej niż „Anglia” – ale zabrakło jej na Kongresie.

Gdyby go było skromniej nazwać „Kongres Emigracji w W. Brytanii” i zamiast chaotycznie powtarzać wszystko co już było setki razy powiedziane i napisane, zamiast rozpraszać się w szczegółach (często dalekich od obiektywnej prawdy) – można było dać syntetyczny obraz niezwykłego zjawiska

jakim była ta niepodobna do innych, wielotysięczna emigracja, która złączona wspólnym losem i wspólną ideą umiała przetrwać poza krajem przez pół wieku jako zwarta grupa, przekrój całego społeczeństwa. Stracono okazję wielkiego, godnego finału – i zmarnowano wiele wysiłku i wielkie pieniądze, wydane na zjazd i na uwiecznienie go w tysiącstronicowych tomach, wydawanych z góry.

Uczestnicy zjazdu, obdarowani pamiątkowymi medalami, zbrali się na pożegnalnej wspólnej kolacji i po paru toastach i przemówieniach w patriotycznym zrywie zaśpiewali Rotę. I tym wzajemnym zapewnieniem, że „nie będzie Niemiec pluć nam w twarz” zakończył się Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie A.D. 1995.

QUIDNUNC

KOMUNIKAT

FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ

Stypendia przyznawane są pisarzom, publicystom, artystom oraz badaczom w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych; przeznaczone są na pobyty za granicą, w wyjątkowo uzasadnionych przypadkach również na wykonanie konkretnej pracy w kraju. Stypendia przyznawane są na okres nie dłuższy niż jeden miesiąc. Wysokość jednorazowej dotacji wynosi 5.000 franków francuskich.

Termin nadsyłania podań na rok 1996 upływa z dniem 15 grudnia 1995 r.

Podanie powinno zawierać życiorys, informacje o dorobku twórczym oraz program pobytu za granicą. Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Ta sama osoba nie może otrzymać ponownie stypendium, wcześniej niż przed upływem pięciu lat.

Podania prosimy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPNLiNP
31, rue de Garlande
77-220 Tournan-en-Brie
FRANCJA

Ci, co odeszli

Jacek

WSPOMNIENIE O JACKU JĘDRUCHU

Jesienią 1968 roku w Pittsburgu (Pensylwania, USA) mój przyjaciel Ajay Bhattacharyya, szwedzki inżynier nuklearny rodem z Kalkuty, zapytał mnie „Alex, would you like to meet an interesting Pole?”¹ Nie znałem tam wtedy jeszcze żadnego Polaka, więc naturalnie chciałem. I tak poznałem Jacka Jędrucha. Właśnie wstąpił, wracając z konnej jazdy, jednej z licznych *hobby*. Doktor inżynierii nuklearnej, pracował wówczas tak jak Ajay i ja, w firmie Westinghouse. Okazało się, że zajmuje się bardzo egzotycznym projektem nuklearnego napędu dla rakiet. Pamiętam jak z ogromnym entuzjazmem objaśniał nam u siebie w domu na pięknym trójwymiarowym modelu jak ta piekielna maszyna powinna działać. Nie nastąpiło to zresztą nigdy, bo z przyczyn politycznych prezydent Nixon zlikwidował ów program. Ten entuzjazm i całkowite zaangażowanie we własne pasje zawodowe, intelektualne i polityczne, a wówczas także sportowe jak koń i narty, to była pierwsza cecha Jacka, która mnie uderzyła. W rozmowach okazało się, że na „komunę” ma podobnie jak ja alergię, a *Kulturę* także prenumeruje. Za przyjaźniliśmy się.

Główną pasją Jacka okazała się jednak historia polityczna, ściślej historia polskiego parlamentaryzmu: „Chciałbym pokazać Anglosasom, że Polacy nie gęsi, i ich tradycja polityczna nie gorsza od angielskiej”. Już po czterdziestce, był wtedy jeszcze kawalerem i mógł spędzać długie wieczory w

1. Czy chciałbyś poznać interesującego Polaka?

bibliotekach uniwersyteckich Pittsburga, studiując ten temat. Trochę się z niego naśmiewałem, że jest „zawodowym Polakiem”. Kilka lat potem ożenił się, późno ale nadzwyczaj szczęśliwie, koń i narty ustąpiły miejsca innym priorytetom, ale nie historia. W 1982 roku owocem długoletnich studiów i pedantycznego zbierania materiałów była publikacja książki „Konstytucje, Elekcje i Legislatury Polskie” (w języku angielskim)², która okazała się pierwszą źródłową pracą na ten temat. Znaczenie i popularność tej książki w kręgach zawodowych historyków były takie, że autor, choć zupełny samouk, stał się członkiem Międzynarodowej Komisji Historycznej do Spraw Instytucji Parlamentarnych i Reprezentatywnych (ICHPRI)³.

Publikacja książki przypieczętowała ostatecznie trwałość dwóch równoległych torów życia Jacka. Wielostronną działalność zawodową kontynuował przez lata u Westinghouse w Pittsburgu, a następnie, do chwili śmierci, w firmie inżynierskiej Ebasco Services – Raytheon Engineers and Constructors w Nowym Jorku, gdzie był głównym inżynierem. Między innymi, w latach siedemdziesiątych był członkiem zespołu konstruującego eksperymentalny reaktor do studiów fuzji jądrowej w Princeton (TFTR), w następnych latach jedno z głównych światowych narzędzi badawczych w tej dziedzinie; zajmował się analizą wypadków w reaktorach atomowych, itp. Był autorem około 60 artykułów specjalistycznych, a także i bardzo cenionego podręcznika: „Inżynieria Jądrowa, Zbiory Danych, Normy i Analiza Liczbowa” (w języku angielskim)⁴, napisanego we wczesnych latach osiemdziesiątych. Był członkiem American Society of Mechanical Engineers i American Nuclear Society.

Równolegle kontynuował płodną działalność historyka, wykorzystując w tym celu swój wolny czas i wakacje. Dorocznie uczestniczył czynnie w zjazdach ICHPRI. W chwili śmierci był też skarbnikiem tej instytucji. Po roku 1989 utrzymywał żywe kontakty z polskimi historykami i politykami parlamentarnymi. Opublikował szereg prac historycznych i przetłumaczył na język polski klasyczną książkę prof.

2. J. Jędruch, *Constitutions, Elections and Legislatures of Poland, 1493-1977*, University Press of America, 1982.

3. International Commission for the History of Parliamentary and Representative Institutions.

4. J. Jędruch, *Nuclear Engineering, Data Bases, Standards and Numerical Analysis*. Van Nostrand, N.Y. 1985.

Kennetha Wheare pt. „Ciała ustawodawcze”⁵. Pod egidą *Congressional Quarterly* (USA) ma się ukazać w bieżącym roku „Światowa Encyklopedia Parlamentarna”⁶. Jacka wkładem do niej jest trzydziestostronicowy rozdział o polskim Sejmie. Był członkiem Instytutu Sikorskiego (Londyn), Instytutu Piłsudskiego (Nowy Jork), Fundacji Kościuszkowskiej i Polskiego Instytutu Naukowego.

To jakże aktywne życie zostało nagle przerwane tragicznym wypadkiem. W czasie wspólnych z żoną wakacji w Grecji, zwiedzając Akropol 17 marca bieżącego roku, stracił nagle równowagę na krawędzi wzgórza. Spadł ze sporej wysokości i zginął niemalże na miejscu.

Patrzę wstecz na to bogate życie, wspominam nasze dawne rozmowy i myślę, że głównym motorem Jacka dwutorowej działalności były silne uczucia i zdecydowane przekonania uformowane w latach wczesnej młodości. Urodzony w 1927 jako syn zawodowego oficera WP i wychowany w silnie patriotycznej, drobnoszlacheckiej atmosferze domu był, jako młody podrostek, aktywnym członkiem Armii Krajowej. Po wojnie, poszukiwany przez władze bezpieczeństwa uciekł z Polski w 1946, wstąpił do WP w Niemczech Zachodnich i przez Włochy dotarł z II Korpusem do Anglii, gdzie rozpoczął studia w roku 1948. Po emigracji do USA w roku 1950 kontynuował je o własnych siłach na Northeastern University i MIT w Bostonie, w końcu uzyskując doktorat na Pennsylvania State University.

Aleksander I. BRAGIŃSKI

5. K. Wheare, *Legislatures*, Bicentennial Publishing Co, 1990.

6. *World Encyclopedia of Parliaments and Legislatures*, editor: George Kurian, Congressional Quarterly Pbl, 1995 (w druku).

Książki

„Przypomnieć jak najwięcej”

Wydany w zeszłym roku czterojęzyczny album „POLSKA, Art, Architecture and Design 966-1990” wypełnia lukę w dziedzinie krótkich i przystępnych opracowań, które pozwoliłyby, zwłaszcza cudzoziemcom, na wytworzenie sobie obrazu całości sztuki polskiej, na zrozumienie jej ciągłości historycznej i na uchwycenie jej charakteru. Stanowi on wartościowy wkład do rozpowszechniania sztuki i kultury polskiej.

Autorem jego jest Stefan Muthesius, żyjący w Anglii niemiecki historyk sztuki i wykładowca Uniwersytetu w Norwich, stryjeczny wnuk Hermana Muthesiusa, znanego architekta niemieckiego z przełomu XIX i XX wieku, założyciela *Werkbundu*. Jest on cenionym naukowcem, autorem studiów na temat architektury wiktoriańskiej; między innymi monografii „The English Terraced House”, cieszącej się zasłużonym uznaniem i opisującej rozwój najbardziej rozpowszechnionej w Anglii formy domu mieszkalnego, począwszy od jego klasycznych początków, aż do naszego stulecia. Klub Autorów przyznał jej w roku 1982 zaszczytną nagrodę imienia znanego historyka architektury, Sir Banistera Fletchera, jako najciekawszej książki z dziedziny architektury i sztuk pięknych.

Historię sztuki polskiej ujął autor w sposób bardzo zwięzły. Jeśli odejmiemy trzynastostronicowy wstęp, to właściwy tekst zajmuje tylko osiemnaście i pół strony, co odbija się może trochę na jego przejrzystości. Pozostałe siedemdziesiąt stron wypełniają starannie wybrane kolorowe albo czarno-białe ilustracje, opatrzone licznymi komentarzami. We wstępie szkicuje on dzieje polskiej historii sztuki, skupiając się, jak to sam mówi, na prześledzeniu sposobu, w jaki polscy histo-

rycy usiłowali definiować „pierwiastki narodowe” w sztuce polskiej. Zaczynając od ukazania się w roku 1815 „Winkelmana polskiego” Stanisława Kostki Potockiego, poprzez okres zaborów, poprzez prace Stanisława Witkiewicza, Jana Sasa Zubrzyckiego i Stefana Szyllera na temat narodowego charakteru architektury polskiej, poprzez okres międzywojenny i pochwałę powojennej odbudowy, kończy on swój przegląd Międzynarodowym Kongresem Historyków Sztuki w Berlinie w 1992 roku, gdzie w deklaracji końcowej stwierdzono że „sztuka narodowa jest fikcją”. Dużo miejsca zajmują tu stosunki polsko-niemieckie, spór o Wita Stwosza, dwulicowość niektórych niemieckich historyków sztuki jak Dagobert Frey, który przed 1939 rokiem utrzymywał kontakty naukowe z dyrektorem Muzeum Narodowego w Warszawie Stanisławem Lorentzem a później uczestniczył w wojennej grabieży polskiego mienia kulturalnego, dalej okupacyjna próba likwidacji kultury polskiej, powojenne „rewindykacje” i wreszcie załączki współpracy, począwszy od lat 60-tych.

W samym tekście poświęca autor po jednej stronie „okresom wczesnym”, „architekturze gotyckiej” i „wnętrzom kościołów późnego średniowiecza”, dwie strony „polskiemu renesansowi”, dwie „sarmatyzmowi” i po pół stronicę „szlacheckim pałacom Warszawy” oraz Stanisławowi Augustowi, „ostatniemu królowi mecenasowi”, na jednej stronie zaś zmieścił „palladianizm, sztukę ogrodową, neoklasycyzm i neogotyki”. Dalej „początki XX wieku” i „sztuka XX wieku” zajmują każde po trzy strony, „rzeźba” jedną, a całość zamykają dwustronicowe „inne sztuki po roku 1920” oraz półstronicowa „grafika i plakat”. Wydany z tekstem w czterech językach – polskim, angielskim, francuskim i niemieckim – tom zawiera starannie opracowane noty i bibliografię.

O albumie Stefana Muthesiusa wypowiedzieli się już, i to entuzjastycznie, profesorowie Uniwersytetów Warszawskiego, Krakowskiego i Hamburgskiego, oraz Instytutu Historii Sztuki w Tübingen i londyńskiego Instytutu Courtauld. Pochlebne oceny na jego temat wydały Instytut Polski w Darmstadt i Centralna Agencja Zakupów Bibliotek Niemieckich. Londyński *Dziennik Polski* zaliczył go do „lektur obowiązkowych”, a *The Polish-Scottish Gazette* zamieściła o nim przychylną recenzję. Sam autor zachęca jednak do kontynuowania

refleksji. W wywiadzie udzielonym Ryszardowi Kalickiemu i zamieszczonym w tegorocznym numerze kwietniowym *Twórczości* mówi on: „Jestem historykiem sztuki i z mojego punktu widzenia wszystko warto przypomnieć”. Trudne zadanie w wypadku sztuki kraju, którego historia, jak to napisał Czesław Miłosz we wstępie do swojej „Historii Literatury Polskiej”, „wydaje się zwariowana i pełna paradoksów”. Pozostawiając dalsze refleksje na temat zalet albo ewentualnych braków książki innym, bardziej kompetentnym głosom, chciałbym ograniczyć moje uwagi przede wszystkim do wniosków autora na tematy architektury współczesnej i roli mecenatu artystycznego w Polsce powojennej.

Architektura w większości opracowań ogólnych, poświęconych historii sztuki danego kraju, traktowana jest jako wątek drugorzędny, jako tło raczej, niż jako w pełni rozwinięty temat. Może dlatego że Stefan Muthesius ma za sobą poważny dorobek w dziedzinie architektury, nie ogranicza się on do formy inwentarza rozsianych i słabo ze sobą powiązanych fotografii budynków z różnych epok i opatrzonych powierzchownym komentarzem, jak to się zazwyczaj zdarza. Na ile tylko szczupły rozmiar jego książki mu na to pozwala, pokazuje on konsekwentne sekwencje ikonograficzne ilustrujące poszczególne epoki i popiera je tekstem, w którym przystępnie i wyczerpująco wyjaśnia źródła tendencji dominujących w różnych okresach i ich powiązania z kierunkami międzynarodowymi, dając także obraz ogólnego klimatu estetycznego, tego co nazywamy gustem epoki. Interesujące są fragmenty poświęcone rozwojowi miast polskich w różnych zaborach w XIX wieku. Monumentalna i „koszarowo-czynszowa” Warszawa, miniatury wiedeńskie w Krakowie, germanizujące budynki Poznania i pięknie opisana przemysłowa rozbudowa Łodzi, poczynszy od lat 20-tych XIX wieku. Wyczerpująco przedstawione jest też dwudziestolecie poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej.

Pusto robi się dopiero po roku 1949. Opis architektury czterdziestolecia 1949-89 zdołał autor zmieścić w jednej trzeciej przestrzeni poświęconej, o połowę krócej trwającemu, międzywojennemu dwudziestoleciu 1918-39. Wystarczyło właściwie kilka niepozornych fotografii, spośród których zdjęcie Pałacu Kultury i Nauki umieszczone wraz ze zdjęciem

placu Saskiego z Soborem Św. Aleksandra Newskiego na stronie poświęconej „architekturze władz zaborczych”, i parę zdań tekstu, nie tyle analizującego krytycznie formę i charakter budynków tego okresu, co stwierdzającego, że powstawały wówczas „nowe arterie, gigantyczne nowe miasta i osiedla na ich obrzeżach, stadiony sportowe i olbrzymie górskie sanatoria” i że „trwało myślenie w kategoriach prostych ulic”. Jedyjni zacytowani w tym tekście architekci to Jerzy Sołtan i Hansenowie, a z projektów, fotografie dwóch nowych dworców kolejowych – warszawskiego i katowickiego – dwóch pawilonów wystawowych i fragmentu fasady niekonwencjonalnego bloku mieszkaniowego. Z międzywojennego dwudziestolecia mógł za to Stefan Muthesius wymienić indywidualności Oskara Sosnowskiego, Adolfa Szyszko-Bohusza, Jana Koszczyca-Witkiewicza i Bohdana Pniewskiego, nie wspominając niestety, być może z braku miejsca, o Rudolffie Świerczyńskim, o powiązanych z międzynarodową awangardą i inspirowanych przez Władysława Strzemińskiego i Katarzynę Kobro grupach „Blok” i „Praesens”, o przedwojennej działalności Szymona i Heleny Syrkusów i o pracach Bohdana Lacherta i Józefa Szanajcy.

Co spowodowało w polskiej architekturze powojennej tak niewspółmierne w stosunku do innych dziedzin twórczości zubożenie wyrazu i zanik indywidualności o wymiarze międzynarodowym? W grafice plakat polski podziwiany był na całym świecie, przy czym trzeba przypomnieć, że wziął się on z rozwinięcia dobrej tradycji plakatu przedwojennego. To samo można powiedzieć o sztukach plastycznych, teatrze i muzyce. Nawet nowa sztuka, jaką jest film, stworzyła własną, uznaną w świecie szkołę. Inaczej stało się z architekturą. Pomimo bogactwa przedwojennego dorobku i pomimo wielu utalentowanych architektów, nagradzanych w latach 60-tych na międzynarodowych konkursach, była ona zupełnie nieobecna w przemianach, które nastąpiły w architekturze w latach 70-tych. Przygasła. Dlaczego? Tego autor niestety nie wyjaśnia.

Być może nadużycie form historycznych w narzuconym siłą „sorealizmie” znużyło historię architektury, sprawiło że dla wielu wydała się ona przebrzmiałą, jałową i niestrawną, spłyściło stosunek do niej i zdewaluowało ją w oczach środo-

wiska architektonicznego. Tymczasem w krajach zachodnich właśnie z żywego stosunku do historii wyszła krytyka modernizmu, z której najpierw narodził się postmodernizm, a później odnowienie nowoczesności.

Architektura zachodnia odnowiła się także poprzez wolną wymianę myśli, czerpanie z filozofii, historii idei, socjologii, ekonomii i często poprzez zaangażowanie polityczne. Wszystkie te dziedziny były w Polsce powojennej okaleczone, chwilami w ogóle zastąpione ideologicznym pustosłowiem i chyba długo nie były przedmiotem swobodnych dyskusji w szkołach architektury, co utrudniło młodym pełne uświadomienie sobie tego, czego naprawdę chcą, co jest dla nich najważniejsze, co za wszelką cenę chcieliby zrealizować, czego bronić do końca, a na co nie mogliby się pod żadnym warunkiem zgodzić i dla czego.

Ważnym elementem odnowienia architektury zachodniej było wprowadzenie do niej technologii wypracowanej w innych dziedzinach techniki. Czerpano stamtąd nowe środki wzbogacające zarówno sposoby budowania jak i symboliczny obraz architektury. Choć te nowe technologie były w krajach socjalistycznych niedostępne, nie wydaje się żeby tu właśnie kryły się zasadnicze przyczyny słabości naszej architektury. Pomysłowość i jasność idei może się wyrazić też przy użyciu środków bardzo prymitywnych, drewna, muru z oknami, prostych brył. Nie do wszystkiego potrzebny jest „High-Tech”.

Poważniejszym, a być może głównym powodem było chyba pozbawienie architektów odpowiedzialności. W innych dziedzinach twórczości nie można zrezygnować całkowicie z jakości estetycznej. Jeśli w jakimś dziele artysty nie da się absolutnie jej znaleźć, to jest ono bez wartości i można je wyrzucić na śmietnik. Dzieło architekta, nawet jeśli jest zupełną pomyłką estetyczną, pozostaje budynkiem w którym można mieszkać, uczyć się, pracować albo się modlić. Ktoś musi tylko na jego zbudowanie dać pieniądze i decyduje o wszystkim ten kto je daje. Tę prostą prawdę, znaną spekulantom budowlanym, którzy na szczęście nie mają monopolu na wszystko co się buduje, odkrył także i państwowy mecenas, który ten monopol w krajach realnego socjalizmu posiadał. Pozwoliła mu ona na sprawowanie nad architektem kontroli dużo

większej i skuteczniejszej niż to było możliwe w innych dziedzinach kultury, zatrudnił go bowiem u siebie, w swoich własnych biurach projektowych i pozbawił odpowiedzialności indywidualnej. Przejęły ją Rady Techniczne, Komisje Oceny Projektów Inwestycyjnych, czy inne zbiorowe organy kontroli, wprowadzając większość architektonicznego środowiska w stan zubożenia, w którym dominowały kryteria ilości, a nie jakości.

Do miar ilościowych ogranicza się jednak też Stefan Muthesius, kiedy omawia współczesną architekturę kościelną w Polsce. Píše, że w dekadzie lat osiemdziesiątych „wzniesiono w Polsce już 1.500 kościołów, z których więcej niż setka osiągnęła olbrzymie rozmiary, służąc od 3.000 do 5.000 parafianom”, po czym dodaje kilka zdawkowych uwag o „różnicowaniu planów”, „pluralizmie przestrzennym”, „modernistycznej, czystej konstrukcji”, projektowaniu przy pomocy komputera, „sprawności rzemieślniczej”, „rozwiązaniach postmodernistycznych” i wreszcie o „nieporównywalnym bogactwie konstrukcji i form”. Nie mówi jednak nic o języku architektonicznym, o formie i o tym na ile można ją odnieść, zarówno do ogólnej kultury architektonicznej współczesności, jak i do własnej tradycji naszego stulecia.

Jedno z najpoważniejszych międzynarodowych pism architektonicznych, angielski *Architectural Review* zamieścił niedawno w swojej stałej, zatytułowanej *Outrage*, rubryce, poświęconej nowym budynkom, które uważa się za „zniewagę” wobec otoczenia, fotografię zaprojektowanej przez znanego szwajcarskiego architekta Mario Botta i niedawno ukończonej, olbrzymiej katedry w Evry, na przedmieściach Paryża. W umieszczonym pod fotografią tekście czytamy: „Bóg Chrześcijan jest kochający i łagodny, nawet jeśli budzi uczucia czci i bogobojności. Katedra Botta łączy zaś w sobie wszystkie najbardziej przygnębiające cechy świeckiej, przykutej do ziemi i przygniatającej władzy. Jest arogancka i pompatyczna”. Jeśli można tak krytycznie zobaczyć dzieło znanego i cenionego w świecie architekta, to na pewno można by znaleźć w polskiej architekturze kościelnej naszych czasów też przykłady lepsze i gorsze, pochwalić osiągnięcia i ocenić krytycznie pomyłki.

Ocena mecenatu artystycznego w okresie powojennym

jest trudna i na jej temat istnieje na pewno wiele nieraz bardzo sprzecznych opinii. Kultura polska jest wynikiem szczególnego splotu historii, wymykającego się skrótom. Przez blisko 200 lat, z przerwą na międzywojenne dwudziestolecie, Polska nie była niepodległą i choć stopnie ograniczenia jej niezależności w różnych zaborach i w różnych okresach historycznych były różne – jak wiadomo inne były uzależnienia w zaborach carskim czy pruskim, a inne w habsburskiej Mitteleuropie, inne w okresie stalinowskim, inne w Polsce popaździernikowej, a inne znów w pomarcowej – to był to jednak zawsze stan zależności od zewnętrznej, obcej interesom kraju, władzy. Zachowanie właściwych proporcji w ocenie tych różnic jest szczególnie trudnym i ważnym zadaniem historyka. Czy jest ono też zadaniem historyka sztuki? Na pewno tak, jeśli chce on w pełni przedstawić tło na którym powstawały omawiane przez niego zjawiska artystyczne i kulturalne, a przede wszystkim jeśli chce przyjrzeć się roli, jaką odegrały w ich powstawaniu artystyczne meceny. Paul Valéry mówi, że „jesteśmy przyszłością wszystkich wspomnień które są w nas, a więc przyszłością przeszłości”. Jeśli tak, to trzeba strzec pamięci, która jest tej przyszłości podstawą.

Autor nie pomija kontekstu historycznego przedstawianych dzieł sztuki. Informuje o ukształtowaniu się szlachty polskiej, o ambicjach magnatów, dążących do umniejszenia władzy królewskiej, o zubożeniu miast, o zjawisku sarmatyzmu, o mecenacie Stanisława Augusta, wspominając nawet o jego intymnych związkach z carycą Katarzyną, a mówiąc o wieku XIX, podkreśla słusznie że w owym czasie, choć „Polacy przestali być panami w swym własnym kraju”, to „sztuka polska osiągnęła niespotykany do tej pory stopień niezależności”. Czy nie było jednak podobnie w okresie powojennym? Czytając w książce zdanie „Rok 1945 przyniósł na powrót wolność”, chciałoby się przypomnieć, że uwolniona od zagłady fizycznej, kulturalnej i materialnej, jaką niosła ze sobą hitlerowska okupacja, Polska popadła wówczas w nowy stan zależności i ubezwłasnowolnienia, mający trwać, z różnym natężeniem, przez pół wieku.

Omawiając wprowadzenie w roku 1949, „według nakaźów nowego rządu komunistycznego”, zasad realizmu socjalistycznego na wzór sowiecki, Stefan Muthesius dodaje, że

„Tym co zmieniło się zasadniczo w sztuce około 1949 była także struktura artystycznego mecenatu. Tak sztuka jak i muzea dostały się pod władztwo Ministra Kultury i Sztuki. Praktycznie wszyscy artyści zostali zatrudnieni przez państwo, nie tylko ci pracujący na zamówienia publiczne czy uczący w szkołach artystycznych. Państwo lub władze miejskie patronowało sprzedaży dzieł i organizacji wystaw zagranicznych, ułatwiało artystom znalezienie mieszkania z pracownią, a także i wiele ponad to... Ten aspekt mecenatu państwowego utrzymał się w Polsce aż do lat 80, bez względu na treści produkowanych dzieł, lub ich styl”. Obraz, jaki wytwarza sobie czytelnik, szczególnie obcy, po przeczytaniu tego fragmentu jest w najgorszym razie obrazem dobrotliwego paternalizmu ideologicznego, a sąsiadująca z nim wzmianka o Władysławie Strzemińskim, informująca że „zmarł on w trudnych warunkach w 1952”, brzmi niejasno. Przypomnijmy, że Władysław Strzemiński, autor „Teorii Widzenia”, uważany dziś za jednego z najwybitniejszych polskich twórców i teoretyków sztuki awangardowej okresu międzywojennego, w roku 1950 usunięty został z dnia na dzień pismem Ministra Kultury i Sztuki ze stanowiska profesora w Łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych i że, wyrzucony także ze Związku Polskich Artystów Plastyków, przeżył dwa lata dzielące go od śmierci w nędzy, zarabkując dorywczo jako dekorator Powszechnej Spółdzielni Spożywców i Miejskiego Handlu Detalicznego w Łodzi, a jego ostatnie prace, płaskorzeźby w kawiarni „Egzotycznej” w Łodzi, zostały zniszczone na mocy decyzji „Komisji Kołaudacyjnej” pod koniec roku 1952. Przejmującym świadectwem tych wydarzeń są wspomnienia Niki Strzemińskiej, córki Władysława Strzemińskiego i rzeźbiarki Katarzyny Kobro, napisane w roku 1986 i wydane w pięć lat później przez wydawnictwo *Res Publica* w Warszawie.

W omówieniu wieku XIX czytamy o emigracji polskich przywódców kulturalnych do Paryża, „gdzie napisane zostały wielkie dzieła polskiej literatury” i o ruchu polskiej emigracji politycznej 1830, w książce pominięta jest jednak zupełnie milczeniem emigracja lat 1945-89, a przecież wiadomo, że część powojennej kultury polskiej powstała także za granicami kraju, poza mecenatem państwa socjalistycznego, między in-

nymi dzięki obrazom i pismom Józefa Czapskiego, malarstwu Jana Lebensteina, dziełu Czesława Miłosza, pisarstwu Witolda Gombrowicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i myśli Leszka Kołakowskiego, nie zapominając o śladzie pozostawionym w świecie międzynarodowej architektury przez tragicznie i młodo zmarłego Macieja Nowickiego.

W zakończeniu swojej książki autor podkreśla, że kwestia mecenatu jest, jego zdaniem, począwszy od 80-tych lat XVIII wieku, jedną z kwestii dominujących w polskiej sztuce. Jak więc oceniać należy rolę państwowego mecenatu artystycznego i kulturalnego w Polsce powojennej? W zdaniu końcowym zdaje się on odpowiadać na to pytanie, pisząc że „Choć brzmi to jak paradoks, to ta faza socjalizmu, która nastąpiła po 1955, przyniosła szczytowe osiągnięcia niezależnej polskiej sztuki na wszystkich jej polach. Co kryje się w zanadru obecnego zwrotu w stronę komercjalizacji – nie możemy jeszcze wiedzieć”. Wielkie pytanie: w jakim stopniu osiągnięcia polskich artystów, pisarzy i naukowców tego okresu dokonały się dzięki mecenatowi PRL, a na ile pomimo jego ideologicznych zasadzek i dzięki talentowi twórców, ich dążeniu do niezależności, wyrzeczeniom, wytrwałości i odwadze? Zawarta zaś w ostatnich słowach niepewność, wywołana tym co przyniesie ze sobą nadchodząca „komercjalizacja”, sprawia wrażenie, że autor, podsumowując książkę, przeciwstawia zalety przystąpienia mecenatu socjalistycznego otwartym wodom parlamentarnych demokracji. Jest to drugi dylemat, wokół którego krąży wiele dzisiejszych sporów, dotyczących zarówno oceny przeszłości jak przyszłości polskiej sztuki. Sporów tym gorętszych, że toczących się w trudnych, często brutalnych warunkach przechodzenia od egzystencji subwencjonowanej do niezależnej, w atmosferze nie sprzyjających poczuciu stabilizacji kłótni politycznych, wśród rosnących kontrastów społecznych i kłopotów materialnych, spowodowanych wprawdzie pozostałościami po gospodarczym załamaniu się poprzedniego systemu, ale dotyczących w dalszym ciągu dużą, jeśli nie większą część społeczeństwa. W dodatku towarzyszy temu panująca w krajach zachodnich atmosfera kryzysu, zagrożenia dotychczasowego systemu opieki społecznej, bezrobocia, nacisku rynku na produkcję artystyczną i częstej konsternacji wobec rosnącej arbitralności i solipsyzmu niejednego ze

współczesnych zjawisk w dziedzinie sztuki. Wszystko to wytwarza u wielu poczucie zagubienia, sprzyja nostalgii.

Jak wiadomo, jedną z podstaw wszelkich dyktatur, nawet „ułomnych”, jak w wypadku polskiej wersji realnego socjalizmu, była zawsze ich polityka kulturalna. Na wzór diabelskich cyrografów, proponowały one pisarzom, artystom, ludziom kultury i nauki przywileje, łożyły fundusze na instytucje kulturalne i artystyczne ale nie bezinteresownie. Chciały „rządu dusz”, a do tego potrzebne im było opanowanie informacji i środków masowego przekazu. W pełni sił, używały jawnie przemocy i żądały czynnego udziału w propagowaniu własnej ideologii. Osłabione, ostentacyjnie okazywały tolerancję wobec wszystkiego, co nie wyrażało bezpośrednio przeciwnych im idei, pozostawiały względną swobodę w dziedzinie wizualnej i muzycznej, ograniczając się przede wszystkim do cenzury w dziedzinie słowa i myśli. Zadawały się biernością, postawą dwuznaczną, przemilczaniem faktów i nazwisk osób niewygodnych dla władzy, zgodą na przedstawianie wydarzeń w fałszywych proporcjach, a więc czynnego, bądź biernego uczestniczenia w dezinformacji. Omijanie tych żądań, walka o zachowanie godności, mylenie cenzury, która choć zelżała, to wytrwała do końca, uprawianie strategii ukrytych znaczeń, w pewnych momentach otwarte konflikty są nieodłączną częścią historii całej wartościowej części kulturalno-artystycznego środowiska Polski powojennej aż do roku 1989. Szukając prawdy o tym okresie, trzeba znaleźć sposób na uchwycenie i przekazanie tych trudnych nieraz do odróżnienia odcieni tolerancji i przemocy.

Rozważania na temat polskiej przeszłości powojennej do roku 1989, pozostałego po niej dorobku kulturalnego i roli jaką odegrał w nim mecenat państwowy, toczyć się będą jeszcze długo. Na to żeby mogły one jednak wzbogacić w pełni polską świadomość historyczną, warto starać się przypomnieć, jeśli nie wszystko, to przynajmniej jak najwięcej.

Bohdan PACZOWSKI

Między Wschodem i Zachodem

Jako już 42 tom subsydiowanej przez Fundację Roberta Boscha, a redagowanej przez pracowników Deutsches Polen-Institut w Darmstadt „Biblioteki polskiej” ukazał się zbiór esejów zatytułowany „Polacy między Wschodem i Zachodem”*. Redaktorem antologii i autorem – bardzo ładnie napisanego i klarownego, informatywnego – postawia jest Marek Klecel. Nie jest to pierwszy wybór eseistyki polskiej w tej serii – wcześniej ukazała się zredagowana przez Krzysztofa Dybcia antologia „Polska na wychodźstwie” ukazująca refleksje – społeczne i polityczne – kolejnych fal polskiej emigracji.

Tom Klecela skonstruowany jest z czterech części. Pierwsza, zatytułowana „Samokrytyka”, prezentuje szkice Stanisława Brzozowskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Witolda Gombrowicza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Jana Błońskiego. Druga – „Wschód” – przynosi eseje Jerzego Stempowskiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Mackiewicza, Józefa Czapskiego i Czesława Miłosza. Na trzecią – „Zachód” – składają się prace Józefa Wittlina, Bolesława Micińskiego, Kazimierza Wyki, Mieczysława Jastruna i Andrzeja Kijowskiego. Czwartą wreszcie – „Tożsamość” – tworzą rozprawki Stanisława Vincenza, Jana Kotta oraz Zygmunta Kubiaka. Bez wątplenia też jest to antologia dla polskiego eseju tego stulecia bardzo reprezentatywna, źródłowa, kierująca uważnego i dociekliwego czytelnika ku innym pracom prezentowanych tu autorów, a jednocześnie wielostronnie naświetlająca specyficzne napięcia, które składają się na polski los i polską tożsamość. Oczywiście – można się spierać o to czy jest to zbiór wyczerpujący – zapewne nie, zapewne można by go uzupełnić choćby o eseje autorów średniej dziś generacji: Wojciecha Karpińskiego, Adama Zagajewskiego czy – by przy tych tylko nazwiskach pozostać – Marcina Króla. W szczególności można

* „Polen zwischen Ost und West. Polnische Essays des 20. Jahrhunderts”. Eine Anthologie herausgegeben von Marek Klecel, tłumaczenia: Ulrike Bischof, Friedrich Griese, Martina Hassenstein, Ursula Kiermeier, Winfried Lipscher, Renate Schmidgall, Klaus Staemmler, Karin L. Wolff. Shurkamp Verlag, Frankfurt am Mein 1995, s. 359.

się spierać o to, czy dość reprezentatywna dla przemysłów spraw tożsamości jest część czwarta: tu z pewnością można by sięgnąć także do innych autorów. Lecz w końcu każda tego rodzaju książka ma dość ograniczoną pojemność.

Nie chciałbym pisać recenzji z całości – jest zbyt bogata, wiele z prezentowanych szkiców, niemal wszystkie, obrosło wielusetstronicowymi dyskusjami i komentarzami, stało się inspiracją dla innych autorów, bym mógł się powazyć na zamknięcie wszystkiego w kilkustronicowym omówieniu. Pozostanę więc przy formule noty informacyjnej. Zresztą – czytelnik polski zna te eseje, jest w nich zadowolony. Inaczej niemiecki – dla niego wiele spraw tu prezentowanych to nowość, szczególnie jeśli nie interesuje się on systematycznie problematyką polską. Dla niego jest więc ta książka jakby wprowadzeniem w samo centrum polskich sporów czy nawet swarów. Przy tym, co trzeba podkreślić, jest to wprowadzenie niezwykle kompetentne, a zarazem systematyzujące całą tę problematykę. A warto może przy okazji zauważyć, iż nie jest ona tak zupełnie obca kulturze niemieckiej, w której do dziś żywe są dyskusje dotyczące konsekwencji utraty obszarów wschodnich i całkowitej reorientacji na zachód. Tu można odnaleźć wiele punktów wspólnych dla doświadczeń obu społeczności.

Istotna jest sprawa inna. Ta mianowicie, że nie mamy odpowiednika podobnych wydawnictw w Polsce – dotyczy to nie tylko literatury niemieckiej, lecz także pozostałych naszych sąsiadów. Być może w odniesieniu do Niemców sprawę tę rozwiąże planowana od ponad roku „Biblioteka niemiecka” mająca być polskim odpowiednikiem inicjatywy z Darmstadt. Sprawa jest paląca, gdyż rzeczywiście potrzebujemy podobnych przeglądów, prezentacji różnych kulturowych, ale też i politycznych stanowisk wyznaczających dynamikę myśli i działań w krajach sąsiednich. Stara maksyma Staszica mówiąca o tym, iż języki i kulturę sąsiadów trzeba poznawać, ma dziś szczególne znaczenie. Odbudowujemy – w dość konwulsyjnych często odruchach – swe miejsce pośród innych społeczności europejskich mając stosunkowo mierne mniemanie o tym, co dla nich ważne, jaki jest ich stan samoświadomości i sposób widzenia świata. Tu właśnie niemieckie wzorce mogą być przydatne. Rzecz w tym, iż podobne wydawnictwa muszą znaleźć dotacje pozwalające im pracować systematycznie, a nie zrywami: od okazji do okazji.

Leszek SZARUGA

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

28.8.95

W Warszawie powstał Ośrodek Informacji Organizacji Narodów Zjednoczonych (Aleje Niepodległości 188). W ośrodku będzie można otrzymywać aktualne wiadomości o ONZ jak również połączenia komputerowe z jej agendami na całym świecie. ONZ ma 69 takich ośrodków. Ośrodek jest otwarty dla wszystkich zainteresowanych działalnością ONZ.

5.9.95

Zmarł w Warszawie w wieku 81 lat Aleksander Grobicki (pseudonim Jacek Brzezina), dziennikarz. Od 1935 r. korespondent PAT-a na Bliskim Wschodzie, oficer Drugiego Korpusu, od 1948 r. do 1968 r. na emigracji w Kanadzie. Autor bardzo znanej książki „Towarzysz 103”.

8.9.95.

Zmarła w Moskwie Olga Iwinskaja, literat, tłumacz, współpracowniczka *Nowogo Mira*; była prototypem Lary – bohaterki powieści „Doktor Ziwago” Borysa Pasternaka.

16.9.95

Adam Strzembosz zrezygnował z kandydowania na prezydenta i zalecił swym zwolennikom głosować na p. Gronkiewicz-Waltz.

ZACHÓD – EMIGRACJA

22.8.95

Zmarł w Chicago Bonawentura Migala. Bonawentura Migala i płk Jan Jurewicz założyli w 1976 r. Komitet Pomocy Robotnikom w Polsce przy Wydziale KPA stanu Illinois, który później przekształcił się na szczeblu ogóln amerykańskim w Komitet Pomocy Opozycji. Dzięki ogromnemu wysiłkowi p. Migala, Komitet zorganizował pomoc dla opozycji, która wynosiła ok. 10 tysięcy dolarów rocznie.

24.8.95

Zakończył się 42 Zjazd Polskiego Związku Narodowego, najstarszej organizacji polonijnej w USA. Prezesem Związku został wybrany Edward Moskal, a wiceprezesem Teresa Abick.

■ Zmarła w Londynie w wieku 90 lat Marta Reszczyńska-Stypińska, poetka, prozaik.

30.8.95.

Howard Hughes Medical Institute w Maryland przyznał 15 mln dolarów w postaci 5-letnich stypendiów mających na celu poparcie badań 90 naukowców w dziedzinie biomedycyny w 10 krajach Europy Wschodniej i b. Związku Sowieckiego. Przyznano stypendia dla naukowców: z Rosji – 36, Węgier – 14, Czech – 12, Polski – 12, Słowacji – 6, Ukrainy – 3, Estonii – 2, Białorusi – 1, Łotwy – 1.

5.9.95

Zmarł w Londynie w wieku 83 lat Zygmunt Lechosław Szadkowski, ostatni przewodniczący Rady Narodowej RP i przewodniczący Rady Federacji Światowych SPK.

8.9.95.

Zmarł w Jerozolimie w wieku 66 lat Witold Jedlicki, publicysta, autor opracowania „Chamy i Żydy”, które w swoim czasie wywołało duże poruszenie w kraju. Artykuł ten ukazał się w *Kulturze* w 1962 r., a w 1963 r. w tomie Biblioteki *Kultury* „Klub Krzywego Koła”.

16.9.95

Redakcja *Canard Enchaîné* obchodziła 95-lecie swego istnienia. Pismo satyryczne, pacyfistyczne, antyklerykalne, niezależne, bardzo poczytne ze względu na doskonałe informacje i wykrywanie różnych skandali politycznych i gospodarczych. Można w skrócie powiedzieć, że dla orientowania się w stosunkach francuskich wystarczy czytać *Le Monde* i *Canard Enchaîné*.

18.9.95

W Bibliotece Polskiej w Paryżu zainaugurowano 14 Uniwersytet Letni Wspólnoty Polsko-Francuskiej we współpracy z Towarzystwem Historyczno-Literackim. W ciągu czterech dni trwania Uniwersytetu zostały wygłoszone następujące wykłady: amb. Jerzy Łukaszewski „La Pologne en 1995: situation, problèmes, aspirations”, prof. François Furet „Les raisons de la fascination de l'idée du communisme au XX-ème siècle”, prof. Jacques le Goff „L'imaginaire médiéval”, Jean Sekutowicz „Convergences et divergences franco-polonaises depuis Henri d'Anjou jusqu'à nos jours”, Lidia Scher „Jean-Jacques Rousseau et la Pologne”, Witold Zahorski „Les socialistes français et la République Populaire de Pologne”.

Listy do Redakcji

Melbourne, 3 sierpnia 1995 r.

Drogi Panie Redaktorze,

W podwójnym numerze (lipiec-sierpień) tegorocznej *Kultury* opublikowany został artykuł Adama Nasielskiego pt. „Polska prasa w Australii”. Cieszę się z podawanych do szerszych kręgów osób wiadomości o australijskiej Polonii, ponieważ w dalszym ciągu nasza Polonia jest za mało znana, a to przede wszystkim z dwóch powodów: po pierwsze – znajduje się w pewnej geograficznej izolacji oraz po drugie – jest, obok nowozelandzkiej Polonii, najmłodszą w polonijnej diasporze (powstała właściwie dopiero w latach 1947-1951). Jest to ciekawa Polonia, wyróżniająca się odmiennością od reszty polonijnej diaspory. Nawiazując jednak do wymienionego artykułu Adama Nasielskiego, mam szereg następujących uwag.

W swoim artykule Adam Nasielski napisał, że „Osiemdziesiąt procent obecnych Australijczyków urodzonych w Polsce... – przybyło tu w latach solidarnościowych (to jest osiemdziesiątych – mój przypisek) i po odzyskaniu suwerenności”. Co oznacza, że tylko dwadzieścia procent urodzonych w Polsce przynależy do dawniejszej emigracji (z lat 1947-1951 oraz późniejszych, poczynając od 1956 roku). Według oficjalnych danych, aktualnych na rok 1986, zamieszczonych w rządowej publikacji „Bureau of Immigration Research – Community Profiles Poland Born”, było w Australii 57.351 osób urodzonych w Polsce. W latach osiemdziesiątych (głównie na początku) przybyło z Polski, w ramach tzw. emigracji solidarnościowej, około 25 tys. osób (w pierwszych latach dziewięćdziesiątych napływ polskich emigrantów był minimalny). Osoby z tej najnowszej emigracji przybywały w dużej większości w wieku około trzydziestu lat. Trudno sobie wyobrazić ażeby w ciągu następnych dziewięciu lat liczba osób urodzonych w Polsce, z dawniejszej emigracji, tak bardzo zmalała. Wydaje się, że w roku 1995 emigranci urodzeni w Polsce, przybyli do Australii w latach osiemdziesiątych, mogą stanowić raczej około pięćdziesięciu procent w stosunku do emigrantów urodzonych w Polsce, z dawniejszej emigracji – a nie osiemdziesiąt procent.

Z omawianego artykułu wynika, że obecna australijska Polonia liczy tylko około siedemdziesięciu tysięcy osób. Według przytoczonej już publikacji Bureau of Immigration Research (Biuro Badań Migracyjnych), tabela 17, na społeczność etniczną polskiego pochodzenia składały się, w roku 1986, następujące grupy osób:

urodzonych w Australii, z polskich rodziców – 64.347 (45,1%); urodzonych w Polsce – 57.351 (40,2%); urodzonych w Niemczech, z polskich rodziców – 9.515 (6,7%); urodzonych w Wielkiej Brytanii, z polskich rodziców – 2.973 (2,1%); urodzonych w innych krajach, z polskich rodziców – 7.129 (5%); osób nie określających miejsca urodzenia ale przyznających się do polskiego pochodzenia – 1.398 (1%). Ogółem na podstawie tego oficjalnego zestawienia *australijska Polonia liczyła w roku 1986 – 142.713 osób*. Można przypuszczać, że obecnie, w roku 1995, *australijska Polonia liczy ponad 150 tysięcy osób* (w przybliżeniu tak podawałem liczbę naszej Polonii w moich korespondencjach do *Kultury*), z coraz bardziej powiększającą się grupą osób urodzonych w Australii, z polskich rodziców.

Pisząc o prasie polskiej w Australii, Adam Nasielski powołuje się na moją wypowiedź, że łączny nakład prasy australijskiej Polonii wynosi obecnie około 13 tysięcy egzemplarzy oraz dodając, że mniej niż 3% Polaków w Australii mówi w domu po polsku.

Moja ocena łącznego nakładu prasy polonijnej w Australii była wzięta z pogadanki na temat naszej prasy, jaką wygłosiłem w polskim programie radia australijskiego. W pogadance tej podałem, jako główną przyczynę kurczenia się prasy polonijnej w Australii – duży napływ prasy krajowej, dochodzącej pocztą lotniczą (około 3 tys. egzemplarzy tygodniowo) oraz wydawanie w Sydney, w nakładzie kilku tysięcy egz. tygodnika *Express Wieczorny*, będącego australijskim wydaniem (w tygodniowym przekroju) warszawskiego dziennika pod tym samym tytułem.

Australijską Polonię znam dość dobrze, a szczególnie tutejszą polonijną prasę, gdyż w latach pięćdziesiątych byłem redaktorem *Głosu Polskiego* wydawanego w Melbourne, a w późniejszym okresie, przez prawie piętnaście lat, do końca 1991 roku, byłem redaktorem ogólnaustralijskiego *Tygodnia Polskiego*. Prasie polonijnej w Australii nie grozi obecnie zagłada, ale narastać będą trudności głównie powodowane coraz większą konkurencją ze strony prasy krajowej; takiej konkurencji tutejsza prasa polonijna nie miała w poprzednich latach. Moja dobra rada dla obecnych redaktorów prasy polonijnej w Australii – więcej tekstów o Australii i australijskiej Polonii a mniej szczegółowych i bardzo obszernych informacji o Polsce, co spełnia nadchodząca prasa krajowa.

I jeszcze jedna uwaga. W wymienionym artykule podane jest, że mniej niż 3% Polaków w Australii mówi w domu po polsku. Z moich spostrzeżeń i obserwacji wynika, że osoby urodzone w Polsce – w olbrzymiej większości mówią w domu między sobą po polsku, natomiast osoby urodzone w Australii, polskiego pochodzenia – mówią w dużej większości w domu po angielsku, mimo że należą do polonijnych zespołów tanecznych, polonijnego harcerstwa czy polonijnych klubów sportowych.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Aulnay s/B., 10 sierpnia 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Dnia 30 lipca wysłałem za pośrednictwem *Kultury* liścik do p. Pospieszalskiego treści następującej:

„Czytałem z dużym zainteresowaniem „Dwa pokłady chrześcijaństwa polskiego” (*Kultura* nr 4/571, 1995). Zastanawia mnie zdanie: W odróżnieniu od niemieckich hierarchów, jak Kard. Bertram i Kard. Faulhaber, Kościół polski wyszedł moralnie bardzo dobrze ze śmiertelnych konfrontacji z totalitaryzmem, najpierw hitlerowskim, potem komunistycznym”.

Nasuwa się pytanie jaka była konfrontacja z totalitaryzmem komunistycznym, gdy zastosowano w Polsce zasady norymberskie w 1968 roku?”

Dnia 6 sierpnia 1995 autor wymienionego artykułu napisał mi w odpowiedzi: „Istotnie, stanowisko Kościoła polskiego w konfrontacji z komunizmem nie było pozbawione ciemniejszych stron. W r. 1968 tylko koło poselskie Znak zdobyło się na wyraźny protest (zresztą bardzo dla niego kosztowny), a episkopat wziął wodę w usta. Także w okresie stanu wojennego postawa episkopatu była przynajmniej dwuznaczna. W sumie jednak Kościół polski zawsze stał w moralnej opozycji do komunistycznego totalitaryzmu.

Szkoda że pan nie zaadresował swego listu do Redakcji zamiast do mnie osobiście. Opublikowanie Pana listu stanowiłoby ważną korekturę”.

Ponieważ odpowiedź uważam za *un peu courte* w tak zasadniczej, moim zdaniem, sprawie, idę za radą p. Pospieszalskiego i kieruję moje pytanie do Redakcji dla korektury zdania „Kościół polski wyszedł moralnie bardzo dobrze”.

Z wyrazami szacunku

P. HANOWER

Ottawa, 2 sierpień 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim podwójnym numerze *Kultury*, w artykule pt. „Jedyna Prawda” natrafiłem na zdanie, które na pewno nie pasuje do tego tytułu. Oto część tego zdania.

„...jeden z moich kolegów, który trzy lata wcześniej, patrząc na płonące getto mówił: «Może to i nieładnie, ale lepiej, że Niemcy to za nas zrobią». Ale on wyszedł z Brygadą Świętokrzyską”.

Przeciętny czytelnik wyciągnie z tego ustępu wniosek, że ten kolega autora artykułu wyszedł z Brygadą Świętokrzyską, ponieważ Brygada była tego samego zdania o likwidacji getta co i on. A Brygada była jednostką walczącą o Polskę a nie była organizacją antysemicką. W Brygadzie trafiali się Żydzi, jak np. doktor, który zresztą opuścił Brygadę by dołączyć do komunistycznej Armii Ludowej. A Brygada wychodząc z Polski zabrała ze sobą wielu

uciekinierów, nie mając zresztą możliwości badania ich przeszłości i poglądów.

W przemarszu przez Czechosłowację Brygada uwolniła obóz koncentracyjny w Holiszowie. Obóz dla kobiet. Z wielką ostrożnością uwolniono też budynek w którym trzymano setki Żydówek. Budynek otoczony bańkami benzyny miał służyć, gdyby nadchodzący Amerykanie otworzyli bramę w jego ogrodzeniu. Dowództwu Brygady udało się wymusić od straży obozu klucze, które pozwalały otworzyć zamek bez uruchamiania kontroli zapłonu. Setki bliskich śmierci Żydówek wyszło z obozu z życiem.

Przykro mi, że *Kultura* zamieściła to zdanie. Byłbym bardzo szczęśliwy gdyby w następnym numerze ukazała się poprawka tego błędu.

Pozostaję z szacunkiem

W.M. MARCINKOWSKI

Wilmington, 8 sierpnia 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wielki pisarz nie żyje i trudno poczynić ustalenia. Fragment artykułu pana Włodawca, na który zaprotestowałam, sugeruje, że „zażyłe stosunki” z Mieczysławem Rakowskim Wańkiewicz utrzymywał właśnie w latach, które znam. Dokładnie pan Włodawiec pisze: „Utrzymywał zażyłe stosunki towarzyskie z Mieczysławem Rakowskim, co nie przeszkadzało mu zgodzić się objąć funkcję redaktora naczelnego pisma, które miało być wydawane poza cenzurą. W urzędowym istnieniu tego zamiaru przeszkodziła jednak jego śmierć w 1974 r., zanim pismo zaczęło się ukazywać”.

Pragnę powtórzyć, że w czasie mojej blisko trzyletniej pracy z Melchiorem Wańkiewiczem (lata 1972-1974) pan Mieczysław Rakowski nie odwiedził Wańkowicza, ani do siebie nie telefonowali. Moje informacje na temat ostatnich lat życia pisarza pochodzą właśnie z okresu, gdy pracowałam z Wańkiewiczem, nie z czasów wcześniejszych (moich szkolnych lat). Ciekawy natomiast wydaje mi się fakt, że nie ma telefonu ani adresu domowego pana Rakowskiego w obszernym notisie Wańkowicza z adresami (który to notes wraz z całym archiwum jest w moim posiadaniu). Z lat wcześniejszych zachowały się także listy osób zapraszanych na popularne przyjęcia pisarza. Słynne były one z tego powodu, że w mieszkaniu na Puławskiej gromadzili się ludzie różnych ugrupowań. Na pewno wszyscy, z którymi Wańkiewicz utrzymywał bliższe i dalsze stosunki, między innymi redaktorzy naczelni wielu pism. Według tych dokumentów pan Rakowski nie był na żadnym z nich (bywał zaś zastępca redaktora naczelnego *Polityki*, Michał Radgowski).

Z wyrazami szacunku

Aleksandra ZIÓLKOWSKA-BOEHM

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

I.K., Polska; Z.B., Niemcy; S.D., Polska; S.W., Polska; M.K., USA; K.K., Hiszpania; A.S., Niemcy – Z wierszy nie skorzystamy.

M.W., Francja – W Pana prozie, niby to refleksyjnej, czytelnik nie znajduje żadnej podniety do refleksji; cieknie jak bezbarwny płyn, mogłaby dłużej jeszcze, bez końca.

J.S.-G., Polska – Choć nieskładnie i chropowato napisane, Pani sprawozdanie z podróży w rodzinne strony na Ukrainie wzrusza, robi wielkie wrażenie.

A.K., Polska – Pana obrazki prozą ze wsi zamojskiej są na pewno „prawdziwe”. Cóż z tego, skoro namalowane są bez próby nawet nadania im jakiegoś wyrazu literackiego. Kryterium samej tylko „prawdziwości” ma w literaturze drugorzędne znaczenie.

J.Z., Niemcy – Opis Pana przeżyć w RFN, po wyjeździe tam na stałe, nadawałyby się tylko do zbiorowych pamiętników polsko-niemieckich emigrantów zarobkowych.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69 – Telefon: (39 81) 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1995.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04

Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1995			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, Postfach 340108, D 80328 München, tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszk, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn, 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRITANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 490 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO TRZYNASTY

zawiera opracowania: W. Grochala, T. Kędziora, M. Kielak, J. Kodym, M. Kula, T. Markiewicz, D. Smoleń: *Missi domini nowych czasów*; A. Grzywacz, G. Mazur: *Lotnictwo polskie w Planie Operacyjnym „Wschód”*; Wł. Zajewski: *Polska – Belgia: dwie drogi do niepodległości*; B. Skaradziński: *Wronki – Warszawa – Wronki*; Wł. Kempfi: *Między Katowicami, Wrocławiem i Legnicą*; St. Iwanowski: *Samoobrona w Lidzie i Grodnie w 1918-1919*; L. Kowalski: *KOK wobec opozycji politycznej i Kościoła w latach 80-tych*; K. Lanckorońska: *Rada Regencyjna*; P. Daszkiewicz: *„Pamiętnik Farmaceutyczny” i Maison Verreaux*; Wł. Kijuć: *Armia Krajowa na Litwie i Białorusi; Generał Sikorski od kulis*; R. Löw: *Paweł Glikson*; T. Wyrwa: *Polskie Radio w powstańczej Warszawie oraz Lotny Oddział A.K. „Szarugi” na Lubelszczyźnie*; Z.S. Siemaszko: *Siostry Dziewulskie*; J.M. Majchrowski, G. Mazur: *Generalicja II Rzeczypospolitej*; K. Tarka: *Rząd na uchodźstwie*; P. Zbikowski: *O insurekcji kościuszkowskiej i jej przywódcach*; oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F